

NOWA POLSKA

MIESIĘCZNIK

TOM I

NEW POLAND MONTHLY

ZESZYT 4-5

WIERSZE Z KRAJU

KAROL ESTREICHER

JERZY KUNCEWICZ

ALEKSANDER HERTZ

ANTONI SŁONIMSKI

JULJAN TUWIM

MARJA KUNCEWICZOWA

EUGENJUSZ CĘKAŁSKI

MARJAN PIOTROWSKI

FELIKS MARKOWSKI

MARJAN HEMAR

MIECZYŚLAW SZERER

GUSTAW GAZDA

KRZYSZTOF EYDZIATOWICZ

GEN. J. F. C. FULLER

LONDYN

LIPIEC — SIERPIEŃ

1942

7

8

PUBLISHED BY
NOWA POLSKA
91, GREAT TITCHFIELD STREET,
LONDON, W.1
Phone: MUSEUM 2077-8-9

0145/11. 3

NOWA POLSKA

MIESIĘCZNIK

TOM I

NEW POLAND MONTHLY

ZESZYT 4-5

LONDYN

LIPIEC — SIERPIEŃ

1942

WIERSZE Z KRAJU

Podane tu utwory wyjęte są z dwu tomików w Kraju wydanych i dotąd nigdzie na emigracji drukiem nie ogłoszonych. Nie ma w nich ani błyskotliwości rymu ani zręczności formy, a przecież niejednemu, co te kartki weźmie do ręki, dłoń zadrży i oko łzą się zaćmi, prostota bowiem i szczerłość tej niemal ludowej poezji płynie prosto do serca, wspomnienia budzi i myśl do Kraju kieruje. (Red.)

MEA CULPA. W. B.

Nie miałem sił budować,
wszystkiego zmieniać, zaczynać od nowa.

Biernie patrzyłem, wysiłek innych
nie był wysiłkiem moim,
żadna idea ostoja.

Jadłem chleb rąk własnych
nie serca, nie myśli.
Inny drogi mi kreślił.

Dziś wiem—moja wina!
opluty, bity, hańbiony,
siebie przeklinam.

PIELGRZYM. W.B.

Chociaż wiem, że nic nie mam—dziś jestem bogaty.
Zgrzebna koszula, kęs twardego chleba
I wielka wiara w wolność, czegoż trzeba więcej . . .
Na piersiach wicher ubranie rozrywa,
Lecz słowo skargi z warg się nie dobywa
Bo mi jednak—strój piękny, czy szmaty.
Dom mi rozbito, utraciłem pracę
Ale się próżnej nie poddam rozpaczy,
Bo skarb jedyny w mym sercu ukryłem.
Wiem, że nic nie mam lecz jestem bogaty,
Zgrzebna koszula, kęs twardego chleba
I wielka wiara w wolność, czegoż trzeba więcej . . .

UPÓR NADZIEI. W.B.

Czemu w oknie szeleścisz pogodą jesienną,
mgławę ręce przytulasz do ram, szyb i klamek,
nie wpuszczę cię do wnętrza, twą chęcią daremną
uszczelniłam otwory, wylepiłam ściany.

Czemu się tak zanosisz szczerbatym listowiem
i zimnicę poprawiasz wichury powiewem,
nie podejść do okien, wcale nie odpowiem,
na szyderstwo uśmiechu, na szaleństwo gniewu.

Napróżno chcesz przemąglić nadzieję zawartą
w najdrobniejszym ziarenku człowieka.
W słońcu trzymać się będzie korzeniem upartym
i jaśniejszej przyszłości, wiecznie będzie czekać.

?

Czy przylecą jaskółki ?
Czy przylecą bociany ?
Oceany się krwawo rumienią.

Czy przylecą jaskółki ?
Czy przylecą bociany ?
Krwiań rżęsiście pokrocioną ziemią.

Czy uwiją znów gniazda ?
Czy ulepią znów domki
tak jak było poprzednimi laty ?

Czy zobaczą tu nędzę ?
Czy uciekną czempredzej
naszą dolę opowiadać światu ?!

ROZKAZ DLA WARSZAWY.

Dzieci barykad Warszawy !
Żołnierze rozbitych armii !
Słyszycie krzyk Nike z nad Marny ?
Czujecie wiew nowej sławy ?

Wicher wiosny narodów
Ciągnie od ściernisk bitew.
Patrzcie w krwawej pożodze Zachodu
Rosną nowe Rzeczypospolite !

Synowie zabitych w Wawrze !
Dawne wawrzyny na śmietnik !
My po inny idziemy wawrzyn,
My po inną idziemy świetność.

Mężczyźni, kobiety, dzieci !
Wy jesteście tu żołnierzami :
Wasze domy—żelbetonowe fortece,
Wasza duma—głaz i dynamit.

Zanim dla nas piorun uderzy,
Zanim przyjdzie ostatnia bitwa,
Jeszcze trzeba nam wielu żołnierzy.
Szeregowi ! trzeba nam wytrwać !

Baczność ! . . . chwila już bliska.
Uwaga ! Uwaga ! Warszawo !
Zawrzeć pięści ! Zęby zacisnąć !
Jutro nową uwieńczym cię sławą !

MŁODYM.

Nie ma klęski. Gdy strzela grom,
kiedy z dachu wyrasta luna—
wy ramieniem wspieracie dom,
żeby nie runął.

I gdy w miasto uderza szkwał,
kiedy skacze falą potopu—
Z waszych piersi szaniec i wał—
I opór.

To nic, że krwawa kaźń,
że na kołach życia hamulec,
każdy może z nas paść—
nie ulec.

Jeszcze mroczne dni będą szły.
Wam nic, tylko pazurami przywarłszy
do sztandarów, obnażać kły i warczeć
jak lwy.

Młodzi ! Brzask już stoi u bram.
Jeszcze rok, jeszcze dwa, by noc rozciął,
światłem spłynął do ran
wolnością !

NAJMŁODSI.

Przy lampce karbidowej, lub świeczce z choinki
Jakże słodko jest wkuwać wiedzę zakazaną.
Jak smakuje kartofel z przymarzniętej rynki,
Jak inaczej się wstaje w ciemne, zimne rano.

Dziwny posmak przygody ma lekcja w komplecie !
Syzyfowych prac Radka wyblakłe przykłady,
Synem puszczy i Mayem już nas nie weźmiecie,
Bo my sami przygodą, tamto—wzorek błady.

W rękawach naszych ubrań łatami upstrzonych
Dynamit gazetkowy przenosimy skrycie.
I, w marzeniach conocnych, jeszcze niewyśnionych,
Za wielkością tęsknimy, jak ongiś rodzice.

I zanim świt nie spłoszy koszmaru niewoli
My krucjata najmłodszych, chociaż bez oręża,
Na ulicach rzucamy w twarz czelnie wrogowi
Wyroczone z kredy słowa, że Polska Zwycięży !

W MROKU W. B.

Gdzie ten nowy kształt
który ziemi da
zbawienie ?

Słońce w nim czy krew,
czy odwieczny zew
przemocy ?

Które z imion prawd
wymarzone w snach—
najświętsze ?

Wydobędzie trud,
aby stworzyć cud
miłości ?

DO TOWARZYSZA WIĘŹNIA.

Drzwi zamknięte—okute drzwi.
W ciemnym oknie żelazna krata.
Tu mijają tygodnie i dni,
Tu mijają miesiące i lata.

Trzeba zęby zacisnąć i trwać
Łamiąc w sercu słabość więzienną.
Czemuż nocą nie możesz spać,
Towarzyszu więzienny, wraz ze mną ?

Czemu puścić nie mogą krat
Twe ściśnięte kurczowo palce ?
Tam za oknem walczący świat
Czemuż ciebie nie ma w tej walce ?

To więzienie—to próba sił.
W tym więzieniu—twój start, twa bitwa.
Jeszcze będziesz walczył i żył.
Ale tu musisz trwać i wytrwać.

Tam za oknem czuć zapach krwi,
Wicher niesie powiew wolności.
Już niedługo zakute drzwi
Otworzymy sami naścież !

PODHALAŃSKA KULTURA ARTYSTYCZNA

Od chwili okupacji Polski Niemcy wysunęli tezę, oddawna przygotowaną w zaciszu swych pracowni naukowych, że naród polski nie istnieje a że na terytorium Rzeczypospolitej mieszkają jedynie szczepy lechickie różniące się między sobą mową, obyczajem, kulturą. Uczni niemieccy stosując się do dyrektyw propagandowych z Berlina dowodzą, że kaszubi, mazurzy, ślązacy i górale nie są Polakami, że lud tych okolic należy traktować odrębnie a regionalizmy ich uznać za wyraz swoistej kultury, z Polską i Polakami nie mającej nic wspólnego.

Cel zasadniczy Niemców jest jasny. Pragną oni wprowadzić jaknajwiększy zamęt między polski lud na tle etnograficznych warunków, tak jak pragną polskie warstwy społeczne poróżnić między sobą na tle stosunków ekonomicznych. Liczą, że wtedy łatwiej uda im się zgermanizować kraj.

Jako teren doświadczalny tych pomysłów wybrano Podhale w obrębie Nowego Targu i Zakopanego. Sfery kierownicze Generalnego Gubernatorstwa stworzyły „naukowe“ komórki dla Podhala. Nakazano traktować łaskawie lud góralski stawiając mu za jedyny warunek aby nie przyznawał się do polskości. Ogłoszono ze strony niemieckiej rozprawę i artykuły dowodzące, że Podhale i Podhalańszczyzna nie ma nic wspólnego z kulturą polską a lud podhalański uznano za odrębny szczepek.

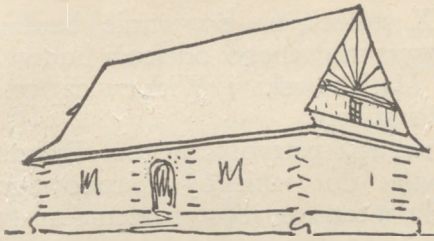
Równie perfidną w tej sprawie jest polityka niemiecka na Słowaczczyźnie. Tam okupanci rozbudzają nadzieję, że Podhale oczyszczone z rzekomo obcych elementów t.j. polskich zostanie może przyłączone kiedyś do uzależnionego od Rzeszy państwa Słowackiego. W ten sposób Niemcy chcą wzbudzić spór terytorialny między narodem polskim a słowackim.

Twierdzą Niemcy że kultura podhalańskiego ludu nie jest polską, że górale zawdzięczają wiele Słowakom chociaż nie są Słowianami. Twierdzą że sami Polacy dowiedli tego. Powołując się na głosy nauki polskiej cytują opinię prof. Antoniewicza.

Wśród wielu rozpraw historycznych, które ukazały się w Polsce na temat Podhala, istniała również praca prehistoryka i rektora Uniwersytetu Warszawskiego prof. Włodzimierza Antoniewicza, wysuwająca hipotezę o pochodzeniu górali od germańskich Gotów. Na podstawie tej rozprawy uznali Niemcy kulturę Podhala za pragermańską a szczepek górali za lud o krwi niemieckiej.

W tym stanie rzeczy redakcja Nowej Polski doceniając wagę, jaką posiada dla polskich celów wojny zagadnienie Podhala, zwróciła się do dr. Karola Estreichera historyka sztuki i kultury polskiej z prośbą o zasadnicze wyjaśnienie całej sprawy. Autor nadesłał nam odpowiedź, którą zamieszczamy poniżej.

REDAKCJA.



*Zarys chałupy góralskiej
według H. Jasińskiego.*

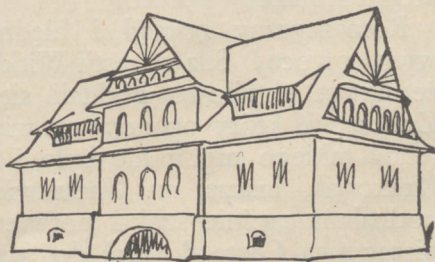
Podhala. W Polsce często przypuszcza się, że owa podhalańska sztuka i literatura są naprawdę ludowe, że wytworzył je u stóp Tatr lud góralski, że artyści polscy jedynie skodyfikowali to, co zastali na miejscu. Nic podobnego! W swej artystycznej i literackiej postaci ostatnich lat pięćdziesięciu Podhale jest tworem sztucznym kilku artystów polskich.

Architektury drewnianej podhalańskiej w ścisłym tego słowa znaczeniu (Podhale, kraj od Nowego Targu do Tatr, ów język ku południowi na mapie, czyli równina nowotarska i regle od Hawrania do Osobitej) niema, istnieje tylko etnograficznie budownictwo drewniane na Podhalu, odłam czy gałąź budownictwa na Podkarpaciu od Żywca po Nowy Sącz mniej więcej. T. zw. "styl zakopiański" jest tworem sztucznym, artystycznym, narzuconym góralom zakopiańskim za świeżej naszej pamięci. To, co twórcy tego stylu zastali w latach 1870-1890 w Zakopanem dalekie było od tej formy artystycznej jaką budownictwo w Zakopanem przyjęło, z chwilą gdy miejscowość zaczęła się ze wsi górskiej przemieniać w nowoczesne letnisko.

Budownictwo i zdobnictwo na Podhalu tak jak je zobaczyli odkrywcy Zakopanego, w połowie XIX wieku było nader skromne, choć pełne wdzięku i owej szczególnie pięknej prostoty pierwotności. Lud podhalański był biedny, nędzny nawet, o skromnej kulturze materialnej rolniczo-pasterskiej, niższej od analogicznej kultury na Spiszu czy Orawie.

Na budowę i zdobnictwo chaty góralskiej oddziaływało parę czynników zasadniczych, wśród których wpływy włoskie, postawić należy bodaj na pierwszym miejscu. Potem idą wpływy słowackie, potem architektury kościelnej późnogotyckiej a wreszcie baroku kościelnego.

To wszystko na północnej stronie Tatr złożyło się



*Zarys willi Witkiewiczowskiej
według H. Jasińskiego.*

w ciągu XVIII i z pocz. XIX stulecia na powstanie bardzo skromnego i bynajmniej nie wyrafinowanego odcienia budownictwa i zdobnictwa, które Matlakowski i Witkiewicz postanowili podnieść do godności stylu.

Uczynili to pod wpływem uczucia patriotycznego. Tęsknił już Norwid w *Prometidionie* do jakiegoś narodowego stylu, do sztuki polskiej z ducha a teraz te jego marzenia miały się urzeczywistnić.

Matlakowski lekarz warszawski (doskonały tłumacz i komentator *Hamleta*), angloman, pod wpływem angielskich teorii estetycznych przekonany o konieczności podnoszenia smaku w rzemiośle i w przemyśle artystycznym—wydał w latach osiemdziesiątych studium o budownictwie i zdobnictwie na Podhalu, poparte rysunkami i starannym opisem góralskiej zagrody; Witkiewicz malarz literat i krytyk, autor świetnych felietonów *Na Przełęczy*, po Matlakowskim rozpoczął w obronie budownictwa na Podhalu kampanię prasową, która w rezultacie doprowadziła do stworzenia zakopiańskiego stylu.

“Nam z przeszłości tak mało pozostało okruchów pod postacią śladów bezpośrednich o bycie naszych przodków, że wszystkie z dawniejszych wieków czerpane tematy blade są i bezcielesne. Podhale przez swoje szczególne położenie u stóp niedostępnych gór, przechowało do ostatnich czasów swoje formy życia staroświeckie, które w innych częściach kraju, pod wpływem niwelującej kultury dawno przepadły lub zmieniły się do niepoznania.”

Zarówno Matlakowski jak Witkiewicz byli przekonani, że budownictwo góralskie na Podhalu przechowało zasadnicze cechy prastarego budownictwa polskiego, zatracone gdzieindziej. Obaj sądzili góralską zagrodę z jej wysokim i podciętym dachem, budowaną na zrąb, za okaz pierwotnego ciesielstwa, zachowanego tak jak kwitło przed lat tysiącem. Wierzył Witkiewicz a z nim ogół polski, że wystarczy elementy tego budownictwa podnieść na wyżyny bardziej artystyczne i dostosować do potrzeb wyższej kultury, a że tem samem odnajdziemy właściwy, swoisty, głębin i pradziejów narodu sięgający styl architektoniczny Polski.

Romantyczny pogląd i błędny, lecz jakże błogosławione wydał owoce! Siła sugestji Witkiewiczowskiej była tak wielka, że nawet chwilowo poddali się jej historycy. Dużo namącił Zubrzycki, który opanowany wiarą “stylu nadwiślańskiego” (choć takiego nigdy nie było i nie ma, bo inaczej gotyk w Krakowie, inaczej w Warszawie i w Toruniu wygląda) w podhalańszczyźnie szukał potwierdzenia swych teorii. Puszet, pisząc swą *Chatę* doszedł do wniosku, że typ budownictwa na zrąb, jak pod Tatrami, pierwotniejszy w Polsce niż typ budownictwa na słup. Biskupin pokazał że nie, że raczej było przeciwnie. Kiedy jeszcze na Podhalu świerkowa puszcza

szumiała i niedźwiedź węszył po górach — na nizinach już to na słup, już na zrąb budowano, inaczej jednak niż później w Zakopanem — dają świadectwo i Gniezno i Opole i Santok i Kraków, częściowo zaś i Sandomierz. Więc nie! Odrazu należy odrzucić tezę jakoby podhalański sposób budowy chat i zagród, zachował cechy pierwotnej architektury z czasów Polski pogańskiej. Nie,— ale o to aktualnie nie idzie, natomiast idzie o stwierdzenie, że wtedy w latach 1892-1908, kiedy Witkiewicz “styl zakopiański” stworzył i tak go nazwał—wierzono w jego elementy prastare, czasów Piasta sięgające. Nawet w nauce.

“Jest sama pora, aby otoczyć te zabytki samorodnej kultury opieką, ocalić je od zaguby, zaszczerpić wśród napływającej corocznie publiczności miłość do tej swojskiej, choć skromnej sztuki, a wzięwszy w swoje ręce, rozwinąć ją i uszlachetnić w powstających, jak grzyby po deszczu, domkach i willach” — pisał Matlakowski.

Nie mógł Witkiewicz znieść, że Zakopane, które (ok. roku 1890) szybko przemieniać się zaczęło z wioski góralskiej w letnisko, zabudowuje się na kształt niemieckich “Badów” i “Kurortów.” Po tamtej stronie Tatr węgierskie miejscowości klimatyczne całkiem upodobniały się do niemieckich, a to samo zaczęło grozić Zakopanemu. Leśniczówki, pensjonaty, wille, które w Zakopanem budowano (od 1875-1890) przypominały wille w stylu tyrolskim, oblepione były ozdobami, meskinerią, która cechowała architekturę willową z końca XIX stulecia. Toż samemu królowi tatrzańskiemu i “panu wielgomożnemu” Tytusowi Chałubińskiemu taki postawili dom zakopiańscy cieśle. W Szkole Zawodowej, założonej w Zakopanem dla podniesienia miejscowego snycerstwa, działali nauczyciele Niemcy szerząc smak i ornamenty “tyrolskie,” tak charakterystyczne dla alpejskiego zdobnictwa w Austrii, w Szwajcarii i w Bawarii. Witkiewicz wytoczył wówczas wojnę o uratowanie rodzimych tradycji góralszczyzny (wytoczył ją jak zawsze i wszystko co czynił, gwałtownie i namiętnie) i nie tylko wojnę wygrał, lecz dzięki swemu wielkiemu talentowi artystycznemu, został twórcą “stylu zakopiańskiego.”

Szkołę w Zakopanem zreformowano. Jej kierownik Stanisław Barabasz, zajął się badaniem i opisywaniem ornamentów i zasad sztuki ludowej na Podhalu i dużo w tym kierunku zrobił. Współpracował blisko z Witkiewiczem, górali uczył rzeźbić, ciosać i wyrzynać w drzewie, a nie wycinać piłeczką, i nakładać ornamenty z “Schatzenbuchów.”

Dość było wówczas w Polsce pieniędzy. Najbogatsi ludzie z Warszawy, z Ukrainy, z Podola i z dalekiej Litwy nawet, zamawiali u Witkiewicza plany na wille i domy. Witkiewicz felietonami Zakopane rozślawił, a Modrzejewska i Sienkiewicz mianowali je letnią stolicą Polski.

W tym czasie powstały domy Witkiewiczowskie, owe poematy



Witkiewiczowska "Zofijówka."

z drzewa. Któż z miłośników sztuki nie dojrzy piękna form architektonicznych i zdobniczych w "Zofijówce" czy w "Domu pod Jedlami" czy w "Kolebie." Cacka to prawdziwe z drzewa, w logice konstrukcji swojej tak jasne, tak przekonujące, zdumiewające pomysłowością i smakiem zdobniczym. Wpływ "stylu zakopiańskiego" jak nazwał go Witkiewicz wydając jego wzorce był ogromny i natychmiastowy. Publiczność polska przyjęła entuzjastycznie pomysł. W Królestwie zaczęto budować w tym stylu domy i domki, na Litwę nawet z woli i za pieniądze magnackie jeździli zakopiańscy budarze stawiać tam zakopiańskie dwory. Zjeżdżała się szlachta polska na Litwie z okolicy i cieszyła widokiem tej architektury. W Zakopanem samem po roku 1900 zupełnie zarzucono inny sposób budowania. Architekci polscy przejęli się stylem Witkiewicza i stosowali go chętnie i ze smakiem. W roku 1900 młody architekt krakowski Franciszek Mączyński uzyskał w Paryżu pierwszą nagrodę w konkursie na willę — przedstawiając plany w stylu zakopiańskim. Dostał w ten sposób styl zakopiański sankcję Paryża, najwyższą w ówczesnym świecie artystycznym.

Ale ważniejsze aniżeli rozszerzenie się stylu między publiczność i architektów, było całkowite uznanie i zrozumienie go u górali. Budarze i cieśle nieuczeni po szkołach, bez patentów,



“Obrochtówka.”

a jedynie rzemiosło z praktyki znający, tak się zakopiańszczyzną Witkiewicza przejęli i tak ją w lot zrozumieli, że poszła między lud. Witkiewicz nie potrzebował uczyć rozplanowania domu dla letników bo góral jego sposób odrazu podpatrzył i za swój przyjął.

Nic lepiej nie ilustruje tego faktu jak następująca historia: cieśla i gazda zakopiański Obrochta, który “z panem Witkiewiczem” budował, przyszedł raz do niego po radę jak ma sobie willę na “pensjonat” stawiać. Chciał miary i planu, ale go Witkiewicz odgonił precz, mówiąc: “nie na tom was budować uczył, żebyście mnie potem pytali.” Poszedł góral po rozum do głowy i sam dom z cieślami postawił, niezgorszy od Witkiewiczowskich. Uznawał Witkiewicz “Obrochtówkę” za największy tryumf swej działalności i nieraz się na nią powoływał.

Co Barabasza rzeźbić nauczył chłopców, to potem na halach i w zimowe wieczory sami drugich uczyli. Motywy ze skromnych łyżników, sosrębów, czerpaków, pracowicie przez Barabasa zebrane, przez Szkołę zakopiańską spopularyzowały się ogromnie. Górale rzeźbiąc dla gości laski, talerze, szkatułki, pracując nad ozdobą willi, schronisk, domów, meble zakopiańskie wykonując, ani wiedzieli kiedy sami przejęli motywy, które rozwinęli lub nawet wymyślili artyści.

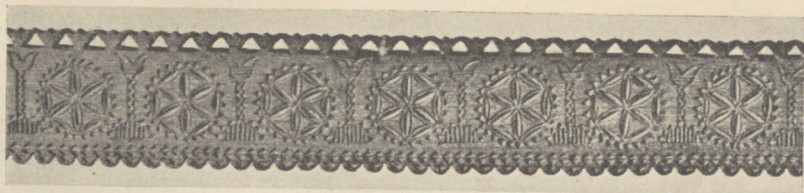
Tak powstał styl zakopiański. Nie inaczej. Wykształcił się w architekturze jako typ domu wolnostojącego z drzewa, o wysokim dachu spadzistym a załamany nad okapem oblatującym dom. Tylko bryła tego domu wywodzi się z architektury ludowej, z tektoniki chaty góralskiej czy szałas, oraz sposób kładzenia belek, wiązania ich na węglach oraz "mszenia" (mchem) szpar między niemi. Ale piętra w dachu, balkony, ganki, słupy i arkady, nawet rozplanowanie pokoi na przyziemiu i na piętrze jest Witkiewiczowskie. Ozdoby także jego (i Szkoły Zawodowej), bo znowu wzięto je ze skromnych sprzętów góralskich i do potęgi podniesiono.

Skoro mowa o zdobnictwie podhalańskim, to stwierdzić trzeba przede wszystkim, że każdy motyw tego zdobnictwa musi być rozpatrywany indywidualnie. Nie można wszystkich ornamentów, które występują, zgromadzić razem i jednego przyjąć dla nich wytłumaczenia. Ta droga prowadzi tylko do symplifikacji i do nieporozumień. Nie trzeba także popełniać tego błędu, by każdy ornament (w sztuce wogóle, a w sztuce ludowej w szczególności) opatrywać metryką i legitymować wstecz. Nieraz dyktuje go ludowemu artyście ten sam co przed wiekami materiał, to samo narzędzie, ten sam impuls człowieczy. **Naprzykład :**

wźmij sześciolistną rozetę w kole uzyskaną cyrklem, którą na belce-sosrębie spotykamy zarówno w zakopiańszczyźnie, jak i w snycerstwie gotyckim (zaraz chcieli widzieć niektórzy styl zakopiański kontynuacją gotyku), jak i w zdobnictwie islamskim w Półn. Afryce; rozetę tego rodzaju uzyskuje się przez dzielenie koła cyrklem i każde dziecko wpada na ów pomysł, gdy tylko cyrklem zacznie się posługiwać; nie trzeba genetycznie badać tego, co ręka i narzędzie dyktuje.

Inaczej tam gdzie technika jest skomplikowana. Obrazki na szkle rozpowszechnione w całych Karpatach są pochodzenia zachodnio-europejskiego, włoskiego, neapolitańskiego bodaj. Góral nie wpadł na pomysł ich malowania i nigdy ich sam nie malował ale je kupował. W karpackie wsie od Beskidów po Gorgany, dostały się nie z Polski ale prędzej z Moraw przez Śląsk południowy i przez Orawę. Jak z Wołoszczyzny szły różne formy czerpaków, serownic, łyżek (bo z kulturą pasterską były związane), tak znowu odwrotną drogę od Śląska na Wschód odbywało malarstwo na szkle (bo z kulturą religijną związane). Lud obrazki te kupował od wędrownych malarzy, a częściej z odpustów je przynosił. Motywy na nich późne, styl brzmi często zadawnionym barokiem, a znane są i takie co empirem zatracą. Świeckie tematy na obrazkach ("Taniec Zbójników", "Janosik i Frajerka," etc.) nie są również podhalańskiego pochodzenia.

Jeszcze inaczej ma się rzecz z owemi ciupagami, które rozpowszechniły się w Polsce nieprawdopodobnie w ostatnich



*Ornament na łyżniku podhalańskim
złożony z motywów rozety i tulipanu.*

latach. Siekierki zakopiańskie nie trzeba przypuszczać, że są miejscowe, oryginalne. Broń to stara od średniowiecza znana, używana do rozbijania pancerza. Jazda polska i węgierska używały czekaników, a ciupagi zakopiańskie przez miejscowych kowali kute (bo o drewnianych wogóle mówić nie warto, gdyż są zupełnie nowe po 1880 roku), nie starsze nad początek ubiegłego stulecia. Wielki wpływ na nie wywarli wówczas hutnicy śląscy, którzy pracowali w hamerniach tatrzańskich dopóki się opłacało rudę w Tatrach dobywać. Od nich nauczyli się górale wiele, a znamy ciupażki z tego czasu zupełnie na sposób śląski wykonane, bodaj przez ślązaków. Od nich też zapewne pochodzą owe orlim dziobem zakończone czekaniki.

Szły więc jedne motywy ze wschodu inne z zachodu i na terenie Podhala spotykamy je naogół uproszczone, bo lud był ubogi i w pierwotnych warunkach żyjący. Nie sprzedawał i mało kupował. Gdy przyszli odkrywcy Zakopanego niejednym motywu snycerski odszukali, skopiowali, rozwinęli.

Słynna "leluja" zakopiańska zapomocą której Witkiewicz postanowił wyprzeć tyrolską szarotkę, to kwiat wyjątkowo w pierwotnym zdobnictwie górali występujący. W genezie swej leluja jest motywem barokowym (stylizowany tulipan), nie starszym nad czasy króla Sobieskiego. Witkiewicz zastosował go na wielką skalę i wszczepił w zdobnictwo. Toż "bodiak" - oset, bodaj przed tym nie był znany i podobnie cały szereg innych motywów. A już zupełnie nowymi, co także się przyjęły, były owe promienie przenikające się, linje, zacięcia, które Karol Stryjeński po pierwszej wojnie światowej jako dyrektor zakopiańskiej Szkoły wprowadził, chcąc trochę styl ożywić i odmienić — wywołując zresztą ostre sprzeciwy zwolenników klasycznego "Witkiewiczowskiego" kierunku. Wojował o taką czystość stylu Jan Gwalbert Pawlikowski, nie rad dopuścić do żadnych zmian. Ale życie szło swoim trybem, wymagania coraz trudniejsze przed zakopiańszczyzną stawiając. Nie zawsze dawała ona egzamin, zwłaszcza gdy drzewo na kamień lub cegłę starano się przetłumaczyć. Ale i tu bywało, że powstawały budowle interesujące jak np. schronisko na Hali Gąsienicowej (inż. K. Siciński). Na parę lat przed wojną obecną przyszła nowa, śmiała próba ze strony Józefa Jawor-

skiego, pogodzenia zakopiańskiego stylu z alpejskim i wydała piękny przykład w hotelu na Kalatówkach.

Ale nie tylko w stylu zakopiańskim motywy podhalańskiej sztuki ludowej grają znaczną rolę. Historyk sztuki, analizując sztukę polską w okresie impresjonizmu odkryje niejednego szczegół, który z zakopiańszczyzny przejęli nasi artyści, zwłaszcza tam gdzie tworzyli dekoracyjne dzieła. Wyspiański choć gór i Zakopanego nie pokochał ("jabym to lepiej urządził" — powiedział raz, gdy go przyjaciele do Czarnego Stawu zawiedli pokazując piękną panoramę gór), to jednak wielokrotnie góralskie motywy zdobnicze wprowadzał do swoich dekoracji, meble w stylu zakopiańskim projektował, wizje Wawelu słowiańskiego w formach góralskich widział. Mehoffler również posługiwał się motywami zakopiańskimi, wyrażając je oczywiście swoistą nerwową linią — a cóż mówić o wielu późniejszych artystach polskich, którzy folkloryzmem polskim posługiwali się ze szczególnym zamiłowaniem. Skoczylasa drzeworyty, Stryjeńskiej obrazy i sceny ludowe, Szczepkowskiego rzeźby, nie są do pomyślenia bez Podhala i zakopiańskiego stylu.

Niemal we wszystkich dziedzinach podhalańszczyzny krytyczne i historyczno-porównawcze badania doprowadzają do umiejscowienia genezy danego motywu czy formy po za Podhalem. Łaskawego czytelnika proszę o zapamiętanie owego słowa "niemal," którem rozpoczynam powyższe twierdzenie, bo kryje ono w sobie i zastrzeżenia i wątpliwości jakie na każdym miejscu staram się podkreślić. Daleki jestem od twierdzenia, że lud Podhala nie posiada zmysłu artystycznego. Wprost przeciwnie! Kamienista gleba tatrzańska okazała się bardzo żyzną dla sztuki. Lud podhalański mając talenta przyrodzone, gdzie tylko coś artystycznego dojrzał chwycił odrazu. Ale nie łudźmy się, że zawsze wymyślał lub prastare przechował.

Jak w genezie swej budownictwo i zdobnictwo na Podhalu nie jest jednolite, tak styl zakopiański posiadał w ciągu półwieku swego żywota bardzo wiele odmian i to świadczy jak był istotny, trafny, tektoniczny. Z Podhala poszedł za Gorce do Rabki, poszedł i za Babią Górę do Żywca i za Trzy Korony w Sądeckie. Cieśle wiejscy łapali jego zasady, zrobił się styl narodowy.

Mają Szwedzi i Norwedzy swoje budownictwo drewniane, a Moskale swoim "stroitelstwem" słusznie się chlubią, mają Niemcy, Szwajcarzy i Francuzi swoje podalpejskie, mamy i my nasze polskie, nie mniej bogate i ciekawe. W budownictwie drewnianym na świecie nie stoimy bynajmniej na ostatnim miejscu. Styl zakopiański jest stylem wysoce artystycznym i wartości jego zaprzeczać (jak to np. Szyszko-Bohusz głosił) nie należy. Tylko pamiętać trzeba, że to nie żaden styl ludowy lecz na podstawie ludowych pierwiastków zbudowana sztuka.

Równocześnie nie należy zapominać o wielkim udziale ludu w stworzeniu tego stylu. Dzięki jego ciesielstwu on powstał, dzięki jego talentom naturalnym on się rozwinął. Udział górali w zakopiańszczyźnie jest bardzo znaczny. Bez ich poczucia plastycznego, bez ich smaku i talentu, nic nie byłoby zrobił Witkiewicz i jego współpracownicy. Ale początki tego stylu są sztuczne, z rozmysłu płynące. Warunki ekonomiczne i społeczne dodane do przyrodzonych, wytworzyły tę atmosferę, z której talent wielkiego artysty skorzystał.

To samo w literaturze. Na początku jej stoi postać istotnie niezwykła, jakiej nie wydała żadna literatura ludowa postać genialnego Sabały. Sabała bard z bożej łaski, typ homerycki, w tym zapadłym kącie Polski jakim było Podhale odkryty przez Chałubińskiego, rozwinął się w atmosferze, która zapanowała w Zakopanem w ostatnim trzydziestoleciu XIX wieku. Wielki wpływ na Sabałę wywarł apostoł Podhala ks. Stolarczyk, pierwszy proboszcz zakopiański, który ucywilizował ten lud zapomniany przez wszystkich, nauczył go etyki i moralności. Ksiądz Stolarczyk, sam góral z pochodzenia, chłop olbrzymich rozmiarów, dusza najzacniejsza, nie gardzący życiem, prawił w niedziele kazania do ludu jego językiem. Cieszyły się one olbrzymiem powodzeniem, podobały niesłuchanie i głęboko zapadały w umysłowość góralską. Szkołą Sabały były z pewnością te kazania, a także częste rozmowy z "panami." Przychodził do Chałubińskiego, do Witkiewicza, do starych Estreicherów, do Matlakowskiego, do Eliaszków, do Sienkiewicza, na szklanekę herbaty z harakiem i słuchał co oni gadają o świecie. Potem na czele karawany tragarzy i przewodników szedł z Chałubińskim na wyprawę do Morskiego Oka, na Zawrat czy na Świnicę lub dalej na Krywań, na Gerlach i Lodowy, a wieczorami gdy obóz rozbito grał i bąbał przy ognisku. Wrodzony talent narracyjny sprawił, że miał co opowiadać i że opowiadać umiał to co przeżył. Ale fakt, iż chrześcijańskie wyobrażenia mieszał z światem tatrzańskim, zawdzięczał w znacznej mierze księdzu Stolarczykowi, co w ten sposób trafiało do umysłu swych parafian.

Prócz tego wpływu ks. Stolarczyka świat bogatszych i żywszych legend ąrawskich oddziaływał na Sabałę. Zdaje się, że za młodu (ok. 1830) chodził na zbój i na raubszyca na tamtą stronę Tatr i tam zasłyszał niejedno. Pamiętać należy, że legenda o Janosiku nie polskiego, ale słowackiego jest pochodzenia, jak i wiele innych wątków czy motywów literackich lub zdobniczych w góralszczyźnie.

Sabała był postacią wyjątkową. Nie każdy spotkany góral, umiał tak pięknie, tak niezwykle opowiadać, z tą ilością trafnych porównań i z tą sumą głębokiej filozofji życiowej. Jest znowu inną rzeczą, że piękna, jędrna, pierwotna w składzie i wyrazownictwie gwara podhalańska nadawała szczególny wdzięk każdemu

opowiadaniu góralskiemu, że ich życie wolne, niepodległe a twarde, dało im swoisty powab, obdarzyło ich humorem i fantazją i sprawiło, że cokolwiek góral powiedział to porywało swą oryginalnością — ale mimo to Sabala był wyjątkiem, był jakimś dziwnym wyskokiem talentu, daleko wybiegającym ponad innych bazarzy ludowych polskich, jak sądzę właśnie dlatego, że tyle z “panami” przestawał.

Już w 1832 r. Seweryn Goszczyński gdy zwiedził Tatry i Podhale porwany poetycznością kraju żałował, że “dotąd poezja nasza nie dotknęła tych okolic, nie położyła na nich tego uroku widomego, jaki np. w nowszych czasach rozlał Walter Scott na góry swojej ojczyzny.” Ale dziennik jego podróży do Tatr ukazał się w całości w dwadzieścia lat później, a wpływ jego dla poznania Podhala zaczął się niemal równocześnie z “odkryciem” Zakopanego po połowie wieku. Ukrainiec z dalekich stron, przybywszy w Tatry znalazł tu świat bogaty i romantyczny, o którym nie mieli pojęcia poeci polscy. Odczuł jego piękno natychmiast. Sam zaczął pisać poemat Kościelisko, i gdyby go był wykończył byłby z pewnością rozstawił Zakopane o pokolenie wcześniej, lecz zamysł nie doszedł do skutku. Znamy tylko fragmenty poematu.

Cytowany kilkakrotnie Matlakowski tak pisał w r. 1892 o literaturze podhalańskiej, nie przewidując, że słowa jego spełnią się rychło :

“Tu ludzie mówią piękną gwara, przypominającą tokiem swoim starą polszczyznę z żywota Poczciwego Człowieka Mowa ta czeka na zapaleńca któryby ją spopularyzował i przechował próbki dla przyszłych badaczy : to co zrobiono dotychczas w tym zakresie jest albo filologicznym dociekaniem, albo prostym spisem osobliwości słownikowych. Trzebaby dopiero opowiadacza stylowego w rodzaju Paska lub Sienkiewicza, któryby przeniósł na papier ten oryginalny, jakby siekany, męski tok starej polszczyzny, te zwroty nieznanne, tę ciętość, tę obrazowość żywą, te oryginalne zaimki i przyimki, to akcentowanie nie do naśladowania, a tak zgodne z duchem treści i w utworze literackim dał próbkę czytającej publiczności.”

Kazimierz Tetmajer znał od dziecka Zakopane i mowę góralską posiadał od ludu wprost, bo wyrósł wśród niego. Ale w wielkiej epopei Skalnego Podhala wszystko jest jego oryginalną inwencją literacką, jego pomysłem, od nikogo nie zapożyczonym. Nawet tam gdzie Tetmajer powołuje się na oryginalne ludowe pochodzenie wątku, krytyczne badania wykazują duże, zasadnicze niemal zmiany w treści i w języku. Bo język Skalnego Podhala jest również znacznie bogatszy, aniżeli język góralski, świat porównań bardziej wyrafinowany — słowem całość jest przestylizowana. Jak styl zakopiański w architekturze Witkiewicza, tak stylistyka podhalańska w

opowiadaniach Tetmajera jest skończonem dziełem wielkiego artysty.

Wpływ Tetmajera był ogromny. On rozstawił Zakopane od strony literackiej i w okresie Młodej Polski uczynił modnym świat tatrzański. Władysław Orkan góral z pochodzenia, poszedł po linii wskazanej przez Tetmajera i w swojej powieści *Drzewiej* (najsławniejszym dziele jakie napisał) możliwości gwary podhalańskiej jeszcze rozszerzył.

Pouczające jest pod wielu względami porównanie *Chłopów* ze *Skalnem Podhalem*. Nie wypada ono na korzyść Reymonta, ale sąd to osobisty, którego nie pragnę nikomu narzucać. Zwraca uwagę fakt, że w dziele Tetmajera wierność językowa i etnograficzna znacznie jest mniejsza niż u Reymonta. Tem cenniejszy Reymont dla folklorystów, tem artystyczniejszy Tetmajer. Gdzie Reymont jest realistą (i mocnym nieraz), tam Tetmajer jest poetą-bajzarem. Gdzie u Reymonta stany psychiczne ludu wiernie podpatrzone, tam u Tetmajera homeryckie namiętności. U Tetmajera występuje zwięzłość opisów przyrody i przeżyć — u Reymonta rozwlekłość, która czasem aż cierpliwość czytelnika porusza. Porównanie jednego z drugim wykazuje dowodnie jak Tetmajer fantazjuje, jak nie podpatruje. W tem istota jest dzieła.

Ledwo zaczęły się ukazywać nowele Tetmajera, już pojawiły się głosy twierdzące, że Tetmajer jak Witkiewicz, jak Stopka (jego książeczka o Sabale rzadkością bibliograficzną!), zanotował tylko oryginalne powieści góralskie i że to nie Tetmajera, ale prawdziwe, "ludowe" bajki. Przeczył temu Tetmajer stale, tłumaczył w obronie własnej a czynił to tem gwałtowniej, im gwałtowniejszą zmianę w jego umyśle sprawiała postępująca choroba. Nic nie pomogło. Wielu polskich czytelników przysięgało, że przecie opowiadania czytane u Tetmajera "na własne uszy" słyszało od starych górali. Tak, ale kiedy? Zawsze po ukazaniu się ich drukiem, po napisaniu ich przez Tetmajera. Na rozmaitych wieczornicach ludowych w wiejskich świetlicach, podobnie na porankach w szkołach, a często i w chałupie odczytywano opowiadania góralskie góralom. Przewodnicy, bacowie na halach, fiakry zakopiańskie ("pojedziem Panie do Kościelisk, pojedziem?") rychło spostrzegli, że "letniki," "cepry," "goście," "zidy" "deskarze" — dobrze płacą i lepiej jeszcze częściej za usłyszane opowiadania o Janosiku lub o śpiących w Tatrach rycerzach i motywy baśni Tetmajerowskich powtarzali jako swoje, w dobrej wierze zresztą. Znowu wsiąkła w lud góralski literatura stworzona przez wielkiego artystę, tak trafnie, ściśle i tak logicznie uczynił to bowiem.

Opowiadał raz z dumą Karol Szymanowski jak jakiejś swego pomysłu góralskiej kompozycji nauczył starego Bartka Obrochtę. Nie upłynął i tydzień czasu a Obrochta grał mu już ją jako

swoją, uproszczywszy sobie nieco to co mu jakoś nie weszło do ucha.

Artystyczne (i wielkie) talenta ludu podhalańskiego dźwignęli więc polscy artyści. Gdyby nie oni, gdyby nie że tak powiem warunki zewnętrzne Podhala, dzisiejsze pokolenie górali nie stałoby pod względem kultury artystycznej tak wysoko, nie byłoby tak barwne, tak bogate, tak dumne ze swej przeszłości górnej i chmurnej w legendzie a w rzeczywistości skromnej twardej i pracowitej.

Znowu nie chcę w niczym obniżać tego osobliwego wdzięku, który dla stałych mieszkańców i bywalców i miłośników naszych gór posiadał lud Podhala. Ale trzeba sobie powiedzieć (nie bez racji, które czytelnik zobaczy niżej), że jego barwność i piękno, poezja i sztuka była w dużej mierze zasługą inteligencji polskiej i świadomej pracy w tym kierunku. Podhale artystyczne jest późnym lecz tymbardziej widocznym dowodem, jak kulturę ludu, jego zamiłowanie do pieśni i sztuki można rozwinąć, jak można regionalizm ożywić.

W niepodległej Polsce przeżywalimy renesans a raczej narodziny regionalimu. Związki ludowe i nauczycielskie, teatry wiejskie, koła spółdzielcze i religijne—wszystko to zgodnie na wsi polskiej pracowało, by strój ludowy i tańce i pieśń i obyczaj, gdzie już zamarł wskrzesić — gdzie zamierał ożywić. Naogół udawało się to doskonale. Nawet w okolicach gdzie już zanikła zupełnie tradycja stroju ludowego na podstawie wzorów uzyskanych z etnograficznych muzeów (a często i z fantazji projektodawcy), napowrót strój ludowy wprowadzono.

Zakopiański strój ludowy uległ znacznym modyfikacjom po odkryciu Zakopanego i po stworzeniu z Podhala (a ciągle mówię o właściwym Podhalu) ośrodka letniskowo-turystycznego.

Najpierw niema strój góralski nic wspólnego ze zbójnickim, jak to np. Skoczylas stylizował w swoich drzeworytach, a w co niektórzy wierzą. Zbójnicy tatrzańscy, przeważnie słowaccy, choć i Polaków nie brakło, byli plagą ludności górskiej, a po prawdzie mówiąc byli takimi samymi bandytami jacy i dziś jeszcze po wsiach grasują. Na Podhalu napady bandyckie zdarzały się gdzieś do r. 1840, świadczą o tem w dolinie Kościeliskiej ruiny karczmy żydowskiej spalonej w tym czasie. Otóż w XVIII stuleciu zbójnicy stroili się najchętniej w ubiory pajuków i hajduków dworskich, bo obrabowywali ich napadając na karoce pańskie w podróży. Stąd czapki wysokie, kapoty kolorowe i złote szamerunki. Góral nosił się bez porównania skromniej. Dzisiejszy zaś strój na Podhalu (u mężczyzn portki z parzenicami, kozuch wyszywany, gunia — u kobiet spódnica w duże kwiaty, gorset, kozuch) bogatszy od tego, jaki się z początkiem XIX wieku ukształcił. Gdzieś do połowy wieku XVIII góral chodził w płótnach i w kozuchu,

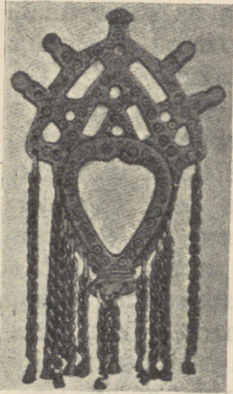
bezbarwnie ubrany. Ozdobą najbogatszą jaką na sobie miał, był szeroki pas, nabijany mosiężnymi gwoździami i spinka (broszka) mosiężna spinająca na piersiach koszulę. W XIX wieku przyszła moda na obcisłe portki z wrocławskiego sukna z wyszyciami, a przyszła najpewniej ze Słowaczyny z Liptowa, gdzie huzary węgierskie takie nosili. Wraciał góral słowacki lub polski z wojska cesarskiego i szedł na halę w takich właśnie portkach, bo innych nie miał a potem tak do nich przywykł, że mu krawiec wiejski podobne musiał kroić i ozdabiać. Parzenice to w genezie swej lamowania, jakie mundury węgierskie wojskowe do dziś jeszcze mają. Na Podhalu parzenice na dobre zjawily się po roku 1850 i ubogaciły się szybko (zwłaszcza odkąd włóczkę fabryczną, aniliną farbowaną, sprzedawać zaczęto na straganach w Nowym Targu), w wielki kolorowy wzór o kształcie sercowym. Na przykładzie parzenic, tej najtypowszej ze wszystkich cech góralskich portek, widzimy choćby, jak stosunkowo nowy jest strój góralski. Jeśli o stroje kobiet idzie, to również zmiany w ostatnich latach są znaczne i nawet zagorzali etnografowie narzekają na nie.

Więc nic pradawnego, prahistorycznego niema w stroju góralskim? W każdym razie bardzo niewiele coby po za XVIII wiek wykraczało. Góral, na jednym z podkarpackich dzwonów wyobrażony w XVII wieku (Gdów) zupełnie niepodobny do górala dzisiejszego. Nosi kierzce (tak, te są bardzo stare, pradziejów sięgające), ale pozatem ubrany w płótna, jak — mam to wrażenie — w XVII wieku nosili się przeważnie chłopcy w Polsce. Dzieje strojów ludowych w Polsce niezbadane po dziś dzień nalezycie ale bo też i ogólne dzieje strojów polskich nieznaną dziedzina pozostały do dziś. Chłopskie stroje u nas przeważnie nie starsze nad wiek XVIII, może koniec XVII-tego, a góralskie w każdym razie mlodsze od krakowskich i wielkopolskich.

Pas jest stary u górali i spina-fibula na koszuli. Ta ostatnia i dla niej ten cały wywód prowadzę a bodaj i artykuł piszę, nie tak stara jednak w swojej formie jak to się niektórym romantikom-uczonym wydawało.

Nigdy się romantyzm historyczny w nauce nie opłaca a na góralach mamy tego przykład najlepszy. Jakoś przez sympatję dla ludu a także przez zadawnione tradycje "pieśni gminnej arki przymierza między dawnymi a nowymi laty," nie starano się w polskiej etnografii dostatecznie wyjaśnić, że willa zakopiańska nic nie ma wspólnego ze słowiańską "gontyną," że baśń Tetmajera nie jest odbiciem prastarych klechd. A szkoda. Na kilkanaście lat przed wojną ukazała się bowiem rozprawa profesora Włodzimierza Antoniewicza, warszawskiego pre-historyka, poświęcona owym spinkom góralskim.

Zestawił w swej rozprawie (którą Polska Akademia Umiejętności wydała) prof. Antoniewicz kilkaset spinek góralskich i

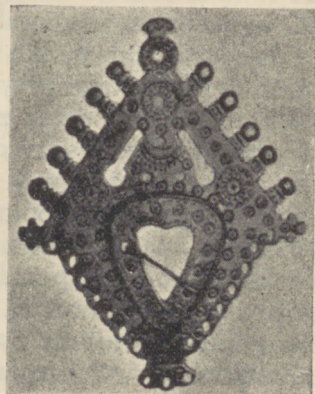


*Spinka góralska
z łańcuszkami.*

posegregował je na typy. Wszystkie te spinki w kształcie podobne. Duże rombowe lub trójkątne, ząbkowaniami na brzegach opatrzone, są jakby wielkimi płaskimi broszami. Różne ornamenty stemplowane jak kółka, półksiężycy, gwiazdy wypełniają wolną powierzchnię. U szczytu spinki dzioby ptaków lub częściej krzyż z literą IHS (jak na monstrancjach) wieńczą całość. U dołu spinki zwisają łańcuszki opatrzone wisiorkiem lub przekolaczem do fajki. Świat ornamentów ubogi, niema roślinnych wici, bo wymagałyby oka bardziej wyrafinowanego, ręki pewniejszej i lepszych narzędzi niż te, które góral posiadał.

Terytorialnie występują spinki niemal wyłącznie na Podhalu, lecz odszukano przykłady ich używania i na Słowaczczyźnie pod Różanbergiem i w Pieninach. Główne skupisko występuje jednak na Podhalu od Nowego Targu na południe. Można także przypuszczać, że pokrewne spinki były używane przez lud w Beskidach zachodnich i w górzystych okolicach Śląska, gdzie znikły już z początkiem ubiegłego stulecia.

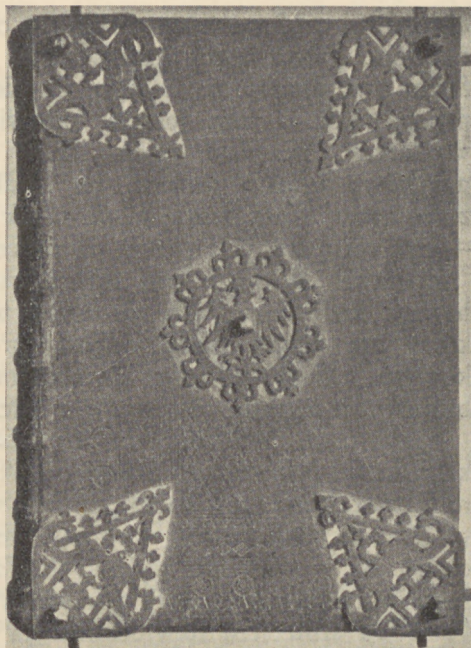
Nie należy spinek góralskich od innych mosiężnych wyrobów na Podhalu t.j. od fajek, sprzączek, części uprząży. Robią je ci sami specjaliści i stąd pokrewne ornamenty. Fajkarze i spinkarze czas wolny od zajęć gospodarskich poświęcali swym wyrobom, które potem nieśli do Nowego Targu. Kilka wsi podhalańskich specjalizowało się w wyrobach mosiężnych i czasem na wierchach można było spotkać górala, który z czeskiej strony przemycał kawałek blachy mosiężnej, tańszej po południowej stronie Tatr. W Ratułowiu koło Murzasichla mieszkało kilku spinkarzy. Z nich najpopularniejszym był często bywający w Zakopanem Ignacy Prokop. Chodził zawsze w koszuli spiętej starożytną spinką z przekolaczem i białł różne nieprawdopodobieństwa. Rzadko bywał trzeźwy. Narzekał że spinek od niego goście nie kupują i że tylko fajki opłaca się wyrabiać. Pytany o szczegóły swego rzemiosła nie umiał wiele powiedzieć: robił spinki, bo robił. Z niezaprószoną głową twierdził, że świat do gorszego idzie i trudno było tej jego filozofii odmówić racji głębszych.



Spinka góralska.

Spiny czyli fibule zna prehistoria

całej Europy. Należą do najstarszych ozdób epoki brązowej i występują zarówno w archeologii śródziemnomorskiej jak północno-europejskiej. Z wykopalisk kreteńsko-mykeńskich znamy jeden typ fibul, które niczem nie różnią się w zasadzie od naszych codziennych agrafek, tyle chyba, że główka u nich nie z blachy, ale z zawiniętego drutu. Inny typ fibul stanowią na północy Alp znajdowane (kultura halsztacka) brosze z kręconego drutu brązowego, w kształcie ślimacznicy, przepinane wolną szpilką od spodu. To dwa zasadnicze typy, od których wszystkie inne się wywodzą.



*Gotycka oprawa kodeksu z XV wieku
w archiwum Kapituły na Wawelu.*

Używanie spinek jest powszechne i od trzech tysięcy lat powtarzają się ich formy w rozmaitych częściach kontynentu europejskiego. Koło Salzburga (X w. przed Chr.), nad Donem (X w. po Chr.) wykopano spinki z łańcuszkami i zawieszzeniami przypominające przez to podhalańskie. W Europie dziś jeszcze spinki używane przez lud w krajach bałtyckich są podobne do góralskich, wreszcie niektóre brosze filigranowe karolińskie należałoby wziąć w rachubę. Te podobieństwa płyną z natury rzeczy. Nie należy z nich genetycznych lub formalno-porównawczych wniosków wyciągać, lekceważąc czas i okoliczności.

Podhalańskie spinki są późniejsze. Że się na Podhalu ich używanie dochowało nic dziwnego, bo brosze, spiny, przepinki, guzy ozdobne, rozmaite zawieszania w stroju męskim jeszcze XVIII stulecia odgrywały rolę znaczną, zwłaszcza tam gdzie moda oglądała się na Wschód mużłmański (Polska, Węgry). Chłop często bogatsze sfery naśladował i takie w genezie swej sukmana ma pochodzenie. Nie wiedział Kościuszko gdy kładł na się krakowską sukmanę, że dawną szlachecką ferezję bierze, co w czasach Batorego ozdobiła szlachcica jeszcze a za Wazy była już mieszczańskim strojem polskim, w odróżnieniu od kusių pludrów niemieckich. Z miasta wróciła potem sukmana na wieś ale nie do dworu tylko do chałupy. I wiele innych

ubiorów i części strojów podobną odbywało wędrówkę. Pasy nabijane gwoździami (pozostałość średniowiecznych zbrój), a także owe spinki czy klamry na piersi, góral zapewne z nizin przejął jak o tem jeszcze opowiem. Tu tylko stwierdzić wystarczy, że owe spinki choć pradawne jako przedmiot użytkowy i jako ozdoba, na Podhale mogły się przedostać z zewnątrz, a nie muszą wcale — jak to chciał prof. Antoniewicz — być starą tradycją przez lud przechowaną.

Postawił Włodzimierz Antoniewicz wniosek bardzo efektowny, który coprawda nie został w naszej nauce przyjęty, ale który nie został także odparty z należyтым aparatem naukowym. Wielu podobał się romantyzm tej hipotezy — a także brakowało argumentów na jej zwalczenie.

Pisał prof. Antoniewicz co następuje: „Z powyższego krótkiego i pobieżnego przeglądu okazuje się jasno, że dzisiejsze relikty starożytnych form zapinek w Karpatach zachodnich i w krajach bałtyckich, wyraźnie nawiązujące zasadnicze swe cechy do właściwości stylowych fibul gockich z IV i VI w., zachowały się na terenach górskich i leśnych, które były między IV a VI stuleciem nawiedzone na dłuższy lub krótszy okres przez gockie elementy etniczne“.

To bardzo śmiałe twierdzenie wiodło polskiego uczonego dalej, choć nie było należycie ugruntowane: „W zakresie kulturowym, zwłaszcza w zakresie stroju przejęli słowiańscy przybysze pewne wartości od mieszkających pod Tatrami germanów, jak między innymi zdają się świadczyć o tem głównie spinki metalowe“.

Stwierdzić trzeba w tem miejscu przede wszystkim, że prof. Antoniewicz dał się zwieść ogólnemu podobieństwu spinek góralskich do fibul gockich, że przeskoczył od V w. do XIX, tak jakby w międzyczasie nic nie było. Uczony wiedeński Adam Scheltema w r. 1914, kiedy nauka w Niemczech nie była jeszcze zhitleryzowana, domyślał się słusznie że spinki góralskie są tworem młodym, formy niedawnej degeneracji zdradzającym, zagadnienia jednak dalej nie posunął. Przeszedł do porządku nad uwagami Scheltemy prof. Antoniewicz i złączył prehistorię z etnografią, pomijając historię. To jego pierwsza pomyłka.

Druga jest gorsza. Oto nawet gdyby spinki góralskie były reliktem gockiej kultury artystycznej to i tak nie dowodziłoby to faktu, że Gotowie pod Tatrami osiedli. Bo gdzie ślady Gotów, gdzie groby gockie, broń gocka, któreby ziemia wydała? Nie wystarczą na dowód pobytu Gotów pod Tatrami spinki współcześnie używane, trzeba wykopalisk a tych niema. Niema nazw gockich po górach, bo Beskid, Dunajec, Karpaty, Tatry jak Rozwadowski stwierdził nie germańskie.

Nomadyzowały różne szczepy po tym kącie Europy, była Polska krajem bardziej przechodnim niż Zachód, stąd prehistoria polska bogatsza, ale dalecy jesteśmy od jasnego obrazu

tych czasów. Nie powiada też Antoniewicz ściśle kiedy Goci (Ostrogoci ze Wschodu, czy Wizygoci z Zachodu) mieli pod Tatry przybyć, lecz radby im połowę pierwszego tysiąclecia wyznaczyć, gdy już Słowianie nad Wisłą siedzieli? Skądkolwiek i kiedykolwiek owi Goci przysli, to pewne że powietrzem nie przybyli. Trzeba było wskazać ślady ich wędrówek przez doliny, jeżeli dowodzenie miało być przekonujące. Tego Antoniewicz nie uczynił. I jakże wytłumaczyć że około X wieku po osiedleniu się Gotów, puszcza potem pod Tatrami wyrosła, którą skolei karczowali ci koloniści, o których mówią dokumenty że w XIV wieku pod Tatry przysli? Wszystko to razem nie trzyma się. Nie — niestety zbyt daleko zaszedł prof. Antoniewicz w swej hipotezie.

Tymczasem osadnictwo na Podhalu jest późne. Złożyły się na to różne przyczyny, przede wszystkim kraj dziki i nieurodzajny, lasy, uboczne geograficzne położenie — dość na tem, że o pradziejach tej ziemi nie mówią nam takie wykopaliska jak gdzienziej — a górale to nie żaden szczep gocki, który przyszedł pod Tatry i osiadł tam, ale ludność co narastała powoli z różnych elementów złożona. Nie ostatnie wśród nich pastuchy wołoskie — jak stwierdził Dobrowolski — arorumuńskiego t.j. kucowołoskiego pochodzenia. Dziś jeszcze na przestrzeniach Tesalii żyje pokrewne plemię koczownicze trzymające się starych zwyczajów, odziedziczonych po tracko-iliryskich przodkach. Z końcem średniowiecza przez Bułgarię, Siedmiogród, pasterze tego plemienia rozprzestrzenili kulturę pasterską u Wołochów, a ci poszli na zachód grzbietem Karpat i aż na Morawy dotarli. Oni to u ludności, ruskiej, słowackiej, polskiej i morawskiej zaszczepili kulturę pasterską, obyczaj i nawet słownictwo, wsiąknawszy w tę ludność od chwili gdy wędrówki ich się skończyły i z koczowników stali się osadnikami. Dołączył się do nich (i w znacznej liczbie) polski chłop, który od XVII w. gdy coraz dokuczliwsza stawała mu się pańszczyzna, w góry i lasy uciekał. Począł on budować na zrąb, tak jak po halach stawiali wołoscy pastusi swe szałas i stąd budownictwo podhalańskie pokrewne i huculskiemu i na Rusi Podkarpackiej istniejącemu. Zdobił sprzęt dziedzicznie, zwłaszcza ten, który celom pasterskim służył, a i w stroju zatrzymał pewne tradycje. Ale równocześnie ulegał silnym, coraz silniejszym wpływom idącym z nizin, od południa i północy. W kościele w Nowym Targu czy w miastach spiskich lub orawskich widział wyższą, bogatszą sztukę zdobniczą i stamtąd przejmował nie jedno a z czasem szczegóły stroju zaczął podpatrywać u huzarów węgierskich cesarzowej.

Skomplikowany ten proces kultury ludu podhalańskiego, choć wiele ma wspólnego z Wołoszą a tamtędy z Bałkanami nawet, nie ma jednak nic wspólnego z Gotami. Ci już dawno, bo przed tysiącem lat przeszli przez Bałkany i nie byli ludem

pastersko-koczowniczym lecz wędrownikami szukającymi zdobyczy i siedzib. W Karpatach nie mieliby czego szukać, a już szczególnie pod Tatrami, bo nie po to szli na wędrowkę, aby w ubogich i dzikich krainach osiadać. Woleli klimat cieplejszy, bogatsze dzielnice rzymskiego imperium lub krymskiego półwyspu. Ani w mowie, ani w nazwach, ani w przedmiotach nie znajdujemy u górali nic gockimi cechami naznaczonego. Więc nagle spinki — i do tego zupełnie odmienne w kształcie niż gockie?

Na przykładach literatury Tetmajerowskiej, na Witkiewiczowskich motywach zdobniczych widać jak łatwo wpłynąć na twórczość ludową, jak łatwo jakąś modę czy obyczaj u ludu zaszczerpić lub rozkrzewić. Toż dziś do miasteczka a stamtąd na wieś polską idzie towar, co w stołecznym mieście niemodny nabywców nie znajduje. Tak się musiała mieć rzecz ze spinkami góralskimi.

Spinki góralskie jako przedmiot użytkowy mają za sobą istotnie długą pradžejów sięgającą historję. Ale użytkowość przedmiotu a jego forma to rzeczy zupełnie odmienne. Użytkowo są spinki góralskie przykładem używania przez lud przastarej ozdoby, formalnie jednak należą do świata ozdób gotyckich, nie gockich.

Spinki góralskie przypominają swym wyglądem do złudzenia średniowieczne okucia grubych opraw na księgach. Jak wiadomo manuskrypty średniowieczne (z chwilą, gdy zwój starożytny został przeprawiony w kodeks) dla ochrony ujmowano w dwie okładki deszczułkowe ("przeczytać od deski") a te z kolei dla celów ochronnych na narożnikach otrzymały okucie brązowe i nawet zamek, który bronił księgi przed niepowołanym. Okucia przybite do okładek-deszczułek przytrzymywały skórę byczą lub cielęcą w jaką była ona oklejona (stąd "byki" i "ciołki," jako nazwa różnych kodeksów po bibliotekach kapitulnych i klasztornych, jeszcze dziś w użyciu).

Okucia pojawiają się bardzo wczesnie, chyba gdzieś w karolińskiej epoce a w romanizmie (XI-XII w.) są już ozdobnie ornamentowane. Wówczas należą one formalnie do ozdób romańskich: wielkie sploty roślinne, fantastyczne zwierzęta, esownice i wici. Z czasem gdy od XIII stulecia gotyk przenika do ornamentu coraz śmieiej, okucia przestają mieć cechy romańskie a nabierają gotyckich.

Formy ornamentów zaostwiają się. Narożniki okładek otrzymują okucia w kształcie rombów z licznymi drobnymi wycięciami, mające na brzegach ząbki, które są zdegenerowanymi listkami częstymi w architekturze i zdobnictwie gotyckim.

Książka drukowana zmieniła introligatorstwo zasadniczo. Manuskrypt był ciężki, książka drukowana lżejsza. Okładki renesansowe nie potrzebowały mocnych okuć i szybko je też

odrzućli introligatorzy XVI stulecia. Używane były tylko wyjątkowo przy oprawianiu ciężkich manuskryptów.

Nie trzeba sobie wyobrażać aby z XVI stuleciem w Europie a szczególnie w Polsce, kończyły się całkowicie manuskrytowe księgi.

Istotnie wynalazek druku wyparł książkę pisaną ale powoli — zwłaszcza gdy szło o wielkie śpiewniki kościelne. Te przez cały jeszcze wiek XVI a nawet XVII pisano ręcznie na pergaminowych kartach w wymiarach bardzo znacznych (70 x 120 cm.), bo ustawiano taki śpiewnik na środku chóru katedralnego lub zakonnego i księża z niego zawodzili. Po kościołach było światło ciemne, księża mieli często zły wzrok, wymiary nut a co za tem idzie i księgi musiały być znaczne, przekraczające możliwości techniczne druku. Do końca XVII wieku pisano u nas, a nawet zdobiono miniaturami śpiewniki i psalterze. W klasztorze karmelitów w Krakowie, w Sandomierzu, w Płocku zachowały się tego rodzaju kancjonały z epok, kiedy druk panował powszechnie. Oprawiano je tak jak je pisano, tradycyjnie. Ich ogromne rozmiary wymagały zresztą po dawnemu okuć, bo żadna skóra bez pomocy metalu nie utrzymałaby okładki.

Księgi oprawiali introligatorzy. Mieli wszędzie swoje cechy. Ale introligatorzy byli od szydła, skóry i kleju nie od metalu. Wykuwanie metalowych ozdób na księgi nie do nich należało. Te musieli zamawiać u złotników czy ślusarzy czy iglarzy, słowem u metalowców, jakbyśmy to dzisiaj powiedzieli. Przy specjalizacji, cechującej rzemiosło późno-średniowieczne w Europie i w Polsce również, ani wątpić że musieli być po naszych miastach specjaliści, którzy trudnili się wykonywaniem okuć na okładki ksiąg. Najprędzej należeli oni do cechu ślusarzy.

Otóż w XVI lub prędzej jeszcze w XVII stuleciu okucia stały się niepotrzebne a specjaliści od nich istnieli. Przenieśli swą umiejętność na spinki i ozdobne guzy. Formy okładkowych okuć przenieśli w tym czasie na brosze, które kupował u nich i pan do delji i chłop do guni lub zgrzebnej koszuli. Szlachcic szybko zmienił gust i pod wpływem mody ze Wschodu zaczął szukać u lwowskich złotników wyrobów podobnych do tureckich i perskich. Ale chłop był wierniejszy tradycji zwłaszcza, że kowale i ślusarze wiejscy nauczyli się wyrabiać tego rodzaju spinki. I w ten sposób gotyckie formy okuć przeżyły wiek XVIII i XIX i doszły do naszych czasów.

Hipotezie tej, którą stawiam w tym miejscu brak wszystkich ogniw łączących, brak dowodów. Przejrzenie aktów cechowych w Krakowie i po miasteczkach podkarpackich niewątpliwie dostarczyłoby wiele dowodów. Także zbadanie dokładne form spinek góralskich, nie pod kątem prehistorji jak to uczynił Antoniewicz ale pod kątem formalno-porównawczym udowod-

niłoby ścisły związek spinek góralskich z późnogotyckim ornamentem ślusarskim występującym na Podhalu jeszcze w XVII stuleciu.

W ten sposób wyjaśniałaby się geneza spinek góralskich i ich dziwnej oryginalnej formy. W żadnym razie nie są one pochodzenia gockiego i Gotów niema co dla nich poruszać. Wystarczy gotyk, a ten jak wiadomo nie ma nic z Gotami wspólnego.

Szkoda, że rozprawą Antoniewicza nie zajęli się w swoim czasie polscy uczeni, tem większa szkoda, że skrzętnie zajęli się nią niemieccy z "Deutsches Auslandswissenschaftliches Institut."

Goci, gockie spinki, gocka kultura, gocki szczep, gockie osadnictwo; tego tylko było trzeba; sami Polacy wysuwają gotowe argumenty gockie.

Goci to Germanie, a Germanie to Niemcy; górale są gockiego pochodzenia, czyli są Niemcami; ich język inny niż polski; mają odmienną literaturę, mają własną sztukę pradžiejów sięgającą. Pradžiejów oczywiście niemieckich. I zaraz pojechał jakiś kustosz z Muzeum Etnograficznego we Wrocławiu do Zakopanego i jakiś berliński Privatdozent również. Dokonali szeregu ciekawych spotrzeżeń i odkryć między innymi, że swastyka w zdobnictwie góralskiem występuje (istotnie występuje, ale to powszechne w całej Europie i Azji jako prastary motyw zdobniczy i bynajmniej nie aryjski), że nawet na grobowcach istnieje ten znak (modnym był w okresie "Młodej Polski", stąd na pomniku Karłowicza przy starej drodze do Czarnego Stawu, stąd stał się odznaką 4 pułku piechoty w Legionach i stąd strzelcy podhalańscy go wzięli za odznakę a także towarzystwo księgarskie „Ignis.”)

Nie potrzeba było nic więcej. Dziś jesteśmy świadkami zabawnego widowiska jak z ludu podhalańskiego stara się uczynić jakiś odrębny już nawet nie słowiański ale "gocki szczep," który uległ tylko powierzchownie spolonizowaniu a który w swej kulturze artystycznej tak odrębnej od polskiej, zachował praniemieckie cechy. Baśnie Tetmajera przetłumaczono w gadzinówce niemieckiej i podano za przykład jak piękną, jak nie polską jest literatura górali, Witkiewiczowskie budynki, wille, kościoły i gmachy reprodukowane są jako dzieła sztuki ludowej niemieckiej a rozprawy historyczne powołują się ciągle na teorię prof. Antoniewicza. "Die Goralen" weszli w naukę niemiecką.

Na złą wolę niema lekarstwa, niema oczywiście argumentów. Jeden to z przykładów tylko, jak chytrze polityczna propaganda niemiecka śledziła ruch naukowy polski i jak z naszego regionalizmu stara się ukuć broń przeciw nam. To samo zresztą robią Niemcy w Jugosławii, to samo we Francji (Bretania i "kwestja bretońska"), toż cieszą się, że uda im się zrobić w Anglii ze Szkocją czy z Walią.

Niepodobna mieć pretensji do profesora Antoniewicza, że swoją rozprawę napisał i że taką właśnie hipotezę w niej postawił. Czynił to w najlepszej wierze naukowej i jego pomyłka nie ujmuje mu wcale zasługi, że na spinki góralskie zwrócił uwagę, że je posegregował i problem ich genezy poruszył.

Niemniej jeśli o góralszczyznę idzie, to czas sobie zdać sprawę z ogromnej zasługi Witkiewicza i Tetmajera (że tylko te dwa czołowe nazwiska wymienię) i czas sobie powiedzieć, że podhalańska kultura artystyczna jest w tej bogatej formie w jakiej dziś występuje, przetworzeniem przez inteligencję polską skromnej kultury ludowej, która tam istniała. Tylko to jest prawdą historyczną, wszystko inne romantyzmem naukowym.

JERZY KUNCEWICZ

O PEŁNE WYZWOLENIE CZŁOWIEKA.

SPRAWA CHŁOPSKA.

Ludność globu ziemskiego wynosiła w 1937 roku dwa miliardy sto dwadzieścia sześć milionów. Z pomiędzy tej ludności przeszło 80% żyło i pracowało na roli. Te 80% stanowi fundament naszego istnienia a produkując najniezbędniejsze do życia artykuły—cierpi nędzę. Cóż się stało z tą wielką masą, iż pozwoliła się zepchnąć w szeregi pariasów? Czemu widzimy w niej tak mało zdecydowania w walce o swe prawa i w walce z siłami przyrody? Świat się tak skurczył, tak potężnych środków dostarczyła człowiekowi technika, a nie widać skutecznych starań, aby zwały się szeregi rolnicze, aby nakreślony został plan działania i ukazany kierunek marszu. A przecież warstwa ta, posiadając realny kontakt z życiem, nieraz wykazywała jego zrozumienie. Jakies nieznanne siły, jakies moce potężne widać hipnotyzują wolę i wstrzymują działania rolnika.

Wszelkie formy uprawy, czy gospodarki rolnej zmuszają ludność zatrudnioną w tej dziedzinie, do skupiania się w nielicznych gromadach. Praca na roli nie pozwala na dalekie ograniczanie jej w czasie—granica jest tu potrzeba i możność wykonywania czynności. Rolnik nie ma tej swobody ruchów, co robotnik przemysłowy, czy mieszkaniec miast. Monotonia środowiska i brak różniczkowania zajęć potęgują moc i jednorodność charakterów. Trudy życiowe oraz bliskość natury umacniają realizm i zwartość psychiczną. Zmniejszenie skali typów ludzkich prowadzi po drogach powolniejszego, lecz zato bardziej organicznego i harmonijnego rozwoju.

Miasto z jego różnorodnymi podmiotami wytwarza zupełnie odmienny gatunek ludzki. Różnaitość zajęć zmusza do żywej reakcji. Ukształtowany w mieście materiał ludzki ma na krótkich dystansach przewagę w stosunku do wsi. Jednak przewaga miasta przy dzisiejszej metodzie pracy, przy obecnym rodzaju zainteresowań, jest niebezpieczna dla trwałości homo sapiens. Wieś, eksploatowana przez miasto, a kraje rolnicze upośledzone przez państwa przemysłowe, nie mają możliwości oparcia się siłom rozkładowym. To, co wieś wnosi zdrowego do miasta, to ciężna fizyczna i moralna, ciężna ta nie może długo się ostać przeciw sile asymilacyjnej miasta. Zanik kontaktu z rzeczywistością, powodowany nieuchwytnym dla zdrowego umysłu sensem pracy i rozrywek miejskich, dokonuje dzieła wynaturzenia. Zdrowy syn chłopca, gwarantujący utrzymanie gatunku, przekształca się w zdrowego robotnika, mieszczaucha, gwarantującego w niedalekim pokoleniu zanik instynktu rozrodczego. Zależność miasta od produktów rolniczych i surowców wywołała u lepiej zorganizowanego i

bardziej zaczepnego elementu miejskiego chęć walki eksploatacyjnej. Rozrastające się miasta z coraz większą trudnością zaspakajały swe potrzeby. Z rozwojem ich wzrastała jednak ich siła. Pierwotny okres stosunków, gdy miasta zaspakajały rękami rzemieślników potrzeby pobliskiej ludności rolniczej, gwarantował sprawiedliwą postawę wymiany usług. Proporcja potrzeb, zaspakajanych wzajemnie, była regulowana ilością pracy dostarczanej przez obie strony. Wzrost liczebny elementu miejskiego zależał od potrzeb i możliwości wsi. Okres przemysłowy, dając ludności miejskiej nieograniczone siły mechaniczne, załamując naturalne czynniki równowagi, stworzył druzgocącą przewagę miasta. Miasto mogło teraz wytwarzać ogromne ilości produktów przy stosunkowo niewielkim wkładzie pracy.

Zrazu czynnikiem hamującym nadużycia były związki rodzinne pomiędzy wsią i miastem. Czynniki ten z czasem tracił na sile. Wieś dla miasta stawała się coraz to odleglejsza. Względem zewnętrznym mogła być też świadomość nędzy wsi przy dobrobycie miasta, ale i ten wzgląd przestawał działać, bo miasto coraz mniej widziało poza sobą.

Tymczasem walki społeczne, rozgrywane się na terenie, miasta uderzały w dobrobyt wsi. Walka pomiędzy robotnikiem a kapitalistą o podniesienie płacy kończyła się często kosztem rolnika—kosztem obniżenia ceny artykułów spożywczych. Utworzył się jednolity front skłóconych wewnętrznie elementów miejskich przeciw niezorganizowanym agrariuszom. Bankier prawie nie był finansowo związany żadnymi interesami z rolnictwem. Ilość lokat pieniężnych w rolnictwie była niepomernie mniejsza, aniżeli ilość lokat miejskich. Bankier poczuwał się więc do solidarności z przemysłem i handlem. Przemysłowiec natomiast oprócz zależności od płac robotniczych, których wysokość wiązała się z cenami artykułów spożywczych, zależał także od ceny surowców rolniczych. Na przemyśle też ciążyło zagadnienie podaży niewykwalifikowanych sił roboczych, wychodzących ze wsi. Taniłość tych sił oraz surowców, jak również sił pracowniczych, decydowała o stosunku do wsi wśród posiadaczy warsztatów miejskich. Przemysłowiec działał przytem pod wpływem przemożnej zasady oszczędności. Akceptacja tej zasady uniemożliwiała mu odwrócenie toku rozumowania i znalezienie bardziej skutecznych rozwiązań dla swoich kłopotów. W głowie przemysłowca nie mogła powstać myśl o korzyściach płynących dla miasta z dobrobytu wsi, potężnego odbiorcy, gwarantującego rozwój zmechanizowanej wytwórczości. Czas takiego rozumowania jednak już się zbliża.

Przewaga przemysłowca, wspomaganego przez bankiera i kupca, była ogromna w stosunku do producenta wiejskiego. Ludzie ci, obok bezpośredniego wpływu na organizację państwa, posiadali jeszcze wielki wpływ na opinię publiczną. W rękach ich skupiona była prasa codzienna i większość prasy periodycznej. Małe wyrobienie intelektualne części publicystów, a przedewszystkiem zależność prasy od miejskiego rynku odbiorców, nie pozwalały na dalekowzroczne spojrzenie. Jedyne dzień dzisiejszy i troski dnia dzisiejszego formowały teorie. Codzienne zaś powtarzanie sloganów stwarza atmosferę oczywistości, której mało kto zdoła się oprzeć.

Takim sloganem nie tylko tłumu, ale także tak zwanych ekonomistów, była zasada taniego chleba i niskich kosztów utrzymania. Krótkowzroczny przemysłowiec i krótkowzroczny bankier dumni się czuli i szczęśliwi z powszechnego przyjęcia tych zasad, które w ich mniemaniu zapewniały ich interesom wielkie korzyści. Rolnik, przybywający z produktami do miasta, czuł się nieraz jak wróg w centrum niezdobytej twierdzy przeciwnika. Opinia o zachłanności świata wiejskiego weszła w wielu krajach w przyszłość. Imię rolnika stało się dla wielu synonimem żdzierstwa. W ślad za tą opinią szła działalność wszechmocnych urzędników, mieszkańców miast. Ci z kolei już w swoim własnym bezspornym interesie wywierali nacisk na

tryby aparatu państwowego. Władze podrzędne chwytają w lot myśl władz przełożonych. Funkcjonariusze skarbowi wyczuwają nastrój. Właściciele środków transportowych pomagali, jak mogli. O taniść artykułów rolniczych zabiegali celnicy. Drenowano wieś ze wszelkiego dobra materialnego wszystkimi rozporządzalnymi środkami. „Tani chleb, tani chleb”—powtarzano dokoła. „To obraza Boska żądać tyle za powszedni chleb”. „—Chleb muszą mieć wszyscy”. —A za chlebem szło mięso, warzywa, ser, jaja, bo przecież to także artykuły pierwszej potrzeby. Ceny artykułów przemysłowych normował właściciel kartelu, ceny artykułów rolniczych najczęściej normowała policja.

Rolnik zorganizowany i planowa uprawa oraz eksploatacja gospodarstw rolniczych, to—przy automatyzmie nastawień ludzkich—wielkie niebezpieczeństwo dla świata finansów i przemysłu. Planowość bowiem w rolnictwie groziła klęską zasądom niskich płac i tanich artykułów rolniczych. Podniesienie płac za ziemiopłody oznaczało wyższkę cen artykułów przemysłowych, a to z kolei—w tęym kręgu przemysłowego rozumowania—zmniejszenie możliwości produkcyjnych. W tych warunkach walka przeciw rewolucyjnym pomysłom stabilizowania organizacyjnego cen artykułów rolniczych oraz planowania produkcji rolniczej okazała się obowiązkiem dla kręgu odpowiedzialnych obywateli. Słuszna polityka Prezydenta Roosevelta np., zmierzająca w kierunku planowania rolniczego ujęta w ustawie znanej pod mianem tabeli „A”, zostaje obalona przez Najwyższy Trybunał Stanów i zakwalifikowana jako zamach na prawne zabezpieczenie konstytucją. Lecz oprócz kontrakcji, mniej lub więcej prawnej, puszczane zostały w ruch inne, mniej uchwytnie środki.

Ileż argumentów zużyły w swoim czasie te same sfery przemysłowe na bronienie, w myśl świętego prawa swobody zrzeszeń, idei tworzenia karteli, trustów! Ileż wylano atramentu, aby udowodnić, że organizacje te ułatwiają planowanie, usprawnianie produkcji, a nawet stwierdzono, iż powodują one obniżenie cen artykułów skartelizowanych. Teraz te same argumenty, zastosowane w obronie organizacji rolniczych i rolniczego planowania, okazały się nagle bez wartości. Wskazywano nawet na siły demoniczne przyrody. Poruszano słońce, wiatr i wodę. Ubolewano nad bezsilnością człowieka wobec tych nieodpartych mocy. Powoływano się na małość i niezarność rolnika. Wszystkie wywody zmierzały do jednego konkretnego celu: do zachowania przewagi paruset milionów mieszkańców miast nad prawie dwoma miliardami mieszkańców osiedli rolniczych.

Rolą kartelu jest zabezpieczenie zysku przedsiębiorcy i gwarancja wypłaty procentów bankierowi. Prawem robotnika jest troska o zaspokojenie swoich potrzeb i walka o możliwie wysoki udział w dochodzie społecznym. Natomiast obowiązkiem rolnika jest praca, bez względu na dochód i standard życiowy. Masa chłopska, stanowiąca większość świata rolniczego, ma przecież wielką misję społeczną wyprodukowania artykułów społecznych, bez których nie można istnieć. Chłop winien czuć doniosłość tej misji i czerpać z niej zadowolenie. Wspomniany wyżej specjalny podział praw i obowiązków pomiędzy poszczególne warstwy społeczne daje dewastacyjne rezultaty. Niszczy najpierw ludność rolniczą a w konsekwencji zubaża pozostałe warstwy ludności.

Fabryka może stać, może nie być używana. Kartel zapłaci właścicielom za przestój. Robotnik może nie mieć pracy, bo otrzyma zapomogę na wypadek bezrobocia. Fabrykant może ogłosić lokaut, walcząc z robotnikami. Robotnicy mogą przystąpić do strajku, domagając się poprawy warunków bytu. *A chłop zawsze musi pracować.* A niech się pojawią zielone sztandary na ulicach Paryża, żądając praw dla rolnika, cała prasa, jak to miało miejsce parę lat temu, stanie we wrogim obozie. Niech zastrajkuje producent mleka w Stanach Zjednoczonych, policja nauczy go rozumu.

Niech zastrajkuje chłop polski, zaludnią się więzienia. Niech stanie do walki parjas indyjski lub rolnik chiński—świat znajdzie środki na złamanie ich oporu. Ten stan rolnictwa i ta przewaga miasta i przemysłu w stosunku do większości mieszkańców globu—to nie tylko krzywda, tragedia, ale i groźba katastrofy dla całej ludzkości.

Na niedomagania gospodarcze i organizacyjne rolnictwa świat finansowy oraz przemysłowy mają jedną receptę: spotęgowanie wydajności produkcyjnej. Dla osiągnięcia tego celu najlepszym rzekomo środkiem jest zwiększenie ilości godzin pracy oraz zastosowanie sztucznych nawozów. Zwiększenie godzin pracy jest sposobem najbezpieczniejszym, gdyż kosztuje tylko rolnika. Sposób drugi też jest bezpieczny i korzystny, gdyż nawozy sztuczne pochodzą z fabryk skartelizowanych i posiadają ceny ustabilizowane. Cena zaś nawozów ulega przytem takiej kalkulacji, aby nadwyżkę, osiągniętą ze sprzedaży zboża, po wzięciu pod uwagę przewidzianej zniżki ceny, przenieść do kieszeni fabrykanta.

Jeśli robotnik, posłuchawszy dobrych rad, podsumuje rezultaty, co czyni bardzo rzadko—z rachunku się okaże, że cała zwyżka produkcji nie opłaciła zwiększonej ilości pracy, a czasem i ogólny rezultat finansowy jest ujemny.

Stajemy wobec klęski urodzaju, wobec nadprodukcji. Przed wyobraźnią naszą przesuwa się znane obrazy tysięcy wagonów kawy, palonych lub rzucanych w morze, tysiące wagonów żyta, czy pszenicy, niszczonych lub spasnanych przez trzodę. Miliony odkarmionych prosiąt zabijanych a mięso ich denaturowane. Jeżeli zaś jednocześnie uświadomimy sobie setki milionów głodnych i nieodzianych—znajdziemy ilustrację dzisiejszej potwornej gospodarki. Ta gospodarka—to już nie wina rolnika. To już wina tych górnych dziesiątków tysięcy które piszą po biurach, gadają po parlamentach, decydują po bankach, dyrygują i rozkazują. Te górne dziesiątki tysięcy odpowiadają za głodnych, odpowiadają za bezrobotnych, odpowiadają za klęski i za degenerację.

Tam, gdzie przewaga miast, handlu, przemysłu i finansów decyduje, tam dochodzi się często do groteskowych rozwiązań. Wielka Brytania, kraj ziem urodzajnych, poprostu przekreśliła swoje rolnictwo. Rolnictwo Wielkiej Brytanii odżywa wtedy, gdy klęska wojenna uderza w świat, gdy tonaż floty handlowej nie wystarcza na przywiezienie z na oceanu artykułów spożywczych. Jednocześnie tereny znacznie lichtsze Europy Centralnej, a także Ameryki Północnej, idą pod pług, aby deszczem piasków i ziem, odebranych lasom, zasypywać urodzajne pola. Ludność wsi, obecnie pozbawiona zajęć, w krajach uprzemysłowionych powiększa nie szeregi pracowników, lecz szeregi bezrobotnych. Oto rezultaty myślenia kategoriami, które już dawno nie mają odpowiednika w życiu.

Lecz najstraszniejsze skutki bezmyślności warstw kierowniczych oraz miast dopiero zaczną się ujawniać. Jesteśmy przywiązani nie tylko do życia swojego, lecz i do życia ludzkości i do rozwoju naszego gatunku. Potężny wzrost ludności świata w ubiegłym stuleciu został w ostatnich lat dziesiątkach nie tylko zahamowany, ale i cofnięty. Państwa uprzemysłowione wykazują najniższy przyrost ludności, a niektóre z nich zaczynają się wyludniać. Kraje rolnicze, pomimo nędzy, mają nadal tendencję rozwojową. Czyż wobec tego polityka miast, ogładzających wieś, nie prowadzi do załamania gatunku?

Czas wstrzymać nacisk na wieś, czas zaprzestać drenowania jej z ludności i dóbr materialnych. Należy raczej zapoczątkować proces odwrotny. W nowych warunkach mechanizacji coraz więcej będzie bezrobotnych w mieście. Trzeba zatem czuć, aby rozkład z terenów miejskich nie przeniósł się i nie przerzucił do państw rolniczych. Piecza nad człowiekiem i podporządkowaniem mu dóbr materialnych, a przede wszystkim zdrowie moralne, mogą to osiągnąć. Dorobek długich wieków, skupiony w czło-

wieku wsi—to nasza ostatnia rezerwa.

Smoki, które grożą rolnikom, nie są tak groźne, jak się utrzymuje, a ich panowie nie są tak przebiegli, jak się o tym sądzi.

ZAWODNI ZAWODOWCY.

Dotychczas obracaliśmy się w terenie stosunkowo mało uczęszczanym przez myśl. Tak się bowiem często składa, że im coś bliższe jest życiu codziennemu, tym dalsze jest naszej świadomości. Prawie każdy człowiek, z wyjątkiem większości biurokracji, zajęty jest wytwarzaniem dóbr użytkowych lub świadczeniem usług niezbędnych społecznie. Właśnie dlatego, iż czynności gospodarcze są chlebem dnia powszedniego, woła ludzie do nich nie wracać myślami. Dlatego też mitologja tych dziedzin życia budzi mniejsze zainteresowanie i nie spotyka się z takim ogniem dyskusji, jak problematyki polityczne. Jedynie wtedy w sprawach gospodarczych należy się spodziewać namiętnych głosów, gdy rozprawa zagraża prawdziwym, czy domniemanym interesom dyskutujących. Inaczej rzecz się ma w dziedzinie polityki. Zainteresowania polityczne przekraczają troski codzienne. Czas spędzony nad gazetą, czy na rozmowie na tematy polityki bieżącej, to czas wypoczynku. Tylko nie wielki procent ludzi żyje polityką, czy z polityki. Klechdy polityczne z całą ich scenerją zostały przez nas tak przyswojone, iż nie widzimy często absurdalności czy potworności prawd sugerowanych nam. Wykazanie istotnego waloru tych baśni i unaocznienie spustoszeń, które one szerzą, jest bardzo trudne. Lecz skoro ktoś zdecydował się na trzeźwość, nie wolno mu rzucać dobrego zamiaru w półdrogi.

Polityka jest to sztuka kierowania życiem zbiorowości, realizujących swe dążenia i ideały na terenie narodu lub na gruncie międzynarodowym. Podkreślanie zadań kierowniczych polityki, oraz przypisanie jej godności sztuki, to jest zdolności tworzenia—wyodrębnia tę dziedzinę ze sfery zawodowych czynności ludzkich i stawia przed nią cele specjalne. I oto już znajdujemy się w sprzeczności z opinią publiczną, która uważa politykę za najłatwiejszy fach. O, gdyby polityka była fachem i gdyby się można było jej uczyć, to i wtedy opinia publiczna nie miałaby racji, gdyż fach polityczny należałoby uważać za mniej uchwytny aniżeli fach filozofa, lub poety. Ilekroć spotykamy się w życiu z t. zw. zawodowcem politycznym, który nie jest obdarzony wielkimi walorami umysłu czy serca—stajemy się świadkami tragedii mas ludzkich, lub narodów. Polityka męża stanu, mającego poczucie odpowiedzialności, rozumiejącego jej znaczenie wychowawcze w stosunku do masy—jest natomiast darem bezcennym.

Czym powinna być dążność do upolitycznienia mas i do dania im prawa decyzji o najważniejszych sprawach bytu zbiorowego? Czy tylko chęcią stworzenia dla wszystkich równego startu oraz szansy wybicia się dla genialnych anonimów. A może czymś innym jeszcze?

Czymże może być i bywa polityka? Bywa ona źródłem dewastacji, źródłem korzyści niezastużonych, źródłem kawałów i posad dla odpadków społecznych. Znamy typ zawodowców politycznych, którzy prowadzą politykę podjazdów, oszukiwania, zaskakiwania, kłamstwa, walki o posady, o prawo korzystania i udzielania przywilejów. Lecz taka polityka to nie polityka, to kłeska narodowa. Przed tą polityką i przed tymi politykami chronić nas powinien zdrowy rozsądek i poczucie moralne.

Jeśli polityka nie jest fachem i nie wymaga przeszkolenia przy pomocy wkuwania dat i faktów, czymżeż jest ona jeśli nie sztuką? Polityk wartościowy, poza innymi zaletami, musi mieć wiedzę osobistą i zdolność syntetycznego ujmowania zjawisk. Musi być zarówno obdarzony fantazją, jak i zmysłem realizmu. Dobra proporcja tych darów natury decyduje o

użyteczności tego, kto wziął w swe ręce prawo inicjatywy, to prawo, które —choćby najskrupulatniej kontrolowane przez instytucje demokratyczne, daje tak wielką przewagę. Człowiek posiadający potrzebne politykowi dane osobiste, z łatwością doberze sobie dla współpracy znawców geografii, etnografii, historii, czy ekonomii.

Polityka—jest to *sztuka* kierowania życiem zbiorowości. Poza poprzednio ustalonymi cechami, narzucają się dalsze kwalifikacje polityka: znajomość życia i umiejętność wnikania w tendencje oraz dynamikę grup społecznych, czy narodowych. Znajomość życia wypływa z wykonywania pracy użytecznej z punktu widzenia codziennych potrzeb ludzkich. Kontakt z masą pracowniczą nie zastąpią ani konferencje, ani zgromadzenia wiecowe. Brak tego kontaktu grozi politykowi w najlepszym wypadku przejściem do sfery czystej abstrakcji. Przykład zaś Lenina, czy Savonaroli jest ilustracją tych niebezpieczeństw, jakie mieści w sobie rozum lub wiara oderwane od rzeczywistości. By móc odpowiedzialnie walczyć o kierownictwo lub kierować działaniem większych grup społecznych—nie wolno się usuwać z nurtu życia. Idea musi być zrośnięta z naturą, co nie przeczy temu, by otwierała perspektywy jutra o najśmielszym zasięgu. Trzeba jednak pamiętać, że idea polityczna nie jest świętą doktryną, nie jest prawdą objawioną. Doświadczenia życia dostarczają jej materiału i tylko wtedy jest ona zdrowa, gdy utrzymuje realny związek z narastającymi zdarzeniami.

Służba idei i wierność idei jest dla polityka sprawdzianem jego stosunku do spraw współżycia zbiorowego. Ten stosunek może być władczy albo służebny. Strzeżmy się ludzi o stosunku władczym, gdyż ich idea jest tylko zasłoną, kryjącą cele nie wiele mające wspólnego z reklamowanym interesem społecznym. Bądźmy pewni, że ci których cechuje stosunek władczy do idei, przekształcać ją będą częściej, aniżeli pozwoli na to uczciwość. Wsłuchajmy się w oświadczenie Hitlera, a znajdziemy ilustrację dla naszych twierdzeń.

Demokracje walczące, demokracja z dziewiętnastego stulecia, miały do przezwyciężenia bardzo wielkie trudności. Jedną z nich były kłopoty materialne jej przywódców. Przywódcy ci tylko czas wolny od pracy zawodowej poświęcali polityce. Parlament w dużej mierze składał się wtedy z ludzi zamożnych, którzy nie oglądali się na diety, wówczas zresztą nie istniejące. Posłowanie do parlamentu ludzi niezamożnych było wielką z ich strony ofiarą, złożoną na rzecz sprawy, w którą wierzyli. I wtedy demokracja była silna. I wtedy szła ona od zwycięstwa do zwycięstwa. Przedstawiciele demokracji mieli rzeczywisty kontakt z życiem i potrzebami mas społecznych. Jak często bywa, ubóstwo w połączeniu z bezinteresownością, dawało siłę polityczną. Poseł demokratyczny rozumiał potrzeby mas, składał dowód ofiarnej, bezinteresownej pracy publicznej, był człowiekiem charakteru. *Ostrożnie z tego rodzaju wywodami, wchodzą one wyraźnie na podwórze reakcji społecznej*, powie ktoś może. Nie, to nieprawda, nieprawda dziś w szczególności. Jeśli polityka nie ma być fachim, lecz sztuką w służbie społecznej, należy do polityka żądać ofiarności. Ofiara ta dziś mogłaby mieć inny charakter, aniżeli w ubiegłym stuleciu. Jednak—jeśli polityka ma być narzędziem realizowania ideałów oraz środkiem szkolenia charakterów—należy częściej mówić o tym, co przywódca-polityk, winien dać, niż o tym, co chce wziąć.

Dokąd nas zawiodły zwycięstwa polityczne demokracji? Nie sekundowały im powszechne osiągnięcia społeczno-gospodarcze. O rezultatach tej dysproporcji pouczają losy parlamentu francuskiego. Nie tylko Francja znalazła się pod ścianą płaczu na skutek zwyrodnienia swych ośrodków politycznych, w których ślad poszła degeneracja ośrodków administracyjnych. Rozkład zalewa wszystko i wszystkich, rozkład idący ze zwyrodniałych instytucji skupionych w grupach zawodowych polityków. W tych

warunkach jedynym źródłem ratunku są młode siły, tkwiące w masach ludowych. Jedynym zaś sposobem wyzwolenia tych sił jest odrodzenie i przebudowa instytucji demokracji politycznej, oraz stworzenie koniunktury dla pełnej demokracji społecznej.

Fachowość jest to stała i precyzyjna umiejętność wykonywania działań użytecznych, rozumienie związku i proporcji tych działań w stosunku do całości zjawisk życia. Jeśli przyjmiemy to określenie, stwierdzimy raz jeszcze, że polityka, która na kontynencie uważana jest za metodę realizowania doktryn ideologicznych, nie może być nazwana fachem. Jeśli zaś spojrzymy na politykę okiem anglo-saskim, jako na umiejętność pragmatycznego kierowania życiem państwa, to i w tym ujęciu nie znajdziemy fachowości. Fachowość polityczna—to wynalazek tych, którzy chcą z wygodnych foteli ministerialnych, czy parlamentarnych, uczynić niezasłużony przytułek na długi ciąg żywota. Zwolennicy fachowości politycznej, którzy utrzymują, że w *Chambre des Députés* czy na *Quai d'Orsay* zamknięte było ostatnio coś więcej, niż zbiorowisko inwalidów życiowych, skompromitowali się nie tylko w ostatniej rozprawie wojennej. Wyzbycie się starych czy młodych wygodnisiów politycznych, ludzi oderwanych od potrzeb i zmagani społecznego życia, nie jest tylko sprawą ratowania demokracji. Jest czymś znacznie większym, jest sprawą ratowania człowieka.

W dzisiejszym ustroju politycznym człowiek ginie. Biurokracja i wszelkiego typu urzędowanie zabija człowieka i jego działalność. Zastraszający wzrost rzeszy bezrobotnych pracowników, to jest wszelkiego typu urzędników i skrybów biurowych, ciąży obecnie nad życiem każdego obywatela, jak to nigdy i nigdzie jeszcze nie miało miejsca w dziejach świata. Powódź rejestracji, ankiet, okólników, ustaw—rośnie w tak szybkim tempie, że ani pytający, ani zalecający, ani ustawodawcy nie są w stanie nawet w przybliżeniu określić rezultatu swoich prac. Zabija się zdrowy sens, tępi inicjatywę, niszczy poszanowanie prawa na korzyść nieżyłości i ślepoty. Rozmiary katastrofy powiększa się przez ograniczenie pracy i ofiarności społecznej na wszystkich szczeblach zbiorowego życia. Związki zawodowe, związki producentów, związki ochrony ludzi czy zwierząt, organizacje rozrywkowe—wszystko zostało zalane powodzią urzędników, ze wszystkich tych prac usunięto czynnik zamięłowania. Prawda to, że życie się komplikuje, że coraz to nowe jego dziedziny wymagają planowania i porządkowania, ale czyż można planować bez zapалу, porządkować bez zainteresowania? Należy życiu zbiorowemu przywrócić żywego, czującego człowieka. Należy ograniczyć specjalną płodność najpłodniejszej warstwy, płodność urzędników, żadnych coraz większego zakresu władzy formalnej i coraz większego zastępu nowych, podległych im funkcjonariuszy. Ten rozrost biurokracji, dowodzącej swej niezbędności, jest także jednym z rezultatów fachowego parlamentu. Parlament parlamentarzystów i polityków zawodowych, to także profesjonalna forma służby urzędniczej.

„Oddajcie cesarzowi, co cesarskie”—mówi Pismo Święte. Oddajcie polityków narodowi—głosi zdrowy rozsądek. Polityk, powrócony społeczeństwu, polityk, który przestanie być zawodowcem, stać się może znowu użytecznym pracownikiem w zawodzie który posiadać powinien i w społeczeństwie, któremu da swoją pełnowartościową zdolność, wiarę i pracę.

Skasowanie grupy zawodowych polityków usunęłoby wiele niebezpieczeństw i zasklepiło źródła wielu niedomagań. Z niepewnych—nazwijmy to delikatnie—metod działania znacznej części zawodowych polityków oraz ich sposobu myślenia zrodził się bowiem szereg prawd, które zakazają życie ogólne. Jako przykłady, przytoczę wynalazki bardzo szeroko rozkolportowane przez tę grupę. Wynalazki te, zaczerpnięte z arsenału renesansowych despotów a obdarzone pozorami modernizmu, dzięki propagandzie i demagogji, przyjęte zostały bezkrytycznie a nawet z

entuzjazmem. A więc choćby zasada suwerenności państwowej. Cóż w interpretacji politycznej oznacza ta zasada? Oznacza prawo niedotrzymania zobowiązań i umów, które dla danego państwa okażą się w danej chwili niewygodne. Oznacza prawo zabierania cudzych terenów, zabijania, grabienia, jeżeli się ma siłę po temu. Oznacza demoralizację, bo rozszczepienie pomiędzy moralnością osobistą a moralnością publiczną. W istocie swojej zagadnienie suwerenności, to nie zagadnienie wolności narodów, czy państw, lecz samowoli jednostek, albo nawet jednostki, która stoi na czele hierarchii administracyjnej. Ta zasada jednak—pomimo całą swą sprzeczność z kulturą chrześcijańską, w której atmosferze żyjemy—została przyjęta, a gwałty, jakich pod jej sztandarami dokonano, pokryto burzliwym aplauzem zainteresowanych. Pokrewny jej, tajemniczy „interes państwowy“ zrodził się z tej samej matki, której na imię—nieuczciwość, a na nazwisko—krótkowzroczność.

Takimi hasłami oraz metodami konspiracji, ukrywania celów i motywów działania nie można wychować zdrowych moralnie, a więc silnych społeczeństw.

Rosnący dobrobyt materialny usuwa w cień przykazanie „nie kradnij“ podkreśla natomiast wezwanie: „Kochaj bliźniego swego.“ Zagęszczająca się ludność ze spotęgowanymi możliwościami komunikacji wymaga poczucia spotęgowanej moralności. Rozbudzenie zaś powszechnej moralności da się osiągnąć jedynie przez rewizję form politycznego współżycia wewnątrz narodów i między narodami. Dla osiągnięcia zaś tego celu musimy poprostu sięgnąć do nakazów serca.

ALEKSANDER HERTZ.

ZAGADNIENIE ISTOTNE.

Do zwycięskiego zakończenia tej wojny droga jest wciąż bardzo daleka. I bardzo trudna. Ale istnieje ogromne prawdopodobieństwo, że ją przebedziemy i że wojnę wygramy. Droga do wygrania pokoju jest bezporównania dłuższa i trudniejsza. A i prawdopodobieństwo pomyślnego jej przebycia o ileż jest mniejsze.

Wygranie pokoju po tej wojnie jest ostatnią stawką, jaką rozporządza Europa w wielkiej grze historycznej o swą przyszłość i o przyszłość swej cywilizacji. Jest zarazem ostatnią stawką, jaką rozporządza Polska w grze o swe istnienie i o swój rozwój kulturalny. Pokój zaś będzie przegrany, jeżeli koniec wojny obecnej będzie tylko początkiem jakiejś „pieredyszki“, oznaczającej wstęp do nowej wojny, tym razem już definitywnie grzebiącej nas wszystkich i naszą cywilizację. I dlatego wygranie pokoju jest zagadnieniem równie kapitalnem, jak wygranie wojny światowej numer drugi.

Zagadnienie to nie może być odkładane na później. Musi one być stawiane i analizowane już dziś, jeszcze w toku wojny. Wojna zastała nas nieprzygotowanymi, pokój może nas zastać nieprzygotowanymi w jeszcze większym stopniu. Nieprzygotowanie do wojny wyrażało się przedewszystkiem w konserwatyźmie myślowym naszych kierowników (a wraz z nimi i najszerzego ogółu), w braku wizji, w lęku przed nowatorstwem. To samo grozi nam w stosunku do pokoju. Tylko że tu decyzje mogą być trudniejsze, bardziej nieodwołalne, bardziej brzemiennie w następstwa, niż decyzje wojenne.

Trzeba jasno stwierdzić, że prawdopodobieństwo przegrania pokoju istnieje i że jest niemałe. Co więcej—jest ono nawet bardzo duże. Albowiem nie widać dotąd, by skryształizowały się jasne idee przyszłego

porządku, by zdobyły one dla siebie właściwą dynamikę, by miały za sobą oparcie w dążeniach masowych. I nie widać dotąd, by załamaniu się uległy rzeczy najgorsze, najpewniej gwarantujące przegranie pokoju—ciasny i ślepy konserwatyzm, myślenie kategorjami przeszłości, niezdolność dostrzegania rzeczywistości. Pokój zostanie przegrany, jeżeli decydowanie o nim nie przypadnie w udziale ludziom z wizją, ludziom, którzy potrafią wyciągnąć odważnie wnioski z tej największej z rewolucyj, jaką jest wojna obecna. I jeżeli ci ludzie, nie potrafią tej wizji narzucić masom ludzkim.

W podobnych warunkach został przegrany pokój roku 1919. O klęskę jego zawyrokowało zwycięstwo konserwatystów europejskich i amerykańskich nad wizjonerstwem osamotnionego Wilsona. Zadecydowało zaś o niej przedewszystkiem to, że nowe treści życia zbiorowego starano się zamknąć w formy stare i faktycznie przeżyte. To samo niebezpieczeństwo grozić nam może znów. Znow bowiem wyraźne są tendencje w kierunku wtłoczenia nowych treści historii w kształty stare, przeżyte, umarłe. A sytuacja jest o tyle groźniejsza, że przemiany, wywołane przez wojnę obecną, są większe, wszechstronniejsze, głębiej sięgające, niż te, które znaczyła wojna poprzednia.

Walka o wygranie pokoju jest starciem się konserwatyzmu, żyjącego przeszłością i wierzącego, że poza nią nie istnieją inne rozwiązania, a rewizjonizmem, nowatorstwem, który coraz lepiej odczuwa, że tylko przez kolosalne przemiany form i treści wiedzie droga do zdobycia pokoju. Ta walka jest prowadzona na głównych odcinkach wielkiego frontu wojny o wolność, toczy się w centrach kierowniczych naszego światowego obozu i rozgrywa się z niemniejszą intensywnością na odcinkach mniejszych, których znaczenie, choć lokalne, jest przecież dla całości bardzo istotne. Toczy się ona również i na odcinku polskim. Jest tu ona nawet szczególnie dramatyczna.

Czy w końcu trzeciego roku naszego udziału w tej wojnie zostało w naszych środowiskach postawione zagadnienie, jaką ma być ta rola dziejowa, którą Polska powinna odgrywać, by pokoju nie przegrała? Czy wytworzyła się tu jakaś wizja przyszłości Polski, jakaś pozytywna koncepcja zadań naszego kraju, jego misji dziejowej? Albowiem to są zagadnienia prawdziwie istotne, zagadnienia, bez których rozwiązania nie będziemy mogli przystąpić ani do budowania nowej Polski ani do uczestniczenia w budowaniu nowego świata.

Oczywiście nie chodzi tu o ogólnikowe, deklaratywne odpowiedzi na pytanie, jak sobie wyobrażamy przyszłą Polskę. Oświadczenia, że będzie ona demokratyczna, sprawiedliwa, praworządna, nie wiele jeszcze mówią. Niewątpliwie w warunkach naszych są one pożyteczne. Mają swe znaczenie wychowawcze, wypowiedane w sposób autorytatywny stanowią zobowiązania wobec przyszłości. Byłoby bardzo źle, gdyby nie były one składane. Ale nie dają one odpowiedzi na pytanie podstawowe. A tymczasem sens tych deklaracji zależy właśnie głównie od tego, jaka odpowiedź padnie na pytanie zasadnicze. Demokrację, sprawiedliwość, praworządność można rozumieć bardzo rozmaicie. Inne też powstają implikacje, gdy się je wiąże z ideą Polski—części integralnej zjednoczonej i demokratycznej Europy, a inne znow gdy się ma na względzie ideę Polski mocarstwowej, suwerennej i autarkicznej.

Prób sformułowania wizji historycznej przyszłej Polski było od początku wojny nie mało. Miały one jednak raczej charakter akademickich rozważań, były rzucane niejako na marginesie spraw codziennych, nie stawały się przedmiotem poważniejszych dyskusyj. Miało się wrażenie, że nie były to sprawy pasjonujące ogół. Możliwe zresztą, że w kraju sprawy te były gorącej przyjmowane i pewne wypowiedzi prasy podziemnej zdają się o tem świadczyć. Emigracja jednak interesowała się tem niezbyt wiele.

I dopiero sprawa paktu polsko—sowieckiego i związane z nim zagadnienie granic spowodowały, że pewne koncepcje zostały wypowiedziane. A i to raczej *implicite* niż *explicitie*. Stanowiska nie zostały dopowiedziane. Można je odnaleźć u podstaw dyskusji na temat paktu i granic, można je wydedukować, wyprowadzić, są one milcząco przyjętymi założeniami, przesłankami, nie są zaś rozwiniętym systemem myślowym. Jest w tem przedewszystkiem publicystyka, gra polityczna. To zaś nie wystarcza. Niemiej jednak zasadnicze filozofje czy systemy zarysowały się wcale wyraźnie i mogą stać się przedmiotem analitycznego podejścia.

Tak jest w pierwszym rzędzie ze stanowiskiem, którego sztandarowym przedstawicielem stał się na emigracji Ignacy Matuszewski. Niewątpliwie jest on wyrazicielem określonej koncepcji i, po przedarciu się przez gąszcz frazeologicznej demagogii i szablonowego emocjonalizmu, które cechują styl Matuszewskiego, nie trudno jest do niej dotrzeć. Koncepcja ta czerpie swą siłę z posiadania podstawy emocjonalnej i z czynnika tradycji, na którym się opiera. Jest to koncepcja zdecydowanie konserwatywna i można ją uważać za najbardziej zdecydowany przejaw tego nurtu konserwatywnego, jaki tak tragicznie zaznaczył się w epoce przedwojennej, w historii tej wojny, i jaki może nam przynieść przegranie pokoju.

Filozofję swoją wyraża Matuszewski przez hasło Polski „całej, wielkiej, wolnej i niepodległej“. Jest to oczywiście hasło wybitnie emocjonalne i w sposób emocjonalny ujęte. Utrudnia to też oczywiście jego analizę, zwłaszcza analizę krytyczną. Analityk takiego hasła naraża się zgóry na erupcję obrażonych uczuć, na której zerować będzie cyniczna demagogja. Znamy metody Matuszewskich i wiem do czego są oni zdolni! I nie dziwię się, że znajdują posłuch. Bagatela, co myśleć o człowieku, który „nie chce“, by Polska była „cała, wielka, wolna i niepodległa“? Rzecz jednak w tem, że człowiekowi temu nie chodzi w jego krytycznej analizie o fakt całości, wielkości, wolności i niepodległości Polski, ale o sens tych słów w stanowisku Matuszewskiego i o implikacje, jakie z tego stanowiska wynikają. A to są rzeczy zgoła różne.

Jeżeli więc od słów przejdziemy do treści, to bez trudu zauważymy, że koncepcja Matuszewskiego jest kontynuacją przedwojennych ideologii, w Polsce bardzo popularnych i mających swe odpowiedniki i w innych krajach. Jest to koncepcja państwa suwerennego, nacjonalistycznego, kierującego się wyłącznie własną racją stanu, państwa nie związanego organicznie z resztą świata. Jest to dalej, kontynuacja przedwojennej ideologii mocarstwowej, jakkolwiek Matuszewski unika tej, mocno skompromitowanej, nazwy. Zresztą przyjaciele ideologiczni Matuszewskiego dopowiedzieli za niego niejedno, przyczyniając się ze swej strony do powstania bardziej pełnego obrazu.

Filozofja tego kierunku da się sprowadzić do kilku zasadniczych punktów. Pierwszym z nich jest definicja wojny obecnej. Jak każda inna wojna, jest ona starciem się sprzecznych interesów narodo—państwowych. Matuszewski nie wierzy w ideologiczny charakter wojny. *Implicite* jest mu nawet przeciwny, *explicitie* ironizuje zlekka na ten temat. Anglicy walczą o byt swego Imperjum, podobnie i Polska bierz udział w wojnie ze względu na swe cele państwowe, dające się wymierzyć we wzroście jej potęgi, znaczenia, w osiągnięciu zdobyczy terytorjalnych i ekonomicznych. O charakterze wojny decydują więc interesy oddzielnych państw, jest ona starciem się sił, mocy. Zwycięzcy moc swą powiększą przez rozszerzenie swych terytorjów i bogactw, zwyciężeni w odpowiedniej mierze ją stracą. Ideologia jest w tem wszystkim czynnikiem ubocznym, narzędziem propagandy, która w wojnie dzisiejszej jest ważnym środkiem walki. Posługiwanie się nią jest jednak kwestją techniki. Nie oznacza to oczywiście, by strony walczące nie miały dla siebie oparcia w argumentach moralnych. Postulaty ich mogą być moralnie „słuszne“ albo „niesłuszne“. Rozmiar ofiar,

jakie Polska poniosła w tej wojnie, daje moralną legitymację dla polskich żądań terytorjalnych, ekonomicznych czy prestiżowych. Legitymacja ta jednak wynika z interesu Polski, pojowanego w sensie imperialistycznym i nacjonalistycznym. Legitymacją tego typu posługiwano się zawsze w wszystkich wojnach poprzednich i filozofja Matuszewskiego trzyma się tu starych wzorów (Gott mit uns).

Wojna ma więc przynieść zdobycze, których celem jest podniesienie mocy państwa i zabezpieczenie go na przyszłość. Bezpieczeństwo jest więc pochodną dogodnych granic strategicznych, podniesienia potencjału gospodarczego, przyrostu ludności, odpowiednich traktatów z innymi państwami. Niema tu też miejsca na ideę bezpieczeństwa zbiorowego, w sensie proponowanym przez wielu współczesnych wizjonerów, w sensie Karty Atlantyckiej czy koncepcji wiceprezydenta Wallace'a. Jest natomiast całkowity powrót do tradycyjnych poglądów i tradycyjnych szkół myślenia politycznego. Stosunki międzynarodowe są zamknięte w ramach traktatów, zawieranych przez równe i równorzędne, suwerenne państwa. „Nic bez nas o nas“ jest hasłem, które Matuszewski akcentuje niezmiernie mocno.

Ten tradycyjnalizm zaznaczy się szczególnie wyraźnie w koncepcji powojennego świata. Wojna stworzy nowy układ sił na świecie i w Europie. Celem stanie się tu osiągnięcie nowej formuły balance of power. Założeniem jego będzie antagonizm angielsko—sowiecki, wynikający ze sprzeczności interesów obu mocarstw. W tej sytuacji Anglja powinna być szczególnie zainteresowana w potężnej Polsce, która stanowić będzie nadzwyczaj ważny czynnik utrzymania równowagi europejskiej. Silna Polska stanie się zaporą dla wzrostu ekspansji rosyjskiej, a jednocześnie, skupiając dokoła siebie mniejsze narody tej części Europy, stworzy barierę pomiędzy Niemcami a Sowiecami. System angielsko—polski będzie więc czynnikiem równowagi w Europie centralnej i wschodniej.

Prawdopodobieństwo takiej sytuacji jest ogromne. Według bowiem wszelkich danych koniec tej wojny będzie powtórzeniem końca wojny poprzedniej. Niemcy zostaną pobite, ale Sowiety wyjdą tak osłabione, że na długi przeciąg czasu okażą się niezdolne do aktywnej polityki zagranicznej. Możliwe, że przejdą nawet przez okres wstrząsów wewnętrznych i anarchji. Stwarza to doskonałą perspektywę dla Polski i dla Anglii. Polska będzie mogła zrealizować te cele, których nie mógł zrealizować Marszałek Piłsudski. Albowiem łatwo przyjdzie polityce polskiej pozyskać dla tych planów Anglję i Amerykę.

Tak w najbardziej generalnych liniach dałaby się ująć koncepcja grupy, którą dla uproszczenia nazwiemy grupą Matuszewskiego. Niewątpliwie nie wszystko w jej wystąpieniach zostało jasno wypowiedziane, nie wszystkie punkty są uzgodnione. Są tam różne odchylenia i nie brak ujęć bardzo mętnych. Niemiej zasadnicze elementy sprowadzają się do takiej koncepcji, jaką próbowałem podać powyżej.

Koncepcja ta jest wybitnie niebezpieczna i ponadto utopijna. Z punktu widzenia życiowych interesów Polski jest to koncepcja samobójcza. Albowiem zwycięstwo jej w polityce polskiej mościłoby szeroki gościniec, wiodący do nowego i zapewne jeszcze straszliwszego wrześniea. Matuszewski nawraca do tej filozofji politycznej, której skutki były dla Polski tak katastrofalne. I wielkiem dla Polski jest szczęściem, że Ignacy Matuszewski jest w tak ostrej opozycji wobec zagranicznej polityki generała Sikorskiego.

Zacznijmy od końcowych elementów tej ideologii, albowiem one najlepiej wykazują utopijność całości. Ideologia ta zakłada prawdopodobieństwo powtórzenia się sytuacji z roku 1918. Sytuacja ówczesna miała rzeczywiście decydujące znaczenie dla całego dwudziestolecia przedwojennego. Polska znalazła się wtedy w wyjątkowym położeniu: Niemcy i Rosja rozbite, Polska jedynym poważniejszym czynnikiem siły w tej części Europy

Prawda, że już wtedy rozbicie obu naszych sąsiadów nie było tak absolutne, by zostawiało nieograniczone pole dla osiągnięć terytorjalnych na rzecz Polski (wyprawa Kijowska, Śląsk, Mazury), ale umożliwiło powstanie państwa o znacznym terytorjum i o poważnej sile militarnej. Z drugiej strony Francja—jedyna realna siła na kontynencie europejskim—zbudowała wtedy swój system bezpieczeństwa, którego ważną częścią składową stała się Polska. Bezpieczeństwo Polski, jej znaczenie polityczne były pochodną zarówno słabości obu jej sąsiadów jak i uczestniczenia we francuskim systemie bezpieczeństwa. Innemi słowy, Polska tak długo mogła czuć się bezpieczna i mocarstwowa, jak długo Sowiety i Niemcy były słabe, a system francuski działał sprawnie. Dodajmy, że sprawność tego ostatniego była z kolei pochodną słabości Niemiec i Rosji.

Ten jednak stan rzeczy nie był długotrwały i być nim nie mógł. Już w roku 1931 warunki z roku 1918 należały do historii. Kolosalny błąd polityki beckowskiej polegał na tem, że nie rozumiała ona, że takie zmiany nastąpiły. W tym czasie gdy Niemcy i Sowiety stały się już potęgami, Polska zachowywała się tak, jakgdyby nic się nie zmieniło. Co gorsza, Beck przyczynił się ze swej strony do rozbijania resztek francuskiego systemu bezpieczeństwa, co już było kompletnym absurdem.

Nie jest rzeczą prawdopodobną, by u końca tej wojny powtórzyła się sytuacja z roku 1918. Możliwe, że Sowiety wyjdą z wojny osłabione, ale nie mniej zostaną się jako jedyny na kontynencie czynnik zwycięski. Takie osłabienie Sowietów, jakie istniało w Rosji w okresie rewolucji, równałoby się albo zwycięstwu Niemiec, albo stanowi jakiegś kompletnej anarchji w całej Europie. Napewno też nie byłoby pożądane z punktu widzenia interesów Polski, kraju wyniszczzonego, zrujnowanego o wiele bardziej niż w roku 1918. Sojusz Angielsko—Sowiecki świadczy zresztą najlepiej, że Anglja dąży do współpracy z Sowiecami na terenie Europy, że widzi w nich wielką siłę, która zdolna będzie prowadzić politykę konstruktywną w tej części świata.

W koncepcji angielskiej Sowiety mają odegrać w przyszłości tę rolę, jaką po pierwszej wojnie odegrała (zresztą nieszczęśliwie) Francja. Po tamtej wojnie udział we francuskim systemie bezpieczeństwa był jednym z warunków bezpieczeństwa Polski. Jeżeli się liczy na powtórzenie ówczesnej sytuacji, to trzeba przyjąć dla Polski konieczność wejścia do jakiegoś systemu, który zastąpi system francuski. Może to być tylko system rosyjski. Innemi słowy, z przesłanek, na jakich opiera się myślenie Matuszewskiego, wynika perspektywa wejścia właśnie do konstelacji, politycznej sowieckiej, więc to, co się Matuszewskiemu tak nie podoba! Lepiej rzeczy te zdaje się dostrzegać Mackiewicz, który wyszedł z koncepcją bloku łańskiego jako przeciwwagi dla Sowietów. Nie trudno udowodnić, że koncepcja Mackiewicza jest beznadziejnie utopijna. Pomiemy tu zresztą jej reakcyjny aspekt. Mackiewicz swój blok łański widzi w sojuszu Francji, Włoch i Hiszpanji, rządzonych przez umiarkowany faszyzm.

Polska nie ma danych na politykę wielkomocarstwową. Stwierdzenie tego będzie przykre dla uczuć wielu moich rodaków. Niestety rzeczy prawdziwe są zazwyczaj najprzykrzejsze. Złudzenia mocarstwowe kosztowały nas nadzwyczaj dużo. W przyszłości mogą nas kosztować jeszcze więcej. Wykładnikiem mocarstwowości nie są dziś ani rozmiary państwa, ani ilość mieszkańców. Jest rzeczą wątpliwą, czy w przyszłości w ogóle któreś z państw europejskich będzie mogło prowadzić politykę tradycyjnej mocarstwowości, Europa przestała już być ośrodkiem dyspozycji światowych. Nowe imperja mogłyby mieć tylko charakter systemów w skali wielokontynentalnej i wielooceanicznej. Nie ma danych na mocarstwo kraj ubogi, wyniszczony, o słabo rozwiniętym przemyśle, technicznie zacofany. Mówić o Polsce mocarstwowej oznaczało stwarzać fikcję, która prędzej czy później zostanie tragicznie skonfrontowana z rzeczywistością.

Gdyby koncepcja Matuszewskiego została zrealizowana w całej pełni, mielibyśmy w Europie powrót do systemu dwudziestu kilku suwerennych państw, związanych ze sobą sojuszami, których celem byłaby obrona stanu posiadania przeciwko Niemcom, Włochom, ewentualnie Sowiетom, ewentualnie jakimś innym rywalom. Pozostawione bowiem byłoby miejsce dla wszelkich rywalizacji i dla wszelkich kombinacji międzypaństwowych. Byłby więc to powrót do przedwojennego status quo, byłoby to zakonserwowanie tych zasadniczych momentów, które doprowadziły do wojny obecnej. I byłaby to perspektywa trzeciej wojny światowej.

Perspektywa szczególnie tragiczna dla narodów mniejszych, zgóry skazanych na niemożność prowadzenia polityki „mocarstwowej“. Takim narodem jest w pierwszym rzędzie naród polski, który choćby wobec położenia geograficznego zawsze pada ofiarą wszelkich burz europejskich. W najżywoniejszym też interesie naszego narodu leży usunięcie tych elementów anarchji europejskiej, które muszą nieubłaganie prowadzić do burzy wojennej i do katastrofy. Od suwerenności, od mocarstwowości — jakże iluzorycznych — ważniejszy jest byt narodu, ważniejsza jest możliwość rozwijania jego kultury.

I dlatego kierunek myślowy, reprezentowany przez Matuszewskiego, jest doktryną samobójczą, nieprawdopodobnie dla przyszłości Polski groźną, gdyby miała zatrumfować.

To samo da się powiedzieć o różnych warjantach tego stanowiska, z którymi tu i ówdzie można się spotkać. Takim warjantem jest idea jagiellońska. Oznacza ona stuprocentową utopię. Od czasu Jagiellonów dużo na świecie się zmieniło i jest dziecinnadą wierzyć, że warunki z wieku XV dadzą się wskrziesić w wieku XX. W wieku XV państwo jagiellońskie było na przestrzeni ogromnej części Europy jedyną siłą państwowotwórczą, atrakcyjną, zdolną przyciągać ku sobie inne narody. Dziś taką siłą nie jest. Ukraina i Białoruś wykazały w tej wojnie, jak silny jest ich związek z Sowiетami. Czeši absolutnie się nie zgodzą na podporządkowany stosunek wobec Polski, podobnie jak nie zgodzi się na to żaden inny z naszych sąsiadów. Każdy z nich wytworzył własne tradycje państwowe i kulturalne, każdy z nich ma poczucie swego znaczenia dziejowego. I każdy z nich, jeżeli myśli realistycznie, będzie szukał dla siebie zabezpieczenia naprawdę trwałego i skutecznego. Realizacja idei jagiellońskiej takiego zabezpieczenia dać nie może. W innych narodach budzi ona uzasadnione podejrzenie postaci imperjalizmu polskiego, zamaskowanego przez mało-konkretne deklaracje.

To samo da się powiedzieć o koncepcji słowiańskiej, rozumianej jako skupienie się narodów słowiańskich dookoła Polski i z wyłączeniem Rosji. Idea słowiańska nie jest siłą dynamiczną. Nie była nią zresztą nigdy. Taki blok ludów słowiańskich, składający się z Polaków, Czechów, Słowian Bałkańskich — nie będzie tworem ani samodzielnym ani zdolnym do życia. Jest to spekulacja ideologiczna, ale nie trzeźwa myśl polityczna.

Koncepcjom tego rodzaju przeciwstawiam ideę związków regionalnych. Zaliczam ją do kategorii przeciwnych stanowisk, wynikłych z racjonalnego ujmowania dzisiejszej sytuacji dziejowej. Idea ta różni się bowiem zasadniczo i od idei jagiellońskiej i od naiwnego „słowianofilstwa“. I trzeba różnicę tę jasno podkreślić, albowiem nieraz nie jest ona wyraźna i częstokroć gubi się w sformułowaniach poglądów różnych jej przedstawicieli.

Idea konfederacji polsko-czechosłowackiej, idea szerszych od niej związków regionalnych, nie wychodzi z przesłanki supremacji jednego z uczestników nad innymi. W tem zasadnicza różnica w stosunku do idei jagiellońskiej. Ale nie jest to różnica jedyna. Mianowicie wszystkie te koncepcje mają sens, gdy federacje i bloki regionalne są traktowane jako elementy składowe szerszej organizacji europejskiej, jako oparte o rozległy system uregulowania stosunków światowych. Zastąpienie dwudziestu

kilku słabych państw europejskich przez mniejszą ilość mocniejszych bloków regionalnych z pozostawieniem całej anarchji międzynarodowej nie przyniesie nam żadnego rozwiązania wielkiego problemu wygrania pokoju. Sprawa jednak zaczyna wyglądać inaczej, gdy ideę regionalną wypełni się nową treścią, treścią europejską.

I na tem polega kolosalne znaczenie projektu konfederacji polsko—czechosłowackiej. Rozpacz ogarnia, gdy się pomyśli, że to jedno z najbardziej epokowych posunięć polityki polskiej wzbudziło znacznie słabszą dyskusję, niż kwestja granic wschodnich. A przecież ono wyznaczyło kierunek, według którego iść winna polska myśl państwowa, który nam daje gwarancje istnienia i rozwoju. Yolles z nowojorskiego „Nowego Świata“ martwił się, że łącząc się z Czechami zatracimy swą odrębność państwową. Beznadziejni ludzie, którzy nic nie zrozumieli, niczego się nie nauczyli.

Konfederacja polsko—czeska daje perspektywę przewycięzenia stanu anarchji, jest koncepcją konstruktywną i głęboko europejską. Stwarza wizję nowych związków państwowych wielonarodowych, otwiera dostęp dla nowych uczestników. Jako część ogólnego systemu europejskiego może być elementem ugruntowania trwałego pokoju. Przewycięża lokalne antagonizmy, otwiera zupełnie nowe możliwości rozstrzygnięcia lokalnych sporów. Problem Cieszyna w ramach takiej organizacji przestaje być wogóle problemem. Wreszcie cała ta koncepcja ma ogromne znaczenie wychowawcze. Uczy myśleć w ramach szerszych, niż ramy dotychczasowych tradycyj i dotychczasowych doświadczeń historycznych. Niewątpliwie otwiera ona pewne trudności. Ale są one do przewycięzenia. I właśnie forma związku federalnego stwarza doskonałą platformę dla ich przewycięzenia.

Ale podkreślam to raz jeszcze—idea regionalna nabiera sensu dopiero wtedy, gdy staje się składnikiem szerszej idei europejskiej. I mam wrażenie, że tylko w realizowaniu się tej idei zawiera się możliwość wygrania pokoju po wygranej wojnie.

U podstaw wojny obecnej leży anarchja gospodarcza i anarchja polityczna. Wojna poprzednia nie usunęła przeżytego feudalizmu gospodarczo—społecznego i feudalizmu politycznego. Traktaty pokojowe nie dotknęły zupełnie sfery stosunków gospodarczo—społecznych, nie wyciągnęły żadnych wniosków ani z rewolucji rosyjskiej ani z ruchów rewolucyjnych w innych krajach. W momencie podpisywania traktatów ruchy te były już bardzo silne. Idea Wilsona została sparodjowana i wypaczona przez przyjęcie z niej tylko zasady samostanowienia narodów i wyrzucenia wszelkich momentów konstruktywnie—organizacyjnych w skali światowej. W rezultacie okres powojenny pogłębił stan rozprzężenia i anarchji, zaostrzył konflikty społeczne, skazał na bezsilę instytucje międzynarodowe.

Wygramy pokój, jeżeli usuniemy gospodarcze założenia anarchji i jeżeli zlikwidujemy feudalizm polityczny. Obie postacie feudalizmu—gospodarczy i państwowy—przeżyły się już w zupełności. Wojna dobija je do reszty. Próby utrzymania ich, zakonserwowania, muszą prowadzić do nowej katastrofy.

Zajmuję się tu tylko sprawą feudalizmu politycznego. Przewycięzenie go może nastąpić tylko w postaci zwycięstwa myśli europejskiej, w postaci nowej organizacji zjednoczonej Europy. Tylko taka organizacja może zapewnić bezpieczeństwo zbiorowe i dać ludom Europy szanse pokojowego i twórczego rozwoju.

Nie zajmuję się tu prawną strukturą tej organizacji. Rozumiem doskonale, jakie trudności leżą na drodze do jej zrealizowania. Pomijam tu różne praktyczno—polityczne aspekty tego zagadnienia. Kwestyj trudnych jest tu ilość ogromna. Nie widzę jednak innej drogi do wygrania pokoju, jak tylko przez znalezienie takiego rozwiązania.

Nie widzę przedewszystkiem innej drogi dla Polski. Musimy mieć długie lata pokoju, bezpieczeństwa rzeczywistego a nie pozornego. Musimy mieć możność rozwinięcia naszego życia kulturalnego, społecznego, naprawienia zniszczeń spowodowanych przez obie wojny. Nie możemy żyć na wulkanie, musimy w końcu zacząć żyć normalnie.

Co to znaczy idea europejska? To znaczy uświadomienie sobie, że ludy tego małego półwyspu eurazyjskiego są związane wspólnotą losów, wspólnotą kultury, wspólnotą interesów. To znaczy uświadomić sobie wreszcie, że istnieje fakt wspólnej europejskiej ojczyzny, wspólnego domu dla licznych narodów, różnych językami obyczajami, tradycjami, a jednak tak bliskich sobie najistotniejszymi treściami życia kulturalnego. To znaczy uświadomić sobie, że każdy naród europejski niesie dziejową odpowiedzialność za wszystkie inne narody, niesie ją w złem i w dobrem.

Idea europejska nie przekreśla poczucia odrębności kultur narodowych. Nie przekreśla dróg rozwoju oddzielnych narodów. Zostawia szerokie pole dla kultur lokalnych i dla lokalnych patriotyzmów. Ale wymaga rozwinięcia się patriotyzmu ogólnoeuropejskiego, jako elementu patriotyzmu ogólnoludzkiego.

Nie widzę możliwości wygrania pokoju, jeżeli taka idea nie zatriumfuje. I wierzę ciągle, że w toku doświadczeń tej najstraszliwszej z wojen skrytalizuje się w poczuciach i w dążeniach zbiorowych ideał europejski, tak jak w ogniu rewolucji francuskiej powstał ideał Francji. A wojna obecna jest przeciw wielką rewolucją i wielką wojną domową.

I w tym widzę wielką perspektywę dla Polski. Wizja przyszłej Polski musi być wizją Polski europejskiej. I tylko taka wizja może dać nam nadzieję, że bezmiar mąk tej potwornej wojny nie pójdzie na marne, że wyzwolimy się z zaklętego kręgu samounicestwienia się. Bo każda idea powrotu do przedwojennego feudalizmu, każde dążenie do spectryfikowania zmurszałych form i treści równa się dążeniu do samounicestwienia się.

Obok zagadnienia wygrania wojny staje przed nami wszystkimi na wszystkich odcinkach frontu wolności zagadnienie wygrania pokoju. Jeżeli zwyciężą koncepcje konserwatywne, jeżeli nie zatriumfuje śmiała wizja, płynąca z należytego rozeznania sensu wielkich wydarzeń dziejowych, jeżeli innemi słowy zwycięży kurs, którego reprezentantami w rozmaitych krajach są różni Matuszewscy i Mackiewicz—pokoju nie wygramy. I dlatego ludzie ci są tak groźni. Uosabiają oni bowiem w sobie wieczystą małość, która zgubiła już tyle pokoleń ludzkości i tyle największych cywilizacji. Dla wygrania wojny musimy pokonać Hitlera, dla wygrania pokoju—małość, która się pleni w naszych szeregach.

ANTONI SŁONIMSKI.

ZIEMIA.

Jak listy zapomniane gdzieś w szufladach biurka—
Niech zamilknie historja—jak piosnka w kurancie.
Już nie uciszysz serca melodją mazurka,
Ni zamorskim mundurem—bracie emigrancie.

Już za mało dać życie. Wszycyśmy śmiertelni.
Już za mało ofiary serc i krwi niewinnej,
Bośmy z cierpieniem świata już tak nierozdzielni,
Ze innej nam odwagi dziś potrzeba. Innej.

Oderwij się od mroku własnego podwórka,
Bo ciąży nad twą głową wysokość olbrzymia,
Z której patrzą strwożeni—ci z Oranienburga,
Z której patrzą pomarli bracia z Oświęcimia,

Z nad Donu i z nad Marny i z libijskich piasków,
Z murów ghetta i z mroźnych wybrzeży Murmańska.
Z wszystkich czterech stron świata—w groźnym słońca
brzasku

Woła do ciebie ziemia skrwawiona—bezpańska.

Jak kraje porzucałeś by iść walczyć dalej,
Tak porzuć dziś przeszłości kolorowe czary.
Młodości! Twoim oczom dziś patrzeć zuchwalej,
Gdy wielki ciężar dziejów bierzesz na swe bary.

JULJAN TUWIM.

ODEZWA DO PSÓW.

I wy, warszawskie psy, w dniu kary
Psi obowiązek swój spełnijcie,
Zwyjcie się wszystkie i zbiegnijcie
Straszliwie pomścić swe ofiary.
Za psy bombami rozszarpane,
Za zmarłe pod strzaskanym domem,
Za te, co wyły nad swym panem,
Drapiąc mu ręce nieruchome :
Za te, co z wdziękiem beznadziejnym
Łasiły się do nieboszczyków,
Za śmierć szczeniactwów, co w piwnicy
Jeszcze bawiły się w koszyku,
Za biegające rozpaczliwie,
Pozostawione po mieszkaniach,
W dymie duszące się, półżywe,
Pamiętające o swych paniach,
Za nastroszone, za wierzące,
Że człowiek wróci, bo pies czeka !
I tak w pozycji czekającej
Siadł ufny pies na grób człowieka :
Za wzrok błagalny, przerażony
Tumultem, trzaskiem, pożarami,
Za psy, co same pazurami
W ogrodach ryły sobie schrony—
Za wszystkie męki i niedole,
Własne i tych, co was kochali

Śród wspólnych ścian i wśród rozwalin,
Zwyjcie się, bracia, na Psie Pole !
Niechaj w was wściekle piany wzbiorą
I hurmem w trop zdyszaną sforą,
W trop, kiedy z Polski będą dymać
I tylko pludry w garści trzymać !
O cegły gruzów kły wyostrzcie
I o zbielałe ludzkie koście,
A gdy ich dopadniecie,—skoczcie
Do grdyk, brytany, do gardzieli !
Ostremi kłami wgryźć się, szarpnąć,
By nie zdążyli, hycle, charknąć !
Do grdyk, wilczyce ! A pazury
W ślepią, by nawet nie mrugnęli !
A powalonych niech opadną
Wojska pomniejszych psów—mścicieli,
Niech ich poszarpią na kawały,
Żeby i matki nie wiedziały,
Gdzie szukać rozwłóczonych cząstek. . . .
Bo nasze też nie znajdowały
Główek swych dzieci, nówek, piąstek. . . .

MARJA KUNCEWICZOWA.

CUDZA WIOSNA.

ANGLJA ZA OTCHŁANIA.

W kwietniu 1942-go roku pewnego dnia przed wieczorem patrzyłam przez szybę autobusu na drogę wiejską w Berkshire. Autobus stał. Wysiadły zeń dwie kobiety i tą właśnie drogą odeszły w dół. Po obu jej stronach gęsto już wicherzyły się liście, akacja zwana złotym deszczem ociekała kwiatami, zmurszała ławka i płot lśniły w świetle zachodu, jak atlas. Kobiety szły nie śpiesząc. Było oczywiste, że idą nie do domu, tylko w głąb wiosny—do kaczeńców, do kukulki i słowika, do ciepłego księżycy. Patrzyłam za nimi, póki—zstępując coraz niżej—nie pograżyły się całe w zieleń. I nic. Ani ogarnął mnie niepokój, czy ja za wiosną nadążę, ani zazdrość, że one mają do niej tak blisko.

Autobus ruszył. Zamknięta na siedem pieczęci wiosna angielska przesuwiała się dalej za szybą i za jakąś przezroczyłą otchłanią.

INNY CZAS.

W początku czerwca tegoż roku szłam przez wzgórze Kornwalji. Pole widzenia było szerokie. Po lewej ręce wał zielony, obrzeżający parów, na wale niezwykle wysokie sumaki, spowinięte w bluszcz, ledwie opruszone na szczytach pierzastemi rudawemi liśćmi, na wprost, pośród skał—szkliste szafirowa zatoka, na prawo—skłon żółty od jaskrów, dolina pełna drzew

i czarnych cieni, rozłożonych na trawie jak chusty, za nią— znów wzgórze i drzewa. Nad morzem fruwały dwie oślepiająco białe mewy, na skłonie pasły się owce. Zapach wodorostów, głogu i lawendy. Jedyne głosy : plusk fal i daleki gdzieś bek kozy. Jak okiem sięgnąć—ani jednego osiedla. Ani jednego też śladu pługa, czy motyki na rozległym błoniu.

Drzewa ogromnego wzrostu miały korę czerstwą, niepokancerowaną bliznami, podobną do skóry zdrowych, dobrze utrzymanych ludzi. Żarnowce, a także wielkie różowe „kaszki“ stały równo, ani ugięte pod ciężarem żarłoczych owadów, ani wstrząsane nerwowymi ruchami jaszczurek, czy żmij. Murawa była jedwabista, każde miejsce zdawało się bezpieczne. Ale od tej ziemi nie szedł do mnie prąd przyciągania, ciało nie kłoniło się ku niej w chęci spoczynku tu właśnie, nigdzie indziej. Co więcej : myśl o spoczynku wydawała się obca tej błogiej przestrzeni wyzbytej z wszelkiej męczarni.

Nie patrzyłam teraz przez szybę autobusu, jak w Berkshire, jednak Anglja—tak bezpośrednio obecna i pełna—znowu nie dawała się dosięgnąć, istniała nadal poza rzeczywistością, otulona w swój prastary, szczęśliwy, równomierny czas. Zrozumiałam wtedy, że to czas dzieli mnie od niej—utkany z innych rytmów, z innej przeszłości, z innych przepowiedni. Czas o innym zapachu.

Powie ktoś : „cóż zapachy ! Miarą czasu nie zapach jest, tylko kalendarz. W Hyde Park'u, jak w Łazienkach, bzy oznaczają przyjsie maja. Stanowią datę, nie tylko perfumę miłości. A o zmierzchu mężczyźni w całym świecie czekają na kobiety, kobiety zaś czekają na miłość. W każdym kraju pory bywają te same“.

Tak, tak—i nie. W Polsce czekanie ma zapach i rytm kapryśnej Wisły, w Anglji—cierpliwego morza. Bez angielski ogłasza majowe daty sonetami Szekspira, bez polski strofami Kochanowskiego. Mowa kwiatów . . . (pamiętacie ? róża płomienna—kocham, szaleję ; niezapominajka—wróć do mnie.) Mowa kwiatów nie mniej niż historia bitew, niż wynalazki uczonych, niż natchnienie matek—składa się na czas narodowy.

Ten to właśnie czas okrywa pejzaże, przezroczysty i nieprzenikliwy, broniąc cudzoziemcom przystępu do nieswoich ojczyzn. Jakże znikomą przeszkodą jest przy nim granica !

LUDZIE ANGLJI.

Niedawno spędziłam wieczór u dwojga starych Anglików. Ona siwa i duża, choć zgarbiona, on drobny ze sztucznymi szczękami ; pobrali się kilka lat temu na schyłku żywotów Bóg wie w jakie doświadczenia obfitych. Mieszkają w domku na skale tuż nad morzem, zdala od wioski, nie mają żadnej służby. Sami szczotkują lśniące podłogi i puszyste dywany, sami zgrubiałemi, wężłowatemi palcami piela skalny ogród, obierają

kartofle, zmywają naczynia. On, chybki i wąsaty jak szczur, biega z torbą po zakupy; ona w kwiciastym fartuchu na kościstym cieple warzy zupy, spozierając to na staroświecki zegar, to w biblję. Chętnie wieczorami dają ludziom kawę wzamian za godzinę rozmowy.

Czem są? Ona jest malarką, on kaznodzieją bardzo „nizkiego“ kościoła. U ich drzwi wisi dzwon mosiężny, w który uderzają goście. Wchodzi się, a oni siedzą na rozłożystej, mahoniowej kanapie, wyświeżeni i ciekawi gościa, jak nowej zabawki. Pytań prawie nie zadają: widocznie nie są ciekawi *czem* gość jest, tylko *jaki*.

Mówią o instynkcie mew, o wietrze, który spalił im żywopłot, o drożyznie sałaty. Ale po chwili ona niespokojnie zerka na radio—boi się przegapić „L’après-midi d’un faune“. Jakoż wkrótce zaczyna się ta muzyka. Kaznodzieja słucha, skubiąc wąsa, pełen niedowierzania i uwagi. Niebawem zrywa się i drepcę w stronę szaf. Wertuje tam jakieś książki, znika z pokoju, wraca czemś obładowany. . . . Oczy malarki tymczasem wyraźnie przestają dostrzegać bukiety rumianków i irysów, natomiast zdają się oglądać film imaginacyjny. Staruszek, Mr. H., chrząka. Potem tka w ręce żony jakąś skrzynkę z długą rękojęścią. „Viola di gamba—objaśnia—Mrs. H. zrobiła ją zupełnie sama podług wymiarów, jakie pewien Włoch zapisał jej na kartce“. „Czemu sama?—pytam—Czy nie lepiej taką rzecz kupić?“ Zawstydzają się: „Wszystkie pieniądze wydała wtedy na protezy dla inwalidów, to było w czasie poprzedniej wojny“. Malarka odsuwa instrument. „Nie mogę grać teraz—mówi—słucham radja“. Kaznodzieja ogląda się na aparat, szerzący impresjonistyczne melodje, z niechęcią, jak mały uczeń na zbyt górnolotnego nauczyciela. „Czy nie moglibyśmy wyłączyć?“ Odpowiedź brzmi: „nie“. Więc szczurek siada potulnie naprzeciw swojej zreumatyzmowanej wizjonerki i hypnotyzuje ją, by nie przeszkadzała w niedozwolonych czynnościach. Patrząc tak ciągle w jej wypłowiałe źrenice, podsuwa mi książkę, otwartą na obrazku. Ilustracja przedstawia żartobliwie uśmiechniętego cylindrowca, rozpartego w dziwnym faetonie. Powóz ten, pozbawiony cugantów, posiada natomiast obok kozła coś w rodzaju tuby, czy steru, w całości zaś przypomina muszlę Wenus, tyle że watomaną i na kołach. Kaznodzieja świszczącym szeptem oznajmia: „To jej ojciec. Wynałazł samochód. Parowy. Wynałazł także lampę. Łukową“.

„Popołudnie fauna“ dobiega wreszcie końca i malarka pozwała radjo wyłączyć. „Szkoda że niewszyscy są muzycyjni—wzdycha—o tyle łatwiej byłoby uczyć malarstwa“. Stary sceptycznie porusza wąsami. „Czajkowski—Polak?—rzuca w naszą stronę—Ach, nie, to Szopen, przepraszam“. Ogłosiwszy w ten sposób rozmiary swojej muzycznej ignorancji, sięga po drugą książkę. Chudym palcem stuka w nazwisko autora:

„Wincenty Lutosławski. Tytuł: O reinkarnacji. Pisałem o tem kiedyś recenzję do „Manchester Guardian“. Mądra książka, ale trochę się spierałem z autorem, bo on nie spostrzega jak wielką pychę jest wszelki mesjanizm“. Obraca na mnie filuterne spojrzenie: „Czem chciałaby pani być po śmierci?“—„A pan?“—„Ja?“—peszy się—Ja? Jestem chrześcijaninem. Ale gdybym nim nie był, chciałbym po śmierci zostać muzykalnym szczurem“. Oboje zaczynają się śmiać serdecznie. „Kto wie?—urywa nagle malarka—na czem polega czyścić? Może ja będę tam violą, na której ktoś niemuzykalny będzie wygrywał muzykalnym szczurom. Tymczasem jednak—wstaje energicznie, choć z trudem—pójdę wziąć moją wieczorną kąpiel“.

Okno pokoju wychodziło na podwórko i przystań.

Codzień rano na podwórku pierwszy zjawiał się dziadek i zaczynał majstrować koło sieci. W chwilę później przychodził ojciec i otwierał warsztat, mieszczący się w drewnianej szopie. Wreszcie, głośno klaszcząc sandałami po kamiennych stopniach, zbiegał trzyletni Peter—wnuk rybaka, syn właściciela wielu łodzi przewoźnych.

Kiedy dziadek i ojciec naradzali się nad robotą, kusy, pызaty Peter z zadartą głową nie spuszczał oczu z ich twarzy. Od czasu do czasu dotykał ręką kolan jednego, czy drugiego. Starsi niezmiennie wtedy przerywali naradę i z wysokości swoich roślących tułowi poważnie patrzyli na Piotra. Jeżeli szykowała się wyprawa na ryby, Peter wraz z dziadkiem rozplątywał sieci; w czasie odpływu obaj z ojcem, ubrani w wysokie buty gumowe, czyścili łańcuchy i umocowywali kotwice. O każdej porze dnia, ilekroć wyjrzałam oknem, Peter ciężko pracował. Czasami dźwigał i układał deski odpowiednich dla siebie rozmiarów, czasami wielką szczotką szorował schody, zawsze coś dźwigał, coś przyklepywał, albo przynajmniej z rozmachem ciskał w morze. Chociaż dźwiganie i klepanie rzeczy niepotrzebnych odbywało się między nogami dziadka i ojca, a przedmioty ciskane w morze nie zawsze nadawały się do wyrzucenia—nikt nigdy nie gromił i nie popychał Piotra.

W porze obiadu wszyscy trzej mężczyźni zgodnie odchodzili do domu. Czy pogoda, czy deszcz, zaraz po skończonym posiłku wracali do swoich zajęć na podwórze. Dziadek niezadko pracę przerywał, gapił się na zatokę, poprawiał kaszkiet, medytował, ojciec pogwizdywał, znikał na całe godziny. Jeden tylko Peter, o którym matka mawiała „I'm so glad, że on lubi bawić się przy dziadziu“—tylko ten mały, pulchny człowiek wysiłał się i stękał od świtu do zmierzchu, przygnieciony mnogością tajemnic martwej i żywej natury.

Raz na podwórku powstało zamieszanie: przyśpieszone kroki, zdyszany głos kobiecy. . . . Zbliżyłam się do okna. Peter stał z ciężkim młotem w lewej ręce, prawą—zakrwawioną—

wyciągał przed siebie: matka, klęcząc, owijała mu dłoń bandażem, na ziemi leżał dziurawy sagan, który widziałam jak zrana fala popychała na brzeg. Obok stali dziadek i ojciec. Obaj także trzymali w dłoniach młotki. Wprawdzie używali ich do naprawy swoich łodzi, Peter natomiast pierwszą ranę zdobył przy reperowaniu niczyjego sagana—patrzyli z szacunkiem na okrwawioną łapinę. Peter zaś—blady—przepraszał.

Oglądałam tych starych Anglików i małego Piotra z zachwytem nie mniejszym, niż drogę w Berkshire i Kornwalję. Wydali mi się istotami doskonałymi, jak angielskie drzewa o zdrowej, schłodnej korze.

Starcy niezależni od kalectw późnego wieku i od pomocy krewnych czy służących. Malarka zakochana w muzyce z tym samym dziecinny uwielbieniem, z jakim jej ojciec zakochany był w parze i elektryczności. Niemuzykalny kaznodzieja, który w ósmym dziesiątku życia tak jest go ciągle ciekaw, że żeni się z sędziwą czcicielką Debussy'ego. . . .

Trzyletni, pulchny Piotr bardziej męski w swoim nieustannem mierzeniu się ze światem od niejednego dojrzałego męża. . . .

Drodzy staruszkowie H., mały kochany Piotrusiu, wszyscy spokojni i wyrozumiali ludzie Anglii, co stoi między wami a mną? Nie wasza przecież pycha i nie moja. To czas waszego kraju. Czas, zaczęty wczesnym rankiem dziejów, niezakłócony sąsiedzkimi fluidami, powolny i osobny, pieszczony przez golf-stream, karmiony przez najposilniejsze owoce cudzych łądów i dusz. Czas szczęśliwy.

KEW GARDENS.

W Kew Gardens na tablicy u wejścia wypisywany jest kredą kalendarz szaleństwa. W początkach maja przeczytać można: „Uwaga! Azalie, storczyki, magnolje, bzy i bluebells“. Oznacza to, że te właśnie rośliny osiągnęły pełnię życia wyższą od normalnej, pokazową, oszłamiającą i że za jednego pensa ludzie mogą być świadkami botanicznej orgji.

Kew Gardens nie jest właściwie ogrodem. To raczej rezerwat miejscowej przyrody, do którego—w miarę brytyjskiego podboju obcych światów—wprowadzano ich florę. Wprowadzano ją z liberalizmem i pieczołowitością wyższą od metod administracji, wprowadzającej niegdyś ludy do Imperjum. Istoty bezgłose nie żądały parlamentów, ci niezrzeszeni producenci woni i barw nie prosili o cła ochronne; uczyniono więc wszystko, aby im byt ułatwić. Bugonwilje, storczyki, brunfelsje, fijołki afrykańskie okryto szkłem przed atlantyckimi wiatrami, dla Victorii Regalis stworzono nad Tamizą tropikalne wody, na których dojrzewa w ciepłe i bezruchu wieloletni pąk, nad palmami sztuczne szklane niebo podnoszone jest cierpliwie, ilekroć ich czuby sięgną wyżej.

Aklimatyzacja zaś—dzieło wspólne ogrodnika i czynnej rośliny—urasta w pomnik przyjaźni, w cud porozumienia, otoczony podziwem tłumów. I tak drzewo—wąż, nieprawdopodobny Clerodendron o pniu z terrakoty, powyginany chwytnie, mieniący się atlasowemi piętami czarnymi jak węgiel, otoczony rzadkimi, wielkimi liśćmi, niby chmurą zielonych motyli—to drzewo z czyjejsz fantastycznej ojczyzny stoi zdrowe obok najpospolitszej europejskiej alei, którą obrzeżają tulipany i bratki. Stoi niedaleko ławek, ale wokół niego, na trawniku gdzie hałasują dzieci, ustawiono przenośną barjerę i nikt jej przekraczać nie myśli. Każdy raczej zatrzymuje się opodal, pogrążony w pełne szacunku milczenie.

Największą chlubę ogrodowej wiosny w Kew stanowią niewątpliwie magnolje, panujące nad haszczami azalij. Ich kwiaty podobne do muszli perłowych, raz blad różowych, raz sinych, mają mięsistość ciała. Nie ludzkiego wprawdzie, ale gdyby ktoś śnił o ciele syren, lub wodników, zwidziałyby mu się pewnie ciało magnoljowe. Rozchylenie tych kwiatów do słońca więcej mówi o płci, niż niejeden romans, a zapach wyraża sprawy, na które niema słów w cywilizowanym języku. Azalje otaczają to arcykwitnienie masą niskopiennych krzewów, wśród których zwłaszcza żółto-czerwona gama wykazuje odcienie jedyne chyba w zasobach przyrody, wyprodukowane przez gleby najróżniejszych krajów.

Widziałam, jak po tym rajach chodzą Londyńczycy. Starzy panowie, przeniesieni tam żywcem z kart „Punch’u“, ich długonogie, siwe, przychylnie uśmiechnięte małżonki w dziewczęcych kapeluszach, kaleki w towarzystwie pielęgniarek, matki, obładowane torbami z „piknikiem“, skaczące dzieci, wojskowe dziewczyny i żołnierze najróżniejszych formacji.

Dżentelmen tak szary od czubka ptasiej głowy aż po czub zamaszowej gietry, jakgdyby przez lat sto nie opuszczał ani na chwilę szacownego kąta w najmroczniejszym klubie, stał przed gałęzią magnolji, wysuniętą na ścieżkę i patrzył w wielki kielich przez monokl. Na jego twarzy malowały się troska i zgorznienie: miał za złe taki nadmiar piękności. Kobiety błędziły od krzaka do krzaka, odczytując tabliczki, przysiadły na chwilę, wdychały zapach i w ich oczach pojawiał się wyraz fatygi. Dwie przystojne „Wafki“ krążyły wokół kwiatowych cudów, wreszcie zatrzymały się przy szczególnie bujnym okazie. Jedna, dotknawszy płatków, ze zdziwieniem szepnęła „chłodne“, jakgdyby płatki jej domowych kwiatów były ciepłe. Druga zajrzała podejrzliwie podspód liścia. Odeszły, mówiąc: „Może to i ładne, ale czegoś martwe“.

Dzieci gdzie mogły uskubywały trochę tych atlasów, podnosiły z ziemi uwiędłe korony i robiły z nich śmiecie. Poczem odbiegały, nieczułe.

Nikogo nie wzrusza tragizm szalonego *dziania się na pokaz w obcym świecie*. Ponieważ rzecz, która się dzieje, posiada zapach i

kolor niezwyčajny, "Wafki" odmawiają jej nawet cech życia.

O godzinie trzeciej, na jednej z ławek siedział kędzierzawy, siwy mężczyzna o brunatnej twarzy. Kiedy o czwartej wracałam od storczyków, siedział tam jeszcze. Nie wiem, czy był Murzynem, Malajczykiem, czy mulatem z Kuby. Ubrany w dobrze skrojony garnitur miał rysy wytrawione, ściemniałe ze starości albo też z nostalgii. Może był kapelmistrzem jednej z tych orkiestr, które po restauracjach dodają tajemniczego smaku cocktail'om, może tylko kelnerem. Nikt z przechodniów nie dziwił się jego obecności. Gdyby jednak zerwał się nagle z ławki i zaczął tańczyć między magnoljami jakiś ostateczny taniec, jakąś „śmierć czarnego łabędzia”—zapewne pan w szarym tużurku, matki, z dziećmi, dziewczyny w mundurach nie zdziwiliby się także. Przystanęliby na chwilę, pan wrzuciłby monokl w oko, popatrzył na ekstatyczną twarz, poczem odszedł, mrużąc: „może to i ładne, ale bardzo *funny*”.

Tymczasem w sielskiej części Kew, pośród wspaniałych buków kwitły łańcami bluebells'y—szafirowe hjacenciki, podobne raczej do goryczek. Najpoufalej kochane kwiatki wyspy. Na łąkach Kew Gardens od początku do końca wiosny tworzą gęsto utkany dywan, spłowiwały tu i ówdzie od słońca.

Tam, nad tym dywanem o wątlm słodkim zapachu, unosi się wiosna Anglii, tamtędy czas angielski równą falą przepływa. Te same istoty, które boją się podchodzić za blisko do Clerodendrona i z niedowierzaniem dotykają magnolij—bez ceremonji depczą i wysiadują ten dywan. Stary pan w monoklu, przygniatając go ciałem, wstydliwie szepce „sorry“ a bluebells'y—wiednąc—szepcą „never mind“.

WOJNA FLOR.

W pobliżu Fowey jest park na dolinie. Jeżeli poprosić strażnika z wartowni nadmorskiej, który ma jakąś władzę także nad tym parkiem, można tam wejść i—ominawszy napastliwą kozę—zapaść się wgłąb ścieżki. Spoczątku, poprzez dość rzadko rozstawione z lewej strony dęby i buki, widać—zwykle w Anglii—arkadyjskie obszary, nietknięte uprawą. Po prawej ręce splełany tłum pni i gałęzi schodzi w dolinę i zaściela ją, jak wodorosty dno morskie. Wysokie fioletowe smółki, dziki czosnek, pokrzywy, paprocie—stanowią bogate podszycie; droga jest obojętna, prawie niewarta trudu. Po pewnym czasie jednak między drzewami zaczynają się dziać niepokojące rzeczy. Oto buk i wiąz nawspak własnej prostej naturze powyginały konary w sposób męczeński, nurkują boleśnie w powietrzu, gdzieś uchodzą, coś bez dźwięku krzyczą. Wytężasz wzrok i nie wierzysz własnym oczom. Istotnie; miłe swojskie drzewa schwyte tu zostały w egzotyczną matnię. Ljany! Grube jak w dżungli, pionowemi rzutami tłoczące do ziemi najbardziej nieba spragnione wierzchołki. Ledwie ochłonawszy z wrażenia

idziesz dalej, aż tu zatrzymuje cię lament palmy daktylowej, zrozpaczonej towarzystwem sosen a także kępą paproci, rosnącą na jej włochatej korze wysoko, tuż pod pióropuszem. Im dalej w głąb parku, tem większe zamieszanie. Czułe, miękkie lipy ustępują w popłochu kostropatym olbrzymom, zwanym „monkey puzzle”. Ponad zbitą masą szczawi, łopianów i wszelkiego pospolitactwa, bujają na nagich gałązkach kwiaty ogromne i blade, jak dusze przedpotopowych ptaków. Otwierają się polanki pełne omszałych trupów drzewnych, z których jedne, uschnięte, tkwiące jeszcze w ziemi, patetycznie przeszywają powietrze, inne—powalone—gniją i karmią tysiące strojnych, ślicznych pasożytów. Często trupy okazują się szczątkami topól czy jesionów, a triumfatorowie pobojowiska—zdrowe, świeże drzewa—rycynusami lub eukaliptusami. Gdzieindziej znów oliwki dogorywają, tuje rozsypują się, żarte przez grzybki i bluszcze, a zwycięstwo należy do osik, lub do leszczyn. W cieniu tropikalnych, grubo-listnych stworów kwitną wątłe europejskie stokrotki, a przez cuchnące miejskim śmietnikiem pokrzywy przebijają się azalje, za którymi idzie woń seraju.

Bezgłosa, nieruchoma wojna flor, rozpaczliwe zmaganie się roślinnych gatunków, spędzonych—przez jakiegoż to potentata?—ze wszystkich łądów globu w tę kornwalijską dolinę, zatrzymuje dech w piersi przechodnia. Nie wiadomo, czy użalać się losu przesiedleńców, czy podziwiać potęgę ich dyktatora, czy też popadać w zadumę nad asymilatorskim talentem przyrody i snuć nadzieje nowego Edenu.

Tymczasem droga wsiąka w rozległą łąkę, która widocznie przez tyle wieków była trawnikiem, że dotąd, mimo braku śladów strzyżenia, zachowuje gładkość dywanu. Łąka szerokim pasem opada ku morzu, ujęta w dwa pienne od kwiatów rododendronowe bulwary. Chciałoby się iść nią choćby na tortury.

Ale po drodze wznosi się jakiś masyw kamienny, tu matowy, ówdzie błyszczący. Z różowego, miejscami szarego kamienia, pochłonięty przez bluszcze, wielki rozłożysty dom z zatrzaśniętymi od wnętrza białymi okiennicami, co szybom daje pozór oczu zaciągniętych bielmem. Pusty labirynt, którego tarasy nie prowadzą do wejść, a okna patrzą nigdzie—zatrzaśnięta szkatuła. Dopiero po długim brodzeniu pod murami ktoś odgarnie bluszcze niespokojną ręką i wtedy wśródku fasady odsonią się drzwi. Nieproporcjonalnie maleńkie, drewniane, wyschłe i siwe ze starości, pokryte rzeźbami. Jacyś rycerze po nich galopują, jakies okręty płyną . . . łoży winne oplatają sceny. Niema zamku—goły otwór do klucza, wysłizgany jak kość.

Otóż i dom, zbudowany przez mocarza, który brał w jasyr palmy, który na swoim dziedzińcu urządził sobie turniej drzew. Dlaczego w parku niema ogrodnika a na tarasie nie siedzi pani w pasterskim kapeluszu ?

Obecny właściciel żyje. Przebywa gdzieś daleko. Nosi stare angielskie nazwisko. Park jest dziełem pokoleń. W pałacu podobno rozegrał się romans zakończony śmiercią. Podobno podatki od pałaców tak są teraz w Anglii wysokie, że mało kto im może sprostać. Podobno na podatki rozsprzedano po szylingu stare ryciny z pałacowej biblioteki botanicznej. Dziedzic nie ma potomstwa, spadkobiercy swojego nie lubi.

Wychodzi się z parku i znowu koza beczy, nie chce przepuścić przez ścieżkę, strażnik się uśmiecha, mewy krzyczą, morze błyszczy. Idziemy w stronę morza. Kamienisty wóz przed nami—u jego wylotu, na kobiercu z różnokolorowych muszel, wyrysowana ostro na tle wody, stoi para ludzi starszych, ubranych w jasne płótna. Uśmiechają się, patrząc na nas w górę. Myślimy, że chcą o czemś uprzedzić, albo o coś spytać, zatrzymujemy się więc. Ale oni milczą, tylko—nieporuszeni—uśmiechają się ciągle. Mija chwila . . . Czynią gest zapraszający, abyśmy zstępowali w dół. Robimy to. Kiedy stajemy obok w oczekiwaniu, że zwrócą nam uwagę na pola minowe, lub sami o jakąś wojenną wskazówkę poproszą—uśmiech nabiera mocy i starsi państwo mówią: „Czekaliśmy aż zejdziecie. Wspaniała pogoda, nieprawdaż?“ Odpowiadamy: „Wspaniała“. A oni zapuszczają się teraz w wóz, zrobiwszy honory Anglii nieznanym osobom.

Nie mogę się oprzeć refleksji: alboż to możliwe, żeby właściciel doliny, gdzie kwitną wiosny wszystkich ludów, czuł się mniej u siebie w tym importowanym raju, niż czują się przechodnie angielscy na każdej ścieżce swojej wyspy? Dlaczego człowiek, z dziada pradziada zasiedziały w Kornwalji, oddał pustce swój dom i zniszczeniu tak drogocenne drzewa? Czyż naprawdę powodu podatków? Czyżby potomek nieustraszonych żeglarzy zląkł się upiora romansowej prababki?

Urzeczona, nawracam znów do bramy i w pobliżu jej stoję: przenikliwy obcy zapach płynie przez zmierzch—smutny, jak kadzidło. Coś drobnego ślania się w powietrzu, bezwolnym ruchem opada: kwiatek. Koralowy. Podobniejszy do zwierzątka, niż do kwiatu. Pachnący. Tak dziwny, tak zgubiony wśród tej Wielkiej Brytanji, jak ów mulat w Kew między londyńską publicznością.

Kwiatek osiadł—błyszczący w kurzu. Mam ochotę go podnieść, ale cofam rękę. Może jest trujący? Zapachy, które wysłał ślad za nim macierzyste drzewo, nie niosą ukojenia—niepokoją i grożą. A może błagają o coś, czego nie rozumiem?

Nagle wyobrażam sobie właściciela opuszczonego obecnie pałacu, jak w duszny wieczór czerwcowy wychylał się kiedyś z coraz to innego okna, usiłując chwytać nozdrzami znajomą od dzieciństwa woń bzu. Znajdował ją i zapadał w marzenie. Ale delikatna woń zaraz zniknęła, wchłonięta przez fale ciężkich,

niepojętych zapachów. Jeden za drugim napływały z parku, niczem egzotyczne duchy, przynosiły cudze wspomnienia, żądały uczuć, jakich nie było, jakich być nie mogło. I groziły, groziły obcem szczęściem i wieczną zgryzotą.

Wyobrażam sobie, jak Anglik szedł z pokoju w pokój, goniony przez hinduskie i polinezyjskie wyziewy łupów swego zaborczego pradziada. Jak wreszcie rzucał się w fotel przed kominkiem i szukał wytchnienia w miłym widoku rozżarzonych brewion. Szczapy zaczynały trzaskać, snuł się odwieczny angielski dym, ściany podchodziły blisko, stawały między sercem a tajemniczymi światami—było zacisznie, było, jak w Old England. I wtedy nad palenisko przylatywał z parku przez okno kwiat z bezmienego drzewa. Zawisał nad płomieniem, potem spadał, węgle wydawały syk. Pokój napelniał się kadzidłem. Narkożą śmierci. Narkożą miłości bardziej niezrozumiałej, niż śmierć.

Anglik zamykał okna. Zatrząskiwał małe rzeźbione drzwi swojego domu i przed rodowym kominem cierpiał na bezdomność.

Wydaje mi się teraz, że rozumiem, czemu wkońcu odszedł. Wszak koralowy kwiatek umiera, pachnąc w niebogłoty, a ja nie podnoszę go i nie daję mu pić. Przyśpieszając kroku, odchodzę, żeby ten okruch cudzej wiosny swojemi mściwymi czarami nie otrul przez pomyłkę mnie zamiast któregoś ze szczęśliwych imperjalistów naszej Ziemi.

ITE MISSA EST.

Którejś niedzieli poszłam na mszę do katolickiego kościoła we wsi niedaleko Oxfordu, tam właśnie gdzie owa mała *refugee* płakała, patrząc na jaskółkę.

Kościół to niewielki i nieładny, fałszywy gotyk dziewiętnastowieczny. Polichromja uboga, mało kwiatów, mało światła, żadnej muzyki. Łacina nieprzyjemna, ruchy parafjan sztywne, głosy bez wyrazu. Nic, coby schlebiali wyobraźni, nic dla ulgi po życiu, wszystko dla dalszego wysiłku. Wysoki ksiądz w brokatowym kolistym ornacie odwrócił się od ołtarza, mówiąc: „Dominus vobiscum”—to zabrzmiało, jak okrutny wyrok. Jakże Go dojrzeć, jak wielbić pośród brzydoty, w bezosobistej jałowej atmosferze?

Spojrzałam na sąsiada z lewej strony. Czytał antyfonę, wodząc wzrokiem za słowami uważnie i zimno, jak dobry uczeń na lekcji. Spojrzałam w prawo: kobieta przebierała ziarnka różańca z tem surowem skupieniem, z jakim gospodynie odmierzają mąkę. Bóg spewnością nie był po lewej, ani po prawej mojej stronie. Obejrzałam się ukradkiem za siebie: dziecko, zasłonięte kapeluszem, na klęczkach jadło truskawkę. Przy niem stał może anioł-stróż, Boga tam także nie było.

Utkwiłam oczy w ołtarz. Świece; tabernaculum poły-skujące w miarę falowania płomyków; mocno ubite bukiety i

Księga, pozakładana wstążkami. Przestałam szukać Boga, zagarnęły mnie wspomnienia. Tak samo to wyglądało kiedyś w Czyżewie, kiedy po lewej stronie antyfonę czytał dziadek, a po prawej modliła się na różańcu Helenka. . . . Tak samo ołtarz błyszczał, tak samo wzdychali ludzie, a dzieci, ukryte w fałdach matczynych sukien, kontynuowały swoje dziecinne zajęcia. I nie inaczej było też za studenckich czasów w Nancy, tylko tam nad różańcem szeptała Mme Strobel, a w modlitewniku czytał stary generał Puchot.

Ksiądz wyciągnął ramiona do wiernych, potem wrócił do Księgi. Po chwili ukląkł, znów przesunął się na środek stopni, splecione dłonie przycisnął do piersi, skłonił głowę, znów powstał. . . . Przy każdym jego ruchu srebrzysta szata, haftowana w złote i różowe lilje, falowała, roztaczała się, to spływała w zawiesziste fałdy. Z mroku wyrosło ramię zakończone dzwonkiem, łańcuszki trybularza poleciały na spotkanie. Ich chrzęst, wznoszenie się i opadanie głosu celebransa, pomruk ministrantów, smugi kadzideł—wszystko jak w Czyżewie i wszystko jak w Nancy. Zatem przez długie lata, kiedy nie chodziłam do kościołów, wszędzie na świecie trwały te wzloty liturgicznych szat, skoro dotrwały do dziś i nadal oznaczają nad Tamizą toż samo, co kiedyś znaczyły nad Wisłą : Podniesienie.

Ksiądz wznosił hostję, parafjanie—klęcząc—pospuszczali głowy, ugięli się, zmaleli, jęgakdyby zwycięzca stapał im po karkach. Mężczyzna z modlitewnikiem patrzył w podłogę, kobieta z różańcem miała oczy zamknięte, a z kieszonki dziecka wytoczyła się truskawka i legła na posadzce w środku plamy słonecznej. Wspomniałam kaźmierskie truskawki na grzędach, ciepłe od słońca, wieczorami napastowane przez chłodne śliskie ropuchy i nad tem wszystkim—czeremchę, której tu nigdzie nie było. Okropna sprawa swojej i cudzej wiosny nastroczała się znowu. Ale dzwonki ministrantów tak nagłąco zadźwiękły i na kościół poszła od ołtarza wielka cisza, w której myśli wydają się zbyt głośne. Wspomnienia, przecucia, ciekawość czasu i przestrzeni, osobny byt—wszystko znikło, nie znikło tylko życie. Przeciwnie nastąpiła pełnia w sercu, w mózgu jasność, wszelkie strachy odeszły.

Chciałam coś powiedzieć ; w porywie nieskończonej wdzięczności, z zachwytem wymówiłam słowo niemodlitewne : „nareszcie“. Drzwi skrzypnęły—w nich stało niebo. W każdej innej chwili byłoby niebem Anglii. Wtenczas to było tylko : niebo. Ujrzawszy je, poczułam, że jest pełne Boga : między niem a ziemią nie było granicy, między kościołem a światem nie było ścian.

Nareszcie z lewej i z prawej strony, przede mną, za mną, nade mną—był Bóg. I tam, gdzie oddychał pyszny i tam gdzie złościca promieniowała swoim ciepłem, gdzie bawiło się nierozumne dziecko, gdzie grzesznik celebrował przed Księgą,

gdzie pył latał—wszędzie był Bóg ten, co między aniołami. Był także w miejscu, gdzie moja małość łamała się pod Jego ciężarem.

Był *nareszcie*. Zatem ustało publiczne kwitnienie wiosen, z których każda jest przeznaczona jednemu tylko sercu. Rozpadły się na mirjad wątków czasy narodowe. Cudze stało się mojem, a moje stało się powszechnem. Uleciały przeźroczyście otchłanie między historjami. Jeden klimat zapanował dla wszystkich łądów i dla wszystkich dusz: wieczność—klimat Boga.

Ale oto ksiądz wyrzekł: „Ite Missa est“ i wierni skwapliwie opuścili kościół.

Na cmentarzu kwitły drzewa, ćwierkały ptaki, angielska wiosna czekała na Anglików. Niebawem w bramie stanął ksiądz uwolniony z hieratycznej szaty. Podawał parafjanom rękę, głaskał dzieci, rozdawał broszury. Ludzie garnęli się do mnie, obcej z dobrocią: „Lovely weather, isn't it?“—mówili, uśmiechając się tak pochlebnie, jakgdybym to ja ten dzień uczyniła pięknym. „Mam nadzieję, że pani miała dobre wieści od swoich“—odezwała się wdowa po kupcu herbacianym. „Tak—odpowiedziałam—jeszcze żyją“.—„Jakto, jakto?—spłoszyła się—czy chorzy?“—„Nie; ale mieszkają w Warszawie“. Patrzyła na mnie chwilę, nie rozumiejąc, potem przez wąską, białą twarz przewiał wyraz głębokiej przykrości. „Proszę przyjść dzisiaj do mnie na herbatę. Bardzo panią proszę“. Zmrużyła oczy, odeszła szybko, zapierając dech w piersi, jak robią ludzie, którzy otarli się o próg szpitala.

Stało mi w oczach wewnątrz jej domu. Dzbany mosiężne na rzeźbionej skrzyni pełne japońskich irysów. Mata przed kominem, na niej perski kot z topazowymi oczami. Cieniutkie filiżanki, spatynowane srebra, ozdobne jak hafty, ciastka, śliczne krzesła, okrągłe wypukłe lustro w ramach z brązu i atlasowe fotele.

Zobaczyłam ten moment, kiedy na stolicku przede mną roztoczona zostanie wytworność angielskiej herbaty, na którą złożą się posagi babek, łupy kolonizatorów i obrzędowe gości pani domu. Zobaczyłam staranny uśmiech wdowy i jej gorliwą chęć przyjęcia gościa, poczułam zapach róż i usłyszałam pytanie: „Czy była pani w tym tygodniu w Londynie?“ Jednocześnie zdałam sobie sprawę, że pytań tym razem będzie dużo, że będą następowały po odpowiedziach bardzo szybko, że oczy wdowy będą wyrażały naprzemian niepokój i determinację w miarę tego, jak ja będę poruszała ustami. Bo wdowa będzie się śmiertelnie bać, żebym nie zaczęła znów mówić o Warszawie i swego strachu będzie się mężnie zarzekła. Aż wreszcie—kiedy wypijemy po dwie filiżanki herbaty, kiedy wypróbuję wszystkie gatunki ciast i zbiorę się do wyjścia—jej napięte rysy zelżeją, czoło się wygładzi, pierś swobodnie odetchnie.

Zobaczyłam to wszystko. Zrozumiałam, że cuchnę krwią i głodem. Nawet w sukni od Harrods'a i w naszyjniku z kornwalijskich muszel w Angliji cuchnę polską wiosną.

Ludzie odeszli. Ksiądz znikł. Rozejrzałam się po cmentarzu za Bogiem. Nie widziałam Go. Po Mszy wrócił w wieczność—w Swój niebieski klimat bez wiosen i bez ojczyzn.

EUGIENJUSZ CĘKALSKI.

OSTATNIA JESIEŃ.

ZAKARPACKA UKRAINA.
W GOŚCINIE U WĘGRÓW.

Obudzić się rano z goryczą znużenia w ustach, przebrnąć przez ciała bezwładne śpiących, wyjść na dwór—i świat jest taki sam—możnaby pomyśleć, że to jeden ze zwykłych noclegów na filmowych zdjęciach w Beskidach czy Huculszczyźnie. Tak samo leży w dolinie biały materac brudnych mgieł i tak samo nurzają się w białej wacie szczyty zalesionych gór. Ale to już nie Polska—to Podkarpacka Ruś, ślepy zakątek Europy, niegdyś Czechosłowacja, niedawno fantastyczna Zakarpacka Ukraina, dziś Węgry. Chaty tu są takie same—biedne i brudne, nędza większa niż u nas. Wreszcie dość na szosę spojrzeć, aby się nie pomylić. Stoją w chłodnej mgle samochody, wozy, furmanki. Włączają się wśród nich umundurowane, leniwe postacie żołnierzy.

Okazuje się tymczasem, że nasi panowie w mundurach, generał, Franek i por. Krzakowski zabrali się tutaj do rządzenia i robienia porządku. Wygląda to raczej na inwazję Polaków. Trzydziestu zdziwionych węgierskich żołnierzy nie wie co robić z tymi setkami napływającego wojska i broni. Wobec tego stajemy na szosie pod szkołą, robimy porządek i krzyk, wszyscy się u nas meldują, dyscyplina wojskowa pracuje dalej na obcej ziemi—spontanicznie. Widzę, że już poraz drugi—przed tem w Krasnymstawie—obejmujemy samowładnie władzę i stajemy się ważni. Jest bałagan, w którym każdy pewny siebie oficer może zostać dowódcą. Szansa dla naszych panów świetna, choć to już nie Polska, ale trzeba się zaprzyjaźnić z Węgrami porządnie zaprezentować. Franek biega, ustawia samochody i oddziały, wydaje rozkazy, a biegnąc koło mnie szepce mi do ucha jakby to było cudnie—możnaby teraz całe Węgry podbić, nawet by się cygany nie spostrzegły.

Zadziwiająco jak Krzakowski stał się czynny, stary mundur wypucował, buty mu się świecą, biega i krzyczy, a to z wozów żołnierzy ściąga, to znowu porządek robi groźnym głosem wypytujac i dając instrukcje. Nadjeżdżają i nadchodzą oddziały i każdy się Krzakowskiemu melduje, a on ich ustawia, wymyśla od tańków—każe mundury zapinać, postawy bojowej się domaga. Ci proszą o chleb, dzielimy się bochenkami, tamten jest chory, każdemu trzeba coś pomóc. Ale najważniejsze pomóc Węgram w odbieraniu broni. Oddawać karabiny, granaty, ładunki,—pasy i ładownice zatrzymać—ryczy ochrypnięty ze znużenia porucznik. Między chatami stos karabinów rośnie. Słysząc głuchy szcęk padającej broni—żołnierze milcząc pozbywają się amunicji, wyluskując z zanadrza granaty, sypią się z trzaskiem niewystrzelone naboje. Bezbronnii odchodzą dalej. A za następną chatą już wyrasta piramida skrzynek z artyleryjską amunicją i dynamitem; rany boskie, woła Franek, jakby to wszystko wybuchło.

Czasem słyhać strzał karabinowy—ktoś przy rozładowaniu nieumyślnie drżącą ręką karabin zarepetował.

Oddziały nadchodzą rozmaite. Jedni na furkach znudzeni i smutni, jakże nie wojenni, głodni i brudni, chętnie rzucają nieprzydatną broń i niewyspane oczy mrużą—potem kładą się pokotem i śpią w słońcu w chłodzie strumyka. Inni idą jak na paradę. Już zdala, słyhać słowa wojennej piosenki—*„jak to na wojence ładnie“*. Chyba to pierwszy raz słyseż śpiew naszych żołnierzy w tej smutnej i krótkiej wojnie. Huczają miarowo podkute buty, na froncie z konia pochylony komenderuje kapitan—*„Oddział—Stój! i wypreżony melduje naszym samozwańcym szarżom—trzecia kompania tego i tego pułku, tylu i tylu ludzi, tylu rannych, tylu zaginionych. I oddział przeży się znowu i woła do naszego wodza stereotypowe—Czołem panie generale—chóralną odpowiedzią na jego powitanie.*

Ale nie trwa długo defiladowa pompa—bo generał każe broń oddać, łamią się szeregi, twarze stają się ponure i bezbarwne i z wojska zostaje na chwilę gromada umundurowanych bezradnych włóczęgów.

Franka interesuje najbardziej ekonomiczna i handlowa strona sytuacji. Bo wałą tu wozy pełne chleba—a inni znowu głodni—skrzynie z papierosami—treny pełne koców, mundurów i broni—a że oficerowi broń krótką wolno zatrzymać—jest się czem cieszyć. Wreszcie wciąż się jakieś zbiorniki benzyny zbliżają—można swoje i cudze samochody na drogę dookoła świata nakarmić. Niczyje to teraz, mają Węgrzy wziąć, to my lepiej weźmiemy—ładujemy do auta parę tysięcy *Pomorskich Rarytasów*, będzie co palić na dwa miesiące, koców wojskowych dostaliśmy już kilkanaście sztuk i parę rewolwerów też nas wzbogaca. Przydadzą się we Francji—twierdzi Franek.

Poza wojskiem też się tu trochę cywilów pojawia. Węgrzy bezradni i zagubieni w tym tłumie uchodźców próbują zrobić jakąś kontrolę, zielony urzędnik celny wystawia na szosie stolik i usiłuje rejestrować cywilnych uciekinierów. Oto grupa chłopców w wieku poborowym—cywile czy żołnierze, nie wiadomo, chłopci i robotnicy z wiosek małopolskich. Idą do wojska, wezwani lub na ochotnika. Każdy ma przy sobie najwyżej 5 złotych—w walucie która już nie ma wartości. Są głodni, trzeba im dać chleba. Tu znowu na worku wśród tobołów i waliz wąsaty dziedziec i starsze kapeluszone panie. Ktoś ich poznał, podbiega, wita się serdecznie, moi drodzy, najmilsi, jakże się macie, odpowiedź jest poważna i znudzona, no cóż, *jak zwykle*, srebra zakopaliśmy i jedziemy. Stoicki spokój ludzi, którzy trzeci raz już uciekają przed wojną, trzeci raz tracą dobytek, aby na nowo walczyć od początku.

Ale są także i goście romantyczni. Wali piechotą śliczna młoda dziewczyna z jedną torebką w rękę. Idzie już szereg dni aż od Nowego Sącza. Ma rodzinę w Jugosławii. Pięniadze? 10 złotych. Zajdzie napewno. Ja mam pieniądze—woła jej towarzysz. Uśmiechają się do siebie—więcej niż wspólna wędrowka ich łączy. My razem—jąka się doktor, jestem lekarzem ze Stryja, spotkałem tę panią w Stryju, idziemy razem. Proszę nas nie rozłączać. I czerwienią się jak dzieci. Wojna, cóż za okazja do romansów, pokiwał głową wąsaty Węgier i zamiast skierować ich do obozów, ręką machnął i poszli dalej w głąb kraju, młody lekarz i panna, dwieście złotych przy duszy, plecak i zakopiańska ciupaga i miłość kwitnąca na gruzach przeszłości.

Nas rejestrują jako wojskowych (choć my dwaj jesteśmy w cywilu), właściwie zresztą sami sobie te listy rejestracyjne robimy. Nie bardzo wiemy co z nami będzie i w jaki właściwie sposób ma się odbyć ten wyjazd do Francji. Żołnierzy rozdziela się po okolicznych wioskach, stoją na łąkach tabory, dymią kuchnie polowe. Nasze auto jeździ tam i z powrotem z szarżami—tłumaczą znowu Frankowi, że trzeba gdzieś pojechać, zmienić pieniądze, niektórym to się udało po niezłym nawet kursie a tu karczm

pełne wina i winogron, a nikt złotówek przyjąć nie chce i musimy raz po raz wracać do naszych żandarmów, żeby dali czarnej kawy i słoniny—bo głodno się robi.

Węgrów trochę przybywa nowych, widocznie zaniepokojeni takim niespodziewanym napływem Polaków, bardzo też bacznie śledzą co na to wszystko tubylcy. Tubylcy ukraińscy, zawsze im wolność pachnie, chcieliby znowu może ruszyć, niedawno tu przecież krwawo tę małą Ukrainę zduszono. Mówi się nawet po cichu, że w górach już jacyś partyzanci grasują i Węgrzy paru ustrzelili. Wśród naszych żołnierzy też są Ukraińcy, zaden się do węgierskiego obozu nie kwapi, chcą do domu wracać, jednego Węgrzy złapali jak wśród tubylców agitował, żeby robić powstanie. Siedzi teraz ponury pod strażą żandarma na ławeczce a Franek prowadzi wielką agitację żeby Ukraińca—ścierwo, hajdamakę dać naszym żołnierzom, już oni go po drodze ustrzelą, za to kary być nie może; rzeczywiście zabrano gdzieś potem Ukraińca ale czy na ustrzelenie czy, nie, niewiadomo, różnie o tem mówiono. Ale i nasi żołnierze—grupkami, po pięciu, dziesięciu, bokiem nieznacznie, wracają do Polski. Franek paru złapał, za mundury trzęsie, gdzie idziecie, gdzie jest dyscyplina. Drapią się w głowy żołnierze. Żonę zostawiłem, małe dzieci mam. Idę do domu. Pole nie uprawione, baba mi z głodu zdechnie. Franek krzyczy, ciska się, strzelać będę, jest wojsko, czy nie ma, pójdziemy się do Francji bić. Ale głos mu się jakoś załamuje—odczuł własną bezsilność i tamtych rację. Poszli. Teraz już się nie zatrzymuje powracających. Tylko odbiera im się pasy i buty. Oddaj co nie Twoje—a jak który jeszcze miał koc, czy chleba bochenek, to awantura wielka, że kradnie. To samo—jeszcze bardziej—dotyczy wracających furmanek, ukraińscy chłopci wzięci przez wojsko do taborów wracają teraz, lecz każdy podlega rewizji—w sianie grzebie się długo i zawsze coś znaleźć można. Franek z tryumfem odkrył w sianie dwie walizki—chłop ukradł, więc się konfiskuje. Wieczorem w pustym pokoju badamy zawartość walizek—więc stopy aktów i pieczęć posterunku policji i maszyna do pisania, elegancka, a pozatem cywilne ubranie i para butów. Franek oświadcza, że to się nam przyda napewno.

Od bliskiej granicy nadchodzą wciąż ludzie, oddziały i wiadomości. Jeden kapitan, bojowy i zajadły z krzykiem wkracza, opowiada jak ich Żydzi w miasteczku za bolszewików wzięli, wyszli naprzeciw z czerwonymi sztandarami i chlebem. Wszystkich na rynku powywieszał. Śmieją się oczy naszym oficerom. Inni mówią jak to z bolszewikami jest—nikogo nie biją, stają pod miastem, wysyłają do miasta oficera, który oświadcza—za dwie godziny wkraczamy, wiać kto chce niech wieje, a wszyscy—policja, urzędnicy na miejsca i sklepy otworzyć. Niewiadomo skąd czerwonych sztandarów się zaraz wywiesza setki, nasi żołnierze patrzą z podziwem—tanki sowieckie jak kamienie, a żołnierz brudny i cuchnący.

Wypatrujemy raz po raz, czy między nadjeżdżającymi nie ma znajomych. Wałą autobusy pełne cywilów, policji, sanitariuszek. Koło naszego rejestracyjnego stolika pęta się bardzo osoba wymizerowana i potwornie brudna w motocyklowym kombinezonie z nogą pokaleczoną i kulawą. Poznaje w nim Nowińskiego—trochę aktor, trochę literat, pisarz odcinkowych sensacji. Franek też go zna i wydziwić się nie może jaka z tego Nowińskiego łamaga i offerma. Uciekł motocyklem z Łodzi razem z żoną. Bo on bardzo antyniemiecką powieść w odcinku drukował, teraz musi wiać. Biedny bardzo, motocykl mu nawalił, nogę sobie pokaleczył, teraz mu żonę i motocykl zabrali na autobus i wszystko to mu gdzieś związało, prosi o pomoc; radzimy mu ażeby się przede wszystkim umył. Dostał potem za naszym wstawiennictwem od węgierskiego kucharza zupy i dziękował nam jak żebrak—wreszcie na siłę wsadziliśmy go do jakiegoś autobusu, żeby jechał dalej, daj Boże żonę i motocykl odnajdzie, prędzej czy później.

Mamy teraz nowego węgierskiego oficera, młody i elegancki, podobno nawet hrabia, mówi po francusku i niemiecku, kultura wielka. Bardzo się z nim przyjaźnimy, Franek dał mu rewolwer, ale co się nazajutrz okazuje i nasz porucznik podpatrzył, jak węgierski hrabia rewolwer Żydowi w wiosce sprzedawał i zgarnął do kieszeni zielone banknoty. Bardzo nas to rozczarowało i nie dowierzamy już węgierskim hrabiom i ich armii.

Między nami dziwne typy też się kręcą—oficerów tu pełno takich, co w cywilu wyszli przed 2 tygodniami, wzięli mundur i samochód i jechali do oddziału, nigdy nie dojechali, teraz są tutaj. Mamy takich trzech sąsiadów w naszej sypialni—trzech poruczników kawalerii.

Dowcipy ich się trzymają, w walizczkach noszą perfumy i jedwabne pidżamy, nie brak im także walut obcych ani benzyny w aucie. Jeden jest dyrektorem banku, drugi ma majątek w Kieleckiem, trzeciemu ciocia umarła i wszyscy gotowi są na wszelkie przygody. Naprawdę ich generał ruga i chce do roboty zagrać—nie ma na nich rady. Raz po raz gdzieś samochodem wyskakują, wracają z butelkami wina, z relacjami o tutejszych dziedzicach, przycem mówią się dużo o tem, że tu wszystko syfilisem śmierdzi i trzeba uważać. Naszym oficerkom już się roją wyjazdy na Bałkany lub do Ameryki. Ten ma pieniądze w New Yorku, a tamten brata w Hadze—nie ma powodu do rozpaczy.

Jeżdżą też tacy, którzy twierdzą, że wiozą, złoto i szkatuły, więc. Węgrzy dają im jeść i pić, dodają eskortę do samego Budapesztu. Franek zaklina się, że mu jeden skarby pokazywał, dwieście złotych w papierkach i jakieś stare akty, niema to teraz żadnej wartości, ale zawsze w stosunku do Węgrów argument jest.

Zostajemy w tej paskudnej wiosce dwa dni—znowu jak zawsze generał nam każe czekać. Znowu jest radio i po dniu pełnym wrażeń kręcą przy nim i słuchają węgierscy podoficerowie. Mowa Hitlera z Gdańska. Zwykle szczekanie i duszenie się, zwykłe wrzaski na sali i brawa trwające kwadransami. Hitler zdaje sprawę z polskiej kampanii, dobitnie określa co warte było polskie dowództwo. Warszawa bije się jeszcze zawzięcie, a tu już mowa pogrzebowa dla Polski.

Ten wrzask zaplutego wściekłością Führera odsuwa nas od kolorowych, jaskrawych spraw dnia. Noc zapada, mrok staje się gesty. Ciężko nam. Znowu kopci naftowa lampa, Krzakowski po dniu ciężkiej pracy łączywie łyka słoninę. Trwa milczenie. Teraz właściwie dopiero zdaliśmy sobie sprawę jak bardzośmy się mylili. Odcięci od świata pod bombami i w ogniu, my Polacy, rozgromieni, wierzyliśmy, że burza rozpostarła się na całą Europę, ba, na cały świat. Że sumienie świata obudziło się, że wstrząsy, które nami miotały to nie tylko lokalna awantura w zapadłym kącie Europy, lecz, że idą dni wielkie, że Zachód powstał naprawdę. Wierzyliśmy, że na zachodzie też lecą bomby i trzęsą się kraje i nie było ciężko w tej wojnie bo świat nie zapomniał o nas a jeśli nas nawet pobito, to fragment jednej—czy aby ostatniej—rzezi o wolność ludów. Jakże strasznie nas oszukano—nas i tych szarych żołnierzy idących tysiącami na wygnanie. Nic się nie dzieje, Zachód mówi z podziwem o obronie Warszawy, tak jak się mówi o egzotycznej awanturze, apele Starzyńskiego padają w pustkę, nikt się nie bije na Zachodzie. Hitler drwi sobie z Anglii—na linjach Zygryda i Maginota—strzelanie przypomina niedzielną strzelnicę—zabawę w króla kurkowego. Żołnierzom naszym odbiera się broń, nasi bratankowie Węgrzy robią w portki ze strachu przed Hitlerem, a jedyny sąsiad sprzymierzeniec—Rumunia rozbraja armię i internuje rząd.

Ależ sukienne syny te Rumuny—powiada generał a Franek, dobrze żeśmy tu pojechali, mówiłem. Krzakowski nic tylko o Warszawie i mętnie patrzy, że ma małego synka i żonę na Żoliborżu—pokazuje fotografię i tu zdziwienie nowe. Żona Krzakowskiego to Janka Romińska, dziewczyna, która należała do naszej grupy dziesięcioletnich łobuzów w Kamięnskoje

na Ukrainie za tamtej wojny i rewolucji, w 1918. Świat jest mały i trudno spotkać coś naprawdę nowego. Taki jest nasz wieczór w Toronie przy czym co do przyszłości panują zdania jak najbardziej rozbieżne. Franek jako optymista twierdzi, że rozbrajanie jest pozorem, że jest układ z Węgrami—dadzą broń i poćwiczą i poślą do Francji. Krzakowski twierdzi, że nas wsadzą do obozów i będą trzymać 2 lata, 5-lub dziesięć, gnicia jak w niewoli póki się wojna nie skończy. Franek na to —ja ucieknę i jadę do Francji, coby nie było. Major się krzywi—po cholere jechać do Francji, kiedy tamci się wcale bić nie myślą. Jedziesz ze mną, pyta Franek. Oczywiście, że jadę, mówię i myślę o Anglii, do której i tak miałem na jesieni się wybrać.

W nocy coś się klaruje, okazuje się, że tworzy się punkty zborne—inne dla oficerów, inne dla żołnierzy, inne znów dla rozmaitych cywilów—przy czym posyła się mężczyzn do jednego, kobiety do drugiego miasteczka. Poza tym obiecują nam (niby, że oficerom)—pieniądze, bo nam już dokuczają bardzo brak pieniędzy, dobrze, że mamy papierosy i Węgrzy nas karmią, ale to chyba nie długo potrwa.

Wreszcie generał nas informuje przejęty, że mamy jechać do Wołowca czyli po węgiersku Voloča—gdzie się zbiera oficerów. Ruszamy w straszliwym błocie i podziwiając po drodze kurne chaty i dym sączący się spod strzech oraz dzieciaki z wiszącymi wolami, z kołtunami we włosach, nieraz owrządzone i zwyrodniałe—czy z głodu, czy z syfilisu niewiadomo. Droga straszna, gorsza od najgorszej polskiej drogi, ale widać raz po raz, że się w tej dolinie robi wielkie wykopy, szykuje się autostradę—napewno jak to ktoś z mapy obliczył—ze Słowacji do Rumunii, żeby było którędy naftę dla Hitlera wozić. Trochę jesteśmy niespokojni, zwłaszcza ja i major że niby jako cywilów mogą nas do innego obozu wsadzić i rozprawia się kwestję jakby tu dla nas mundury dostać.

W Wołowcu okazuje się, że idylla ma się ku końcowi, bo Węgrów tam setki, auto oglądają, pchają nas na podwórze, potem na górę do pokojów gościnnych turystycznego domu. Bardzo to luksusowo wygląda, ale w tych pokojach siedzą już na łózkach bez butów oficerowie, którzy przed nami przyjechali, nastrój ponury bo posterunki dookoła i co nam grozi—nie niewola, ale prawie niewola, internowanie, nuda, rozpacz przeżywania po tysiąc razy wspólnego dramatu, beczyność dni i bezsenność nocy. Ładna perspektywa. Już nie jesteście ważni—i czy nam aby auta nie zabiorą, Franek skrobie się w głowę. Generał jeszcze niby coś znaczy, ale widać, że tutaj Węgrzy już sobie mało z nas robią, dali jeść, ale oświadczyli, że od jutra trzeba płacić! Wszyscy chodzimy jak struci, tyle, że nasi ułani w świetnym nastroju, pokój sobie wykombinowali osobny i osobną pokojówkę—fertyczną, jak się to mówi, która nad wyraz chętnie za nimi biega. Żołnierze węgierscy próbują do nas gadać używając słów niemieckich i ruskich, nie wiele z tego wychodzi—niepokci nas to, że się teraz coraz więcej widzi parami chodzących z bagnietami na sztorc żandarmów z piórami na głowie.

Wieczorem w nowej sypialni wielka narada jak się właściwie do tej nowej rzeczywistości ustosunkować. Są dwie teorie—jedna wojskowa, druga cywilna. Teoria wojskowa twierdzi, że najlepiej będzie oficerom, dostaną swobodę ruchów, pieniądze i życie, i wobec tego trzeba koniecznie dla majora zdobyć mundur i ze mnie trzeba zrobić porucznika—narada powszechna naszych oficerów siedzących bez butów i kurtek na pryzkach uchwała, że to dla mnie jedyny ratunek, bo inaczej wepchną do cywilnego obozu i rozdzielą. Trzeba tylko skombinować skądś mundur—Franek gotów się gwiazdkami ze swego munduru podzielić. Major rezonuje z zapalem, że trzeba to koniecznie zrobić, że ważne, żeby inteligentnego chłopca (niby mnie) uratować, ale ja mam wątpliwości wewnętrzne, czy wolno mi udawać oficera, którym nie jestem i awans taki wydaje mi się nie uczciwy. Skłaniam się się do cywilnej teorii, że znacznie większą

swobodę ruchów będą mieli cywile. Franek znacząco pokazuje na skonfiskowaną policyjną walizkę, że niby w niej cywilne ubranie dla niego i Krzakowskiego na wszelki wypadek jest.

Następnego dnia zaczyna się sytuacja rozwijać, bo najpierw przyjeżdża ze szkatułą i workami pełnymi srebra delegat Banku Węgierskiego z Miskolca i wymieniają nam pieniądze po niespodziewanie niskim kursie—10 pengó za 100 złotych—tylko 10% wartości; każdy z nas zmienia sobie parę setek. Dają za to jakiś papierek niezrozumiały. Ale w naszej kwaterze jest Węgier, cywil z Budapesztu, delegat polsko—węgierskiego towarzystwa, typowy doktor praw, rudy i w okularach, tłumaczy nam co na papierku, że te pieniądze są zwrotną zaliczką pod zastaw złotych. Za pengó kupuję winogrona i chleba i Franek oburza się na moją rozrzutność. Piszę też pocztówkę do Londynu, ażeby dać znać gdzie jestem. Atmosfera coraz cięższa bo już na każdy spacer potrzeba przepustek i widzimy jak żandarmi zatrzymują polskie auta. Jakiś nasz oficer mówi, że potrzebne mu auto, żeby dojechać do obozu jego pułku—Franek oświadcza, że gotów go podwieźć jeśli w obozie dadzą nam mundury. Zakłada mi beret z gwiazdką na głowie i tytułuje mnie porucznikiem. Czuję się bardzo nieswojo. Okazuje się, że oficer ma przepustkę—ołówkiem anilinowym wybazgrane parę węgierskich słów i nieczytelny podpis. Jedziemy. Trzy razy przepustkę każą pokazać. Jesteśmy w obozie, z kosza dają kawy, mięsa i puszek, a ja jako porucznik dostaję z woza przemoczoną kurtkę i spodnie, które Franek każe natychmiast zakładać. Sytuacja wydaje się idiotyczna, salutowanie na prawo i na lewo bardzo mi nie idzie. Okazuje się, że nasz oficer zostaje w obozie i Franek pyta go, szturchając w bok, czy potrzebna mu ta przepustka. Okazuje się, że nie, przepustka wędruje do kieszeni Franka i wracamy radośni, że ucieczka gotowa. Trzeba tylko wiedzieć co na przepustce napisane i mapa, samochodowa mapa Węgier konieczna. Więc nasz zaufany cywil Węgier tłumaczy przepustkę i okazuje się, że ważna dla każdego, bo poprostu napisane—*okaziciel udaje się w sprawie służbowej* i tym samym cały plan wojskowy upada, zdejmuję mundur, który bezprawnie 20 minut nosiłem i idziemy z Frankiem na spacer po miasteczku w poszukiwaniu mapy. Mapy rozmaite wiszą na poczcie i w szkole i kiedy Franek zagaduje rozmową nauczyciela, ja ściągam ze ściany mapę Węgier—trzeba przynajmniej wiedzieć jakie miasta po drodze do Budapesztu. Z tą zdobyczą udajemy się na naradę sztabową, major i porucznik jadą z nami oczywiście, ale i nasz Węgier pocziwa łamaga, obiecuje jechać razem, znając język dopomoże. Jechać będziemy nocą. Co zrobi generał—nie wiadomo. Franek oświadcza, że jakby co, pojedziemy bez niego. Najwidoczniej dyscyplina wojskowa rozluźnia się—najlepszy dowód to ubranie mnie w mundur. Ale jeszcze pytanie, co generał zdecyduje—waha się długo, ale o 10 wieczór przyskakuje bardzo nerwowo, żeby jego walizę do auta taszczyć, a tymczasem Krzakowski w hallu usiłuje przehandlować węgierskiemu oficerowi maszynę do pisania z policyjnej walizki. Oficerowie, którzy zostają, życzą nam *Szczęście Boże* i jakoś bez zwrócenia uwagi Węgrów udaje nam się walizy znieść do auta i już wszyscy siedzimy, motor warczy, dusza na ramieniu, tylko Krzakowski nie nadchodzi—biegniemy po niego, skutek taki, że Krzakowski w pośpiechu sprzedaje maszynę za 30 pengó i bardzo zły, bo jak mówi mógł 50 dostać . . . i ruszamy. Jeden posterunek, drugi, nasza przepustka działa jak należy, jesteśmy wolni, co za szczęście !!!

Czarne lasy dokoła i nasi panowie w wielkim wstydzie przy świetle latarek zakładają ubrania cywilne. Generał jest elegancki, stoi w krzakach w samych gaciach, z walizy wybiera krawaty. Trzeba wszystkim świecić, widok ultragrotoskowy, bo Frankowi policyjne spodnie jak worek z brzucha lecą, musiał być grubas policjant, bo i Franek nie chudy. Krzakowski klnie, że niema butów, na szosie słychać auta—wtedy milkniemy

bo nasi panowie nie chcą się dać na tej procedurze zrzućcia mundurów przyłapać. Idą mundury do kufra—kiedy się w świetle latarek oglądamy—radość wielka, Franek i Krzakowski wyglądają jak włóczęgi, ubrania najoczywiściej kradzione.

Ale śmiech dopiero osiąga zenit, gdy się za następnym zakrętem ukazuje znana nam malutka Skoda naszych ułanów—wyskakują z niej—jeden w motocyklowym kombinezonie, drugi w serdaku góralskim, trzeci w narciarskiej wiatrówce. Uciekli jak my i też w lesie się przebierali na cywila. Cieszy nas ta nocna ucieczka, jak małe dzieci, a piękne są lasy i góry węgierskie. Świta już, Franek odpoczywa, nasz Węgier chrapie w aucie, a my po kolana w rosie krzewów jemy chłodne i słodkie jeżyny z przydrożnych krzaków.

D.C.N

Yovan Dučić, największy z żyjących liryków serbskich, dyplomata jugosłowiański w Ameryce, niżej w przekładzie podany wiersz napisał na wiadomość o wycięciu Serbów przez Niemców i chorwackich ustaszków w Trebinii (Hercegowina), skąd poeta jest rodem.

YOVAN DUCIĆ.

MODLITWA.

Zmiłuj się, Przedwieczny, gdy niewinni giną,
preżą się ku Tobie onych czyste ręce.
Za Twą wielkość legli martwą koleiną
Na Twój znak przyjęli łzy i padli w męce.

Każda rana—Twoja, bo za Ciebie rani,
każdy głos—straszliwym echem Twemu słowu.
Oto znów ku Tobie wznosim krzyk z otchłani,
groby nam, niż grody, obszerniejsze znowu.

Pobłogosław, Dobry, owych, którzy legli
pod krzywoprzysięcy nożem u stóp krzyża.
Czyż przodkowie wielcy inną pąć przebiegli
nad tę, którą wielka Twoja dłoń przybliża ?

Pobłogosław jasny szlak ich na obłokach,
surmę, którą martwych zowiesz wśród popłochu,
i na wiecznej bruździe po umilkłych krokach
martwych miecz, złożony złotem Twego prochu.

Z serbskiego przetłóżył

ANTONI BOGUSŁAWSKI.

„DWA LATA TEMU WE FRANCJI“

5 czerwca 1940 r.

Maix pod Luneville'em.

Zdaje się, że jest to nasz ostatni spokojny wieczór. Prawdopodobnie już jutro wyruszymy na front. Wszystkie ceremonie wstępne zostały dopełnione. Odbyła się spowiedź, rozdano nam medaliki z Matką Boską i ostrą amunicję.

Po apelu siedzimy przed naszą kwaterą i gawędzimy. Nazywam to szumnie kwaterą—jest to zwykła stodoła. Na dole wypchana słomą. Na strychu, względnie pustym—kąty pozajmowane również słomą i sianem—śpimy pokotem. Komunikacja ze światem odbywa się przy pomocy połamanej drabiny. Nabrałem już zrećności strażaka. Schodzę i wchodzę po tej drabinie, obładowany rynsztunkiem, kilka razy dziennie.—Jak zwykle gawędę zagaja Szymiak. Stary wyga, ma chyba czterdzieści kilka lat. Zna jak własną kieszeń całą Nadrenię, Belgię, Holandię i Północną Francję. Pracował chyba we wszystkich fabrykach tego wielkiego okręgu przemysłowego Europy Zachodniej. Nigdzie nie zagrzeżał miejsca. Pędziło go z miasta do miasta. Pytam go czemu się tak włóczył po świecie.

„Taki ciekawy jestem“—odpowiada.

Głędzi jak to się żyje w Niemczech, jak to oni piją piwo, jak traktują ludzi. Potem przerzuca się na Holandię.—„Bo widzicie to taki dziwny kraj—kanały i kanały—a ile szczurów!!“.

„Widzieliście katedrę w Kolonii“?

„A pewno, że widziałem. Piękna budowla!“

—Panie podchorąży—śmieją się żołnierze—on już tu wymyszkował wszystkie okolice, wszystkie wioski i szynki w promieniu 20 klm naszej kwatery. Wiem. Szymiak często wykradał się na „wycieczki krajoznawcze“, naturalnie bez przepustki. Wiedziałem, że cierpi na chorobę zwiedzania. Udałem, że tego nie widzę. Dziś jest tak blisko frontu, że takie drobności jak przepustka już się nie liczą.

Powoli rozmowa schodzi na życie „cywilne“.

Płaczyk był robotnikiem w hucie szklanej w Belgii. Opowiada jak hutnicy pracują w żarze, pół nędzy. Zarabiał dobrze. Nie, dzieci nie ma. Zostawił żonę. Tak, wstąpił na ochotnika. Był w 20 roku w wojnie z bolszewikami. Też ma już ze czterdziestkę.

Najstarszy wiekiem jest Wasik. Ma 45 lat. Był w poprzedniej wojnie w armii austriackiej. Również służył w „Maschengewehrach“. Nie ma wiele do opowiadania. Pracował na roli.

Nareszcie dorwał się do gadania Guttek. Ten jak zacznie, to nigdy nie może skończyć.—„Bo to widzicie, u nas w bractwie Św. Barbary, gdzie byłem skarbnikiem a potem wiceprezesem. . .“ Tak zawsze zaczyna się jego przemówienie. Musi imponować. Młodzi słuchają.

Szczypniewski nic nie mówi. Uważa, że to wszystko głupie gawędy. Jest najbardziej czytany i trudno mu czymś zaimponować. Niedawno przyjechał do Francji. Służbę wojskową odbył w Polsce jakieś 5 lat temu. Ma dużo wiadomości. Niewątpliwie góruje nad kolegami.

„No, chłopcy, musimy iść spać—mówię—jutro pewno będziemy mieli ciężki dzień. Guttek, chodź pan na górę“.

Muszę czekać na Guttkę bo śpimy razem. Rozkładamy jeden koc na sianie a przykrywamy się dwoma. Guttek taszczy ze sobą Hitlera. Brudne psisko roznosi tylko pchły. Drużyna jednak tak się przywiązała do kundla, że niema mowy aby się go pozbyć. Bestia zawsze układa mi się koło głowy. Muszę spać w czapce nasuniętej na uszy.

6 czerwca.

Spotykam podch. Wniklewskiego. Przed wojną był attaché ambasady. Składam mu gratulacje. Dostał awans. Z obserwatora przenieśli go na drużynę. Będzie na froncie dowodzić drużyną strzelecką.

Nie podziela mego pesymizmu. Nawet, jeśli Francja pod wpływem wystąpienia Włoch załamie się, jak przypuszczam, to i to jeszcze, jego zdaniem, nic nie znaczy. Niemcy i Włochy muszą być pobite. Nie będą mogły wygrać wojny przeciw Wielkiej Brytanii i Ameryce. Zna dobrze Włochy i Niemcy. Wchodząc do wojny, już są one obciążone zarodkiem przyszłej klęski. Są już zmęczone zanim się cokolwiek zaczęło.

Wniklewski nie ma najmniejszych wątpliwości.

A sprawa Belgii? Cóż to jest Belgia? To tylko cios moralny. Zresztą Leopold był zawsze niepewny.

Podziwiam Wniklewskiego. Przyznam się, że ostatnie wiadomości poważnie mnie zaniepokoiły.

O 6-ej rozkaz. Maszerujemy na front. Dowódca kompanii wygłasza przemówienie. Z tymi długimi wąsami polskimi wygląda nie tyle na oficera zawodowego, ile na spokojnego, łagodnego rolnika.

— „Widzicie—nie ma się co bać—mówi. Nie każda kula zabija. Wszystko zależy od tego co komu sądzono. W czasie kampanii w Polsce nic mi się nie stało, a mego ordynansa, który został w kuchni trafiła kula. Wszystko to ślepy los.”

Ostatnie zarządzenia. Amunicja jest. Wszystko w porządku. Mam szczęście—nasza drużyna zostaje wyznaczona do Opl. Jedziemy samochodem przed batalionem, by zająć zgóry stanowiska Opl. Jest to wielka gratka. W ten sposób dzień marszu nam ubywa.

—Madame—niech Pani przechowa trochę tych listów i fotografii. Jeśli wszystko dobrze się skończy, odbiorę po wojnie. Mój adres. Aha, Paryż. Ale niech pani nie wysyła. Sam się zgłoszę.

Samochód już zajechał po nas. Batalion się już ustawia. Cholera, Hitler znów wpakował mi się na kolana.

9 czerwca, Alzacja.

Idziemy noc za nocą. W dzień śpimy po lasach lub opłotkach wiejskich. Czasem na łąkach w sianie, gdzie się da. Biedki z karabinami i amunicją zawsze pochowane pod drzewami—przed lotnikiem. Szukają nas samoloty niemieckie.

Gdzie jest do cholery motoryzacja? Zanim dojdziemy na front, już będziemy wymęczeni!

Coraz rzadziej można coś kupić. Wioski są zresztą wyludnione. Ludność ucieka.

Nareszcie jakieś dobre chłopsko wyciągnął nalewkę wiśniową i nas częstuje. Opowiada, że w poprzedniej wojnie były tu w okolicy wielkie boje. Tuż, za wioską, na tym wzgórzu, leżeli pokodem ranni żołnierze francuscy. Posterunki niemieckie nie pozwalały kobietom nawet donosić im wody. Niemcy są bardzo źli—mówi starzec.

Od czasu do czasu słychać artylerię. Znanicy mówią, że to ciężka artyleria francuska tak wali. Ano, zobaczymy.

10 czerwca, Wittelsburg.

Nad ranem zajmujemy pozycję. Pluton nasz lokuje się na skraju lasu, 100 metrów w lewo wskos od kościoła. Jesteśmy w małej wiosce alzackiej. Na skraju u wyjścia głównej ulicy—kościół. Odrazu się orientujemy: wieża—świątynny cel dla artylerii npl.

Wioska jest opuszczona. Domy pootwierane. żołnierze francuscy, którzy tu byli przed nami, powybijali drzwi. A może nawet to nie oni

powybijali. Może sami mieszkańcy uciekli, pozostawiając domy na łasce losu. Porozciągane graty wałęsają się po ogrodach.

Biedki amunicyjne zatrzymują się w opłotkach. Wychodzimy na skraj lasu. Przed nami pusty teren, w dali rzeczka i lasy. Na prawo od nas, pół kilometra, kończy się Linia Maginota, i dalej nic. Pytam się co jest przed nami. Dowódca plutonu oświadcza mi: Rzeczka, trochę oddziałów francuskich no i Niemcy. Nie mogę tego pojąć.

Jakto? A gdzie są fortyfikacje? W czasie mego kilkuletniego pobytu we Francji kwestionowano wiele rzeczy, ale przecież nikt nie kwestionował jednego, że Francja jest opancerzona.

W zetknięciu się z rzeczywistością okazuje się, że w pancerzu tym jest luka.

Bierzemy się do kopania stanowisk. Wiem, że wojna jest przegrana. Mam szok nerwowy. Za dużo czytałem o Linii Maginota, za długo w rozumowaniach swych posługiwałem się Linią Maginota jako jakimś argumentem rzeczowym i konkretnym. A tu nagle okazuje się, że Linia Maginota urywa się pół kilometra na prawo odemnie i że muszę sam kopać stanowiska dla swoich karabinów maszynowych. Cóż to ma znaczyć?—pytam swego dowódcę, porucznika T.

Jestem zawstydzony. Powinienem przecież lepiej wiedzieć. Mieszkałem we Francji, byłem dziennikarzem. On jest oficerem zawodowym i przyjechał do Francji kilka miesięcy temu przez Rumunię czy Węgry, Jugosławię, Włochy. Jestem jednak tak zdezorientowany tym co widzę, że muszę natychmiast ten niepokój jakoś uciszyć.

— „To nic—odpowiada por. T.—To jest ta dziura, przez którą miał wyjść ewentualny atak francuski na Linię Siegfrieda. To jest ta „luka.“

Tymczasem luką tą pójdzie teraz uderzenie niemieckie, i w tej „luce“ jesteśmy właśnie my—*1-sza polska Dywizja Grenadierów*. W tej luce—szerokości podobno 20 klm.—mamy teraz bronić Francuzów przed atakiem niemieckim. Historia się powtarza. W 1813 roku osłanialiśmy odwrót wielkiej armii pod Lipskiem.

Rozkazuję żołnierzom ścinać drzewa i kopać rowy. Robię szkice ogniowe. Je m' en fou.

Cóż wart jest system obrony, który ma luki na 20 klm. długie, coż wart system obrony, który się w połowie urywa.

Śpimy już w polu na stanowiskach. Cisza. Ciągłe tylko te błyski reflektorów z Linii Maginota. Poza normalnymi stanowiskami dla CKM-ów, wybudowaliśmy także specjalne stanowiska przeciwlotnicze. Śpimy w lasku, jakieś kilka metrów za stanowiskami. W rowach jest zbyt wilgotno, prawie że błoto. W lasku, nie lepiej, ale przynajmniej trochę trawy. W razie alarmu w dwu skokach jesteśmy na stanowiskach.

Wyciągnięty, z głową opartą o tornister, patrzę w gwiaździste niebo. Jaka cisza! Ktoby przypuszczał, że w promieniu kilkunastu kilometrów czuwa lub gorączkowo pracuje kilka tysięcy ludzi. Ciągłe myślę o tym, jaka będzie reakcja nerwowa przy pierwszej walce.

T. gdzieś się zawieruszył. Boniewski jest przy punkcie amunicyjnym. Cały dzień mendził. Ciągłe robił zestawienia ile mamy naboji. Liczyliśmy i przeliczaliśmy taśmy. Jaka ta biurokracja wojskowa jest zabawna. Jeszcze teraz mają zmartwienia czy mam jedną skrzynkę naboji więcej czy mniej.

Jestem sam. Płaczek z pierwszą drużyną wlaźł do schronu. Mówi, że mu zimno. Druga drużyna—moja drużyna—śni ze mną. Czuje jak się między nami wytwarza jakby więź. Gruby Guttek przysuwa się do mnie. Swe obowiązki obserwatora spełniał cały dzień niezwykle sumiennie. Siedział na drzewie z lornetką i ciągle wypatrywał. Już się tak utarło, że śpimy razem. Razem spaliliśmy w stodole na kwaterze w Lotaryngii, teraz też uważa, że ma wobec mnie obowiązki „Schlafkamrata.“ Jestem trochę

niezadowolony. Ten jego brudny kundel roznosi pchły. Nie może się bez niego ruszyć.

— „Śpiz pan—trąca mnie—To się człowiek natyrpa. Widzi pan jakie to cholery w tej kuchni. Siedzą tam ten Duniek i Moskal i nic nie robią, tylko im kałduny rosną. Nie mogliby to dowieść nam strawy. To my im musimy posyłać gońców po jedzenie. Zawodowi, cholera—zawodowe próżniaki!”

Guttek jest chłop morowy, ale ciągle pyskuje. Ciągle mu coś zawadza. Jest na noże z sierżantem Moskałem i chorążym Dunkiem. Chodzi mu o to, że nie został zawodowym.

Szemrze jeszcze długo, ale coraz ciszej. Słucham piąte przez dziesiąte. Powtarza się co pewien czas „Św. Barbara”—Aha, racja, Guttek był skarbnikiem Związku Emigrantów pod nazwą Zrzeszenia Św. Barbary. Typowa organizacja dawnych „Westfalaków”. Ciągle wspomina jak to tam dobrze było wszystko zorganizowane. Oczy mi się kleją.

12 czerwca.

Dostałem czarnej kawy od artylerzystów. Kręcę się po wiosce. Pokoje pozawalane porozbijanymi rzeczami. Pocałunek nie jest grzechem—śmieje się ze ściany wyhaftowana czerwonymi literami sentencja.

Żołnierze mają uciechę z kantyny polowej. Można kupić cidre i szczyryki. Kapelan, obnasza swą puciołowatą buzię młodocianego atlety w pobliżu kantyny, której patronuje. Po dwóch godzinach kantyna odjeżdża.

Boniewski przynosi kilka butelek wina. W naszym gaiku robi się piknik. Siedzimy na murawie i jemy zwykły nasz gulasz. Całe szczęście, że jest wino i czarna kawa. Od strony niemieckiej ciągle cisza.

Pod wieczór dochodzę do przekonania, że właściwie trzeba trochę przeczyścić CKM-y. Już dwa dni jak mokną na stanowiskach. Taka cisza ciągle, że sędzę, że można je zdjąć na chwilę i doprowadzić do porządku. Daję rozkaz karabinowym Wasikowi i Szczypnieskiemu. Zdejmują karabiny. Rozkładamy koce i przystępują do czyszczenia. Robią to zawsze niezwykle skrupulatnie. Istotnie, broń mamy utrzymaną znakomicie. Ten stary karabin Wasika z dorobioną z gwoździa zasówką przy podajniku, trzyma się tylko naprawdę dzięki troskliwości z jaką go Wasik utrzymuje. Jasne zresztą. Robociarz. Ma przywiązanie i kult dla wszelkiej maszyny.

Właściwie tracimy poczucie normalnych czy konwencjonalnych pór dnia. Śpimy, kiedy jest czas. Pracujemy, kiedy potrzeba.

Żołnierze, zmęczeni ciągłym kopaniem, powoli rozkładają i czyszczą Hoczkisy. Od czasu do czasu odkładają je na bok i gawędzą. Nie pilę ich. Trochę się zdrzemnę, pewno niedługo skończą.

Budzę się. Spałem jakieś trzy godziny. Patrę na zegarek—dochodzi trzecia. Karabiny oczyszczone, lecz jeszcze nie założone. Wychodzę przed nasz gaik, przed stanowiska. Na całej linii żadnego życia. Jakby nikogo nie było. Już dnieje. Stoję chwilę. Ta cisza jest jednak denerwująca. Mgły powstają i otulają horyzont jak wata. Zniknęły nawet kontury lasów.

Budzę Wasika i Szczypnieskiego. Każę im założyć karabiny. Do diabła. Przecież ta cisza kryje w sobie coś złowróbnego. Dochodzi już czwarta. Dopiero w wojsku ucę się podziwiać wschód słońca. W ciszy zamglonej białawą ośmą nagle błysk—to pierwszy promień słońca!

Nagle po linii całego frontu przechodzi błysk ostrzejszy, bardziej wyrazisty i nagle się urywa. Potem huk i dymy na prawo i lewo. Niemiecka artyleria rozpoczęła ogień na całej linii. Hazebrouk na lewo poczyna się trząść cały.

Wszyscy się zrywają. Pierwsza drużyna wychodzi ze schronu. Guttek

—na stanowisko! Włazi na drzewo z lornetą. Tymczasem nas oszczędzają. Walą na prawe i lewe skrzydło.

Przechodzimy pierwszy chrzest ognia artyleryjskiego.

Ta zabawa trwa jakoś do południa. Jesteśmy już w pełnym pogotowiu. Przy karabinach, ustawionych na stanowiskach przeciwlotniczych, czuwa obsługa.

Zmieniam Guttka i włączę na drzewo. Karetki sanitarne wożą rannych z Hazebrouk. Podobno rozbita siedziba dowództwa baonu.

Nagle z kilku gardeł krzyk. Atak samolotów. Krzyczę ja z drzewa, krzyczy i Guttek. Zeskakuję. Biegnę do swoich stanowisk. Samoloty są już nad nami. Kilkanaście. Walą bomby. Komenderuję: Ognia! Tanana krzyczy! „Włosi! Cholera, to Włosi!“ Białe samoloty mają nieco inny kształt niż samoloty niemieckie.

Bomby padają dokoła wioski. Walimy z karabinów maszynowych. Atak artylerii, teraz atak samolotów, wszystko wróży wkrótce atak piechoty. Czemu te bomby tak wyją? A może to wycie samolotów. Naturalnie nasze CKM-y nie wiele im robią krzywdy. Bomba pada jakieś kilkadziesiąt metrów za naszymi legowiskami.

Przelecieli.

14 czerwca, godz. 11 wieczór.

Odwrót. Na horyzoncie ogromne łuny. Lasem wstrząsa od czasu do czasu ogromny huk. Przez szeregi przebiega pogłoska, że to Linia Maginota wylatuje w powietrze. Przypuszczam, że to chyba te ogromne zapasy amunicji artyleryjskiej, które przed chwilą mijaliśmy w lesie. Nad lasem unosi się kula ognista. Wisi w powietrzu, potem powoli opada na dół, oświetlając krwawym odblaskiem okolicę. To podobno Niemcy spuszczaają na spadochronach takie bomby oświetlające, by badać teren.

Idziemy przed siebie w ciemnościach. Powłóczytym krokiem marszowym posuwa się kolumna naszego batalionu wśród potężnej ściany czarnych sosen.

Myślałem, że dzień dzisiejszy inaczej się zakończy. Że wejdziemy do boju.

Przed wieczorem o jakieś 8-ej porucznik przybiegł na pozycję i zarządził pogotowie bojowe. Wykończyć stanowiska! Wykończyć rowy dla amunicyjnych! Jeszcze dziś wieczorem z pewnością wejdziemy w bezpośredni kontakt z nieprzyjacielem!

Bierzemy się energicznie do kopania. Stanowisko dowódcy plutonu jest na skraju wioski, w naszym lasku. I-sza drużyna Płaczyka zajmuje stanowisko w schronie, bliżej wioski. Mnie wypada stanowisko w czystym polu, na lewo w skos od lasku. Teren fatalny. Musimy wykopać dla donoszenia amunicji długie rowy.

Wytyczam palikami ogień na skraj lasu, jaki widnieje przedemną na lewo w skos i ogień na dalekie przedpole na skraj lasu, który widnieje tuż przed nami. Stamtąd mają wyjść Niemcy.

Pytam się porucznika gdzie leżą nasze drużyny strzelców. Czy wogóle mamy ochronę strzelców? Nie mamy niestety. Będziemy się bili w pierwszej linii. Tradycje Cekaemisty buntują się we mnie. Przecież CKM-y zawsze mają ochronę strzelców. Tym razem jednak nie, tym razem są w pierwszej linii. A nuż pojawią się tanki. Piechota jest bezbronna, a cóż Cekaemy? Dużo ja zrobię tankom niemieckim swymi Cekaemami. Mam nawet nie wiele amunicji pancernej, pozatym drzę by karabin Wasika nie odmówił nagle posłuszeństwa, jak to mu się ostatnio zdarzało na ćwiczeniach ostrego strzelania pod Maix.

Kopiemy. Jestem już cały zgrzany. Przypomina mi się żołnierz, Żydek, w 1920 roku, który powiedział mi z żalną miną: Co ojczyzna z tego ma, co ja się tak pocę.

Porucznik właśnie wraca. Krótki rozkaz: Przygotować się do odmarszu, za pół godziny odchodzimy.

Co to znaczy? Odwrót? Tak. Stanowiska nasze zajmuje I-szy pułk.

„Wie pan, że podobno Paryż został już zajęty“.

„Co . . . !!?“

Podświadomie oczekiwałem tego. Jednak serce mi się dziwnie ścisnęło.

Wydaję dyspozycję i na chwilę wyskakuję do pobliskiej szkoły. Jakies 50 metrów. W sali szkolnej jest stary, opuszczony radio-aparat. Nastawiam go. Może się czegoś dowiem. Łapię jakąś stację francuską. Muzyka gra przerażająco smutne tango.

W Paryżu zostawiłem żonę.

Muszę wracać do oddziału. Za chwilę wyruszamy. Boże mój, co się dzieje z Francją. Co się stanie z nami. A jednak przepowiednia Hitlera, że zajmie Paryż 1-go czerwca sprawdziła się. A jeśli, jak zapowiadał— 15-go lipca będzie w Anglii?

— Panie Podchorąży czy bierzemy tornistry?

— Wsadzić tornistry na biedki. Mamy przed sobą długą drogę.

Idziemy rozwlekłym krokiem za biedkami. Już słychać gdzieś z dala strzały. Staram się nie dawać złego przykładu i nie trzymać się krawędzi biedki. A mam taką ochotę. Tak mnie to kopanie zmęczyło. Zanoszą się z pewnością na całonocny marsz. Ile oni tu do cholery pozostawiają tej amunicji dla ciężkiej artylerii? Byłoby z czego strzelać i strzelać.

16 czerwca, Gueblinge.

5-ta rano. Dowódca plutonu komunikuje mi, że zajmiemy stanowiska na wzgórzu i że mamy za zadanie osłaniać odwrót batalionu i utrzymać pozycje do godz. 12-iej w południe. Ze swoją drużyną mam zająć stanowiska na samym szczycie. Wycofywać się mam na las, oddalony o jakieś półtora kilometra. Między naszym wzgórzem a lasem jest wieś, a raczej jakieś skromne opłotki i tor kolejowy. Dowódca plutonu zawiadamia mnie, że w momencie wycofywania się ze stanowisk, pierwsza drużyna Głaczyka, która zając ma stanowiska w opłotkach wiejskich, będzie osłaniać nasz odwrót.

Otrzymuję zadanie i rozkaz, by za godzinę być już w pogotowiu bojowym. Jestem podniecony. Po raz pierwszy zastosować mam w praktyce wiedzę wojskową, nabytą niedawno w Podchorążówce. Przypominam sobie całą teorię o zajmowaniu stanowisk. Proponuję zajęcie stanowisk na zboczu wzgórza, tłumacząc dowódcy, że odpowiadałyby one bardziej wymogom sztuki wojennej, że nie będę miał pół martwych i że oba moje karabiny będą się mogły wzajemnie wspierać ogniem. Wywód mój jest bardzo logiczny i mocno akademicki. Dowódca mój rozumuje mniej teoretycznie, a bardziej praktycznie. Poleca mi zająć stanowisko na szczycie wzgórza. Kopiemy. Sam lokuję się między dwoma stanowiskami CKM-ów bliżej jednak drugiego karabinu, gdyż wiem, że karabinowy Wasik jest nieco głuchy i może mnie nie słyszeć.

Ogromnie lubię Wasika. Stara się. Jest pracowity i posłuszny. Spryciarz, ukrywa dyskretnie przed wszystkimi swoją lekką głuchotę. Jest bardzo wdzięczny za to, że swego czasu zaproponowałem go do awansu na starszego strzelca i awans ten dostał.

O godz. 6-iej jesteśmy już gotowi. Wyczekujemy Niemców. Obserwator Guttek wykopał sobie stanowisko jakieś 10 kroków za mną. Niedaleko Guttką znajduje się punkt obserwacyjny artylerii. Lornetą wypatruję Niemców. Drogą, biegnącą przed nami na lewo, wycofują się pośpiesznie ostatnie oddziały naszej piechoty.

6.30. Z lewej i z prawej strony wywiązują się strzały między cofającymi się strażami tylnymi naszych oddziałów a niemieckimi patrolami. Wypatruję wciąż przez lornetę. Oho, w budynkach wiejskich, na jakieś 800 mtr. przed nami, pokazują się nagle jakieś małe szare postacie. Poznają ich. Uświadamiam sobie nagle, że to Niemcy. Tak, żołnierze niemieccy. Jestem tym

tak przejęty, tak zaciekawiony, że zaczynam pilnie śledzić krzątania się żołnierzy niemieckich.

Plutonowy Guttek krzyczy: Dlaczego pan nie strzela, przecież to Niemcy! Na co się pan gapi? Cholera, przygląda się Niemcom!

Tak, przyglądam się. Pierwszy raz ich widzę. Rozwijają się na drodze, za drzewami, wprost przed nami. Małymi grupkami podbiegają w kierunku domu—tego domu, tuż naprzeciwko nas. Śmieszne, małe figurki. Kręcą się jak frygi. Niemcy—to oni—nareszcie!

Opanowuję się. Pierwszy mój występ bojowy musi się odbyć z całym ceremoniałem. Wychyłam się z rowu, stoję i by nie działać pod wpływem inspiracji Guttki, odczekuję sekundę i wydaję przepisową komendę, tak jak to było na ćwiczeniach.

Pierwszy i drugi karabin cel dom naprzeciw nas, celownik 1200 mtr., ogień poszerzany od lewej do prawej, Ognia!!

Walimy. Niemcy się wstrzymują. Po chwili zaczynają się gwałtownie poruszać. Pchają się znów na dom. Chcą widocznie ustawić za węglem domu CKM, by nas ostrzeliwać. Walimy do nich bez przerwy. Nie rezygnują jednak. Cholera. Zajęli dom. Pchają się dalej. Chcą teraz ustawić CKM-y w ogródku, między domem a nami. Jednocześnie odzywają się niemieckie moździerz. Wałą do nas z jakiegoś CKM-u z lewej strony. Całe wzgórze nasze jest ostrzeliwane. Najgorsze jednak są te pociski moździerzowe.

Najsilniejszy ogień kierują na szczyt wzgórza, gdzie mamy nasze stanowiska i na róg lasu, na prawo od nas, gdzie broni się kompania naszej piechoty. Musieli dostać! Słychać straszne jęki. Wiem, że tam jest Wniklewski. Po diabła zajęli stanowisko na skraju lasu. Ogień niemiecki wzmaga się coraz bardziej z prawa, z lewa i od przodu.

Wasik już zupełnie nie słyszy moich rozkazów. Wyskakuję ze swego stanowiska, dobiegam do niego i stoję przy jego karabinie maszynowym. Od niego mogę śmiało dowodzić także i pierwszym karabinem Szczypniewskiego. Ten, wiem, słyszy mnie doskonale.

Wasik źle okopał stanowisko. Świeża ziemia niedawno rozkopana, nie pokryta darnią, pod wpływem ognia naszego CKM-u podnosi się żółtym tumanem nad stanowiskiem. Świetny znak ostrzegawczy dla Niemców. Już nas wymacali. Kulimy się. Ostrzeliwiają nas specjalnie z CKM-ów. Kule wyją koło uszu. Najgorsze są jednak te moździerze. Padają kilka metrów od stanowisk. Musi być gorąco. Widzę, że obserwator artyleryjski związa manatki i wycofuje się.

Patrzę na zegarek. Godz.12-ta. Jesteśmy coraz bardziej naciskani z lewej strony. Niemcy wyraźnie nas oskrzydłają. Chcą nas odciąć od lasu. Niemiecka piechota podchodzi coraz bliżej od lewego skrzydła. Orientuję się po tym, że coraz silniej wałą z RKM-ów ci, którzy zachodzą nas z od lewa. Ci z przeciwka chwilowo nie posuwają się naprzód tylko wałą do nas, ile wlezie.

Guttek podaje mi rozkaz dowódcy plutonu. Opuścić stanowiska. Wycofujemy się w kierunku na las. Podaję rozkaz:

— „Przerwać ogień! Pierwszy karabin ze stanowiska! Drugi karabin ognia!“

Wasik osłania wycofywanie się Szczypniewskiego. Szczypniewski przebiegł kilkanaście metrów pod ogniem i schodzi już ze wzgórza. Jest już chroniony przez zbocze.

Następny rozkaz. Wasik wyskakuje ze stanowiska.

No, teraz kolej na mnie. Moment zastanowienia. Daję susa ze stanowiska. Benc—moździerz! Padam na ziemię, podrywam się i zbiegam. Dopadam Wasika i Szczypniewskiego i wycofujemy się razem do oznaczonego miejsca, gdzie mają czekać na nas biedki. Naturalnie biedek niema. Chwila wytchnienia. Trzeba biec dalej do opłotków wiejskich. Według

planu odwrót nasz ma osłaniać z wioski pierwsza drużyna Placyzka. Dobiegamy do opłotków. Diabła tam! Nie ma nikogo. Już się wycofali. Niemcy tymczasem dobiegli widocznie do wzgórza i ostrzeliwują nas z dawnych stanowisk.

Nareszcie! Jacys nasi żołnierze. Zamiast CKM-ów Polaczka pluton piechoty. Zdaje mi się por. Mupianiec. Będzie z RKM-em osłaniał nasze wycofywanie. Mijamy sanitariuszy, dźwigających rannych. Znów chwila wytchnienia. Teraz najważniejsza przeszkoda. Trzeba przejść pod ogniem nasyp kolejowy. Widzę, że Wasik już nie może nieść CKM-u, odbieram mu go. Jest tak rozpalony, że muszę go trzymać przez płaszcz. Przeskakujemy w kilku susach nasyp. Niemcy walą ciągle. Do lasu mamy jeszcze jakieś 800 mtr. Ten piekielny CKM ciąży podwójnie. Jestem tak zmęczony, że przewracam się. Biegniemy przecież już jakieś 800 mtr. pod ogniem, obladowani. Amunicyjni dźwigają skrzynki z amunicją. Jeszcze 400 mtr. Skraj lasu wydaje się nam jakimś wstępem do raju. Tam będziemy bezpieczni. Tam będzie można przede wszystkim zrzucić ten piekielny CKM.

Jeśli spotkam tam biedkarzy, mordę im skuję. Mieli czekać na nas przy zboczach wzgórza z wózkami, by przewieźć sprzęt. Zwiąły cholery. Teraz my musimy sami ten sprzęt dźwigać.

Dobiegamy do skraju lasu. Major B. w milczeniu wskazuje nam ręką kierunek, gdzie mamy dalej maszerować. W ustach czuję smak krwi. Mam wrażenie że ze zmęczenia serce wyskoczy mi gardłem.

Dołączamy do batalionu. Ani chwili odpoczynku. Idziemy dalej. Znalazły się jakoś wózki. Jestem tak zmęczony, że nie mogę nawet wymyślać. Zbieram drużynę i bez słowa ruszamy.

Mija nas artyleria francuska. Wycofują się w innym kierunku niż my. Robi się jakoś głupio. Nie wiadomo czy się wycofujemy, czy idziemy na nieprzyjaciela. Ktoś musiał się pomylić. Albo Francuzi, albo my. Idziemy dalej.

Z lewej strony jakieś hałasy. Wygląda tak, że równoległe do naszej drogi, kilkanaście metrów za krzakami i gęstwiną przebiega inna droga i że tą drogą ciągnie jakieś wojsko. My idziemy w jednym, a oni w drugim kierunku. Rozkaz. Zatrzymujemy się. To chyba Niemcy. Chwila wyczekiwania. Bagnet na broń. Czy będziemy atakować, czy będziemy się przebijać, czy też zawrócimy.

Jakiś oficer odjeżdża motocyklem, by zbadać sytuację. Wraca. Droga przecięta. Zmieniamy kierunek. Jest mi wszystko jedno. Zmęczenie fizyczne zabija wszelką zdolność rozumowania. Dobilo mnie to dźwiganie CKM-u.

17 czerwca, Lagarde, godz. 13-a.

Idziemy na pozycję. Mamy bronić Kanału Marna—Ren. Z dowódcą plutonu por. T. idę, żeby dokonać wyboru stanowiska. Wychodzimy z lasu na polanę. Polana jest już lekko ostrzeliwana przez nieprzyjaciela. Pluton nasz zajmuje stanowiska w pośrodku polany na szczycie wzgórza, które łagodnie opada w stronę kanału, wprost naprzeciwko miasteczka Lagarde. Po lewej ręce, jakieś 100 mtr. od nas czernieje krawędź lasu. Przez las ten przebiega droga, która, widzimy ją dokładnie z naszego wzgórza, wije się przed nami dochodząc do Lagarde. Z prawej strony też jakieś 150 mtr. znowu las. Jesteśmy więc na szczycie wzgórza otoczonego półkolistą linią lasu.

Mamy parszywe stanowisko. Przede wszystkim na szczycie wzgórza, na otwartej przestrzeni, pozatem tuż naprzeciw Lagarde, z którego pewnie pójdzie główne uderzenie niemieckie. Stanowiska nasze znajdują się w pierwszej linii piechoty. Pracujemy razem nad okopaniem się, my Cekaemiarze dłubiemy koło naszych stanowisk, strzelcy pośpiesznie robią sobie wneki strzeleckie.

Okopujemy się pośpiesznie. Jestem wściekły. Mamy za mało łopatek. Wystarczyza zaledwie na budowę stanowisk dla karabinów maszynowych. Rezygnuję już z wykopania dla siebie przyzwoitego stanowiska i postanawiam obracać sobie swoje łęgowisko w bruzdzie. Robię tylko lekką ochronę dla głowy.

Pracujemy gorączkowo, gdyż musimy być gotowi na godz.5-tą. Chwila przerwy w kopaniu. Rozglądam się po naszej pozycji. Kilkanaście kroków od nas pracują strzelcy. Stary sierżant kilofem wykopuje sobie w ziemi dół. Od czasu do czasu słyszę jego filozoficzne uwagi. Wygaduje na kogoś.

„Widzicie go, jaki się teraz cichy zrobił jak posłyszał pierwsze strzały.“ Sierżant widocznie załatwia swoje porachunki z jakimś podoficerem. „A taki był przedtem ważny, taki pyskawy“. Potem przychodzi znów seria uwag na temat strachu, żeby się nie bać, że nie każda kula zabija i t.p. Widzę jego sylwetkę jak kopie kilofem, potem podnosi się, opiera na kilofie i coś opowiada.

Kiedyś w życiu widziałem podobną scenę. Tak, przypomina się filozoficzny grabacz z Hamleta.

Strzały padają coraz gęściej. Do strzałów karabinowych przyłączają się już RKM-y i CKM-y. Czuję, że za chwilę rozpocznie się bitwa.

Godz.17-ta. Niemcy atakują. Walą do nas z artylerii. Najbardziej dokuczliwe są moździerze. Moździerze walą po polance benc, benc, a my w środku. Święta ziemia jakoś przytula. Wciskam się coraz bardziej w bruzdę. Po owsie idzie chrzęst od kul karabinu maszynowego. 20 kroków odemnie jakiś strzelec dostaje odłamkiem szrapnela czy moździerza. Krzyczy jak zraniony zajęc, potem cichnie. Widzę, jak doczołgują się do niego sanitariusze.

Deszcz mży coraz bardziej. Mundur mam już przesiąknięty wilgocią. Żeby chociaż trochę alkoholu czy gorącej kawy! Powoli zapada zmrok. Kontratak naszej piechoty wychodzi z lewej strony, w kierunku na Lagarde. Na naszym wzgórzu zaczyna się piekło. Ogień jest tak silny, że nie można podnieść głowy. Jakaś kompania naszej piechoty chce wyjść z lasu za nami, przejść przez nasze stanowiska i atakować Lagarde od przodu. Wychodzą z lasu, dochodzą pod szczyt naszego wzgórza, na którym leżą i cofają się. Nie mogą przejść przez nasze stanowiska. Za silny ogień.

Oddziały, które wyszły do kontrataku z lasu, z lewej strony, dochodzą do Lagarde. Od Lagarde słychać krzyki i przekleństwa. Zdaje się, dochodzi do walki wręcz. Wstrzymałem ogień. Porucznik krzyczy by strzelać ponad głowami.

Proszę o powtórzenie rozkazu. Boję się, by nie razić naszych. Porucznik podaje mi rozkaz po raz wtóry.

Rozpoczynamy znowuż ogień. Przerywam go jednak za chwilę. Tak się już pomieszali, że nie możemy strzelać.

Porucznik krzyczy—czy żyję i czy w mojej drużynie wszystko w porządku. Tak, żyję i wszystko w porządku. Okazuje się, że pułkownik wskutek meldunku piechoty, która nie mogła przejść przez nasze stanowiska z powodu ognia niemieckiego, przysłał gońca na nasz odcinek z pytaniem, jaka sytuacja. Czy nas Niemcy nie zniesli zupełnie.

Dobiega 22-ga. Jesteśmy już 5 godzin pod ogniem artylerii niemieckiej i moździerzy. Dostałem jakiegoś okropnego bólu w kolanie. To odj leżenia w bruzdzie z wodą.

Bitwa powoli ustaje. Lagarde pali się przed nami jasnym płomieniem. Widzę, jak ogień pożera największy dom w miasteczku, dom lekarza. Jeszcze dziś rano, o świcie, gdy przechodziliśmy przez miasteczko, przed domem stała cała rodzina francuska, patrząc smutnie na odchodzące oddziały polskie.

Wykorzystujemy zmrok i przerwę w ogniu na umocnienie stanowisk.

Żeby było co się napić! Manierka pusta, żadnych zapasów jedzenia. Trzęsie mną zimno. Wymieniamy opinię na temat naszego ostatniego kontrataku. Był wspaniały. Sam pułkownik szedł z karabinem w rękę w pierwszej linii.

O 23-ej wieczór przychodzi do mnie dowódca plutonu. Ogląda stanowiska i wydaje dyspozycje na jutro. Niech pan wybuduje stanowiska zapasowe tak, by pan mógł strzelać do tyłu, na prawo i na lewo. Patrzę na niego zdziwiony. Jakto? Kładzie mi rękę na ramieniu. Tak. Niemcy chcą nas otoczyć. Kto wie, czy wyjdziemy z tej matni cało. Francuzi na naszych obu skrzydłach trzymają się dosyć kiepsko. Pierścień niemiecki się zamyka.

Burzę się przeciwko temu. Jakto, cała dywizja ma tu zostać wycięta nad tym parszywym kanałem? Jak nas otoczą, trzeba się będzie przebijać. Może się uda.

Wyczuwam, że porucznik ma jakieś wiadomości niepomysłne. Ze sytuacja nie musi być dobra.

Musimy tu pozostać jaknajdłużej—powtarza.

Podajemy sobie ręce. Odchodzi. W ciemności widzę nagle jak jakieś dwa cienie zbliżają się do mnie. To dwaj podchorążowie z rozbitego batalionu meldują się na nasze stanowisko jako ochotnicy. Chcą z nami pozostać. Mają z sobą jeden poharatany już karabin maszynowy, bez podstawy. Proszą o amunicję i wyznaczenie stanowiska.

Poznaję ich. Byłem razem z nimi w Podchorążówce. Samuel T., Żyd z pochodzenia i Musiak, kleryk, syn górnika z Północnej Francji. Oświadczają mi, że dowódca plutonu pozwolił im pozostać z nami. Obierają sobie stanowisko jakieś 10 mtr. odemnie.

Trzeba trochę odpocząć. O świcie z pewnością bitwa rozpocznie się na nowo. Stanowiska już poprawione. A więc może to być ostatnia moja noc. Dziwne to wszystko. Nie mogę przyzwyczać się do myśli, że nagle, ta mała polanka na wzgórzu stała się dla mnie całym światem. Kto wie, może to będzie mój kończący się świat.

Lagarde, 18 czerwca.

Będzie dziś piękny dzień. Chmury zniknęły. Z nad kanału wznoszą się tumany białej mgły, snują się po łąkach przed nami. Tchnie latem. Zieleń jest bardzo soczysta. Las tonie w ciszy. Ptaki budzą się do życia dopiero ze wschodem słońca. Do wschodu jeszcze jakieś pół godziny. Światło jest jeszcze blade, ale dość wyraziste by można było widzieć szczegóły tego wąskiego życia, jakie roztacza się przed naszymi oczyma.

Na łąkę przed nami w pobliżu kanału wyszły jakieś krowy. Posuwają się powoli wzdłuż naszych linii. To pewno bezpańskie, pozostawione dobrym ludziom i Bogu zwierzęta, które wałęsają się teraz całymi stadami.

O 5-ej na całej linii bitwa ożywia się na nowo. Jak zwykle sygnałem walki jest artyleria. Znowuż rozpoczyna się to piekielne bombardowanie. O ile łatwiej jest umrzeć w ataku, w jakimś zapalczym podnieceniu, o ile łatwiej jest dać z siebie jakiś krótki wysiłek, w którym emocja zawsze opanuje strach, niż tkwić kilkanaście godzin, w oczekiwaniu, że lada chwila przyjdzie na mnie kolec, że następny pocisk to będzie dla mnie. Pociski padają sobie po polance tak od niechcienia, to tu, to ówdzie jakby bez planu. Jakaś przedziwna loteria.

Odzywa się nasza artyleria. Wali ponad naszymi głowami w Lagarde i stanowiska niemieckie. Nad naszymi głowami wywiązuje się pojedynk artyleryjski. Artyleria nasza jest wspaniała. Podnosi nas na duchu. Gdyby nie oni, już dawno by nas diabli wzięli. Patrzę na zegarek. Dopiero w pół do siódmej. Jak długo będziemy tu sterczeć. Żeby chociaż Niemcy ruszyli do ataku, żeby było widać żywych ludzi, żywego nieprzyjaciela.

Zmieniłem stanowisko. Siedzę razem w jednym rowie z Gutkiem. Nie mogłem już wytrzymać w brudzie. Było zbyt niebezpiecznie. Wyko-

paliliśmy sobie w nocy wspaniały rów na dwóch. Oba Cekaemy mam od siebie mniej więcej jakieś 100 mtr. Mogę nimi doskonale dowodzić. Jakies trzy metry przedemną leżą w swych wnękach strzelcy z kompanii piechoty. W lewo jakieś 20 mtr. ma stanowisko dowódca plutonu i pierwsza drużyna. Poza tym między dowódcą plutonu a mną ulokowało się dwóch naszych gości, podchorążych z rozbitym Cekaemem. Możemy się komunikować z sobą swobodnie głosem.

Zbliża się południe. Słońce przygrzewa mocno. Ogień niemiecki jest teraz silniejszy. Skolei ruszają się Niemcy. Widocznie sądzą, że jesteśmy już dostatecznie wyniszczeni i zdemoralizowani ogniem artylerii i moździerzy, że teraz kolej na ich piechotę. Posuwają się grupami. Zajęli kępę drzew na jakieś 500 mtr. przed nami.

Walę obu karabinami w kępę drzew. Nagle dostajemy jakiś bardzo przykry ogień niemieckiego cekaemu. Walą po naszych stanowiskach, że nie można wychylić nosa. Skąd to może być? Aha, ustawili karabin maszynowy na drzewie, tam, widzę doskonale. Bierzymy go na cel. Ściągnęliśmy drania. Uspokoił się. Jednakże ogień niemieckich cekaemów jest coraz silniejszy. Z pewnością niedługo przyjdzie atak na bagnety.

Widzę przez lornetkę jak pod Lagarde podejżdżają sznurem niemieckie samochody ciężarowe, jak Niemcy wyskakują z karabinami z tych samochodów i posuwają się w naszym kierunku. Odważne dranie. Cały nasz ogień kierujemy na samochody ciężarowe. Nic ich nie może powstrzymać. Wychodzą jak na paradzie. Teraz rozwijają zasłonę dymną i idą do ataku. Biały obłok dymny demaskuje zamiast ich ochraniać. Widzimy, a raczej wyczuwamy, że posuwają się właśnie w tym obłoku. Każę strzelać wprost w biały dym. Obłok zatrzymuje się na miejscu. Po pewnym czasie rozwiewa się. Na łące leżą trupy niemieckie. Atak się nie udał.

Niemcy nie dają jednak za wygraną. Pchają się znowu. Gorzej. Wyczuwam, że ogień naszej artylerii słabnie. Boję się, że braknie im amunicji, że już oszczędzają pocisków. Sytuację ratują jeszcze nasze moździerze, ustawione za nami w lasu. Straszny krzyk. Kilka metrów od naszego stanowiska Szlachtowski dostał kulą. Dostał w bok. Pewno w nerki. Guttek wyskakuje ze stanowiska, by się nim zająć. Muszę zostać z drużyną.

W szopę, przed którą ulokował się porucznik, pada pocisk. Ktoś krzyczy. Zdaje się że Płaczek: „Porucznik”. Milknie mi pierwszy karabin. Psiakrew. Przestał się odzywać sierżant piechoty, leżący kilka metrów ode mnie, między mną a pierwszym karabinem. Muszę powziąć jakąś decyzję. Decyduję się wyskoczyć ze stanowiska, doczołgać się do porucznika i zobaczyć co się z nim dzieje. Zdaje mi się, że pierwsza drużyna jest mocno poharatana.

Nie jest łatwe wyskoczyć ze stanowiska. Wali po mnie niemiecki karabin maszynowy, tak że aż kurz idzie z ziemi wątego okopu, za którym się ukrywam. Czekam na jakiś moment przerwy w ogniu niemieckim. Na zacięcie się karabinu lub początek nowej taśmy. Jest. Wyskakuje ze stanowiska i doczołguję się do szopy. Porucznik żyje, ale jest zupełnie ogłuszony. Melduję mu, że ostatni z moich amunicyjnych został zabity, że pierwszy karabin nie działa, że brak mi amunicji. Jestem w fatalnym położeniu, bo stanowisko porucznika jest tak małe, że muszę leżeć koło niego w otwartym polu, bez ochrony.

Otrzymuję od porucznika rozkaz nawiązania łączności z m.p. dowódcy batalionu, złożenia mu raportu o sytuacji na naszym odcinku.

Patrzę na zegarek. Jest w pół do trzeciej. Do skraju lasu mam 100 metrów. A potem, o ile się orientuję co do miejsca postoju dowódcy batalionu, będę musiał jeszcze przebyć jakieś 50 mtr. do zetknięcia się lasu z drogą.

Ruszam. Muszę się czołgać. Odcinek do lasu będzie najgorszy. Strasznie biją z artylerii i z moździerzy. Nareszcie. Dobrze. Wchodzę w las. Gdzie jest do diabła to miejsce dowódcy? W lesie poruszać się trudno. Pociski obrywają gałęzie i łamią drzewa. Oberwane gałęzie, odłamki drzewa biją w twarz. Dochodzę do drogi do styku skraju lasu z drogą. Pytam się żołnierza, okazuje się, zaszedłem do daleko. Tu było miejsce dowódcy pułku. Już go nie ma. Muszę się cofnąć.

Nagle od przodu straszny krzyk. Orientuję się, że idzie nowe natarcie niemieckie, że jakieś kilkadziesiąt metrów ode mnie toczy się walka wręcz. Strzały karabinowe. Niedobrze! Niemcy musieli dojść do naszej linii.

Na drogę wybiega kapitan, znany mi dowódca 1-ej CKM i krzyczy: „Odwrót”.

Niemcy zachodzą nas od lewej strony. Żołnierze z lewego skrzydła opuszczają stanowiska i przebiegają koło mnie. Wycofują się pośpiesznie. Sytuacja jest krytyczna. Rany Boskie, Niemcy przemykają się między drzewami. Wyraźnie nas zachodzą. Zmieniam kierunek i wracam na linię. Biegnę już kłusem. Muszę uprzedzić swoich.

Szczypniewski podrywa się pierwszy. Pomaga mu w dźwiganiu karabinu Michalak. Za sekundę podrywa się Wasik. Co z porucznikiem? Milczy. Zabity. Niemcy idą ławą. Wycofują się na skos za Szczypniewskim Wasikiem. Nie mogę jednak za nimi nadążyć. Coś mi jest w kolanie. Szalony ból. Przewracam się. Przyjmuje mnie przyjemna, miękka trawa. Muszę jednak powstać. Trzeba zebrać wszystkie siły. Przechodzi obok mnie jakaś drużyna strzelecka, wycofującą się w kierunku na drogę. Przyłączam się do niej. Mamy świadomość, że obręcz niemiecka zaciska się koło nas. Więcej, że się zamknęła. Jesteśmy niewątpliwie już odcięci. Musimy się przedrzeć i dołączyć do pułku. Nie mogę zupełnie iść. Co 25 kroków przewracam się.

Nagle na linii odzywają się jeszcze strzały karabinu maszynowego. To nasz Hotchkis. Co to jest? Kto został? Patrzą na zegarek. Już przeszło 4-ta.

Zostali Żyd i kleryk z połamanym karabinem. Żyd, który za zbyt semicki wygląd został przesunięty z naszej Podchorążówki do innej kompanii, kleryk, uczeń Seminarium w Arras, który nigdy nie był w Polsce. Oslaniają nasz odwrót.

Boże, jaki musi być w Tobie czar Polsko, jaki wdzięk, że dziś dla Ciebie, która jesteś już tylko dla nas abstrakcją—nie mamy przecież kawałka własnej ziemi, by złożyć na niej nawet nasze głowy—zostają na straconych stanowiskach nawet wbrew rozkazom Żyd i młody ksiądz. Ksiądz, który Cię nawet nigdy nie widział.

Po chwili strzały milkną. Bije tylko niemiecka artyleria ogniem nekającym w ślad za cofającymi się oddziałami.

Dochodzimy do drogi.

D. C. N.

LIST Z DROGI.
MOSKWA—KUJBYSZEW.

Umowa polsko-sowiecka, o której już tak dużo pisano, była niewątpliwie dla sprawy polskiej momentem przełomowym o doniosłym historycznym znaczeniu. Ona bowiem dopiero, od czasu utraty naszej niepodległości, wstawiła odpowiedzialne czynniki polityczne polskie w sytuację wymagającą wielkiej rozważy i rozumnej decyzji.

Z chwilą podpisania umowy cały ciężar sprawy spoczął na jej realizacji, mającej stanowić zasadnicze realne znaczenie zawartego aktu politycznego. Dlatego też niełatwym był wybór ludzi, którzyby realizację umowy poprowadzili w tym duchu, w jakim była ona zawarta. Tym też tłumaczy się wyjazd do Moskwy jednego z najzdolniejszych polityków naszego Rządu, Ministra prof. Kota.

Konsekwencją nawiązania stosunków dyplomatycznych z Sowietami było wysłanie ekipy ludzi dla tworzenia polskich placówek dyplomatycznych na terenie ZSRR., któreby oprócz pomocy w organizacji tworzenia Wojska Polskiego, zajęły się organizowaniem pomocy dla wywiezionych obywateli polskich. Już podczas podróży do Rosji, każdego niemal wyjeżdżającego dręczyło kilka pytań, na które trudno znaleźć było odpowiedź. Więc przedewszystkiem, jaką zastaniemy sytuację ogólną w Rosji, jaki będzie stosunek władz sowieckich do nas, jakie będą możliwości realizacji umowy, jaki będzie stosunek wywiezionych Polaków do niej i wreszcie jak będziemy przez nich przyjęci.

Pozytywna odpowiedź na te pytania przyszła już po paru tygodniach naszego pobytu w Rosji.

1-go września 1941 r. po wylądowaniu w Archangielsku mieliśmy sposobność zetknąć się z przedstawicielami Sowieckiego Komisarjatu Spraw Zagranicznych, na przyjęciu urządzonym przez nich. Atmosfera była wzajemnie nieśmiała, przypominająca zetknięcie się dwóch zaginionych. Zdziwiło nas trochę, kiedy po wymianie grzecznościowych przemówień powitalnych zakomunikowano nam, że jutro rano odjeżdżamy jachtem na lotnisko, skąd samolotami do Moskwy. Prostu byliśmy nastawieni na kilkudniowy pobyt w Archangielsku, a nawet na ewentualną jazdę zabranami z sobą samochodami Ambasady. Zgodnie z tą zapowiedzią większa część naszej ekipy w drugim dniu, po czterogodzinnym locie nad tajgą, stanęła w Moskwie. Pozostała część miała się zająć transportem sprzętu Ambasady i przywiezionemi równocześnie artykułami pomocy dla Polaków w Rosji.

Po wylądowaniu w Moskwie zostaliśmy przewiezieni do budynku Ambasady Polskiej, w którym, po zerwaniu stosunków dyplomatycznych między Polską a Rosją, i po wyjeździe naszej Ambasady, do czasu wybuchu wojny niemiecko-sowieckiej, mieścił się Attachat wojskowy niemiecki. Na podłogach leżały całe pliki druków, papierów, gazet, wydawnictw niemieckich, żywność, a nawet mapy rosyjskie. Uderzyła nas zbyt wielka ilość szaf i kas ogniotrwałych. Niektóre z nich bardzo okazały o precyzyjnych pomysłowych mechanizmach do zamykania bez pomocy klucza. Jedna z takich kas została nawet po kilku dniach manipulowania otwarta i służyła później doskonale potrzebom naszej Ambasady. Z ilości kas ogniotrwałych oraz z charakteru rozrzuconych druków i papierów możnaby wnioskować, że do czasu wojny sowiecko-niemieckiej w budynku tym mieściła się niemiecka centrala wywiadowcza na Rosję. Z nieładu zaś, jaki zastaliśmy w Ambasadzie należy sądzić, że wyjazdowi Niemców towarzyszył wielki pośpiech.

Pierwsze wrażenia w zetknięciu się z Polakami niedawno wypuszczonymi

z więzień i obozów pracy były przygnębiające. Postacie chude, wymi-
zerowane, twarze blade. Wszyscy jednak, mimo ciężkich przeżyć, pełni
chęci i zapału do pracy, cieszyli się samym kontrastem swego położenia,
że są wolni i że będą mogli wziąć udział w walce o wolność Ojczyzny i
zdążyć ku lepszemu jutru. Ich stan moralny, głęboki idealizm i wiara w
czystość sprawy polskiej, były wprost imponujące. Mimo tak ciężkiej
sytuacji w jakiej znajdują się Polacy w Rosji, należy specjalnie podkreślić
wzruszające objawy głębokiego i wprost niebywałego sentymentu do
wszelkich narodowych odznak, a w szczególności dla munduru żołnierza
polskiego i do Armji Polskiej. Ambicją każdego Polaka było posiadać i
nosić orzełka oraz czerwono-białą wstążkę. Gdzieś w dalekiej Syberji, w
Altajskim Kraju czy Marijskiej Republice, napięcie uczuć patriotycznych
było takie same jak u tych, którzy przejeżdżali przez Moskwę czy później
przez Kujbyszew. Ten gromadzony przez 2 lata potencjał uczuć przy lada
okazji teraz znajdował swoje ujście. Przy odwiedzinach delegatów
Ambasady, Polacy manifestowali swoje przywiązanie do Ojczyzny—Polski
w sposób dotąd niedopuszczalny na zesłaniu, wiwatując na cześć Polski i
jej obecnych władz. Z wielkim zainteresowaniem pytali się o szczegóły
walk naszego wojska, szczególnie lotnictwa, o których aż tam do nich
wieść dotarła. Świadomość, że jest przecież pewna część Narodu, która
ma sposobność pomścić zadawane stale Narodowi Polskiemu krzywdy,
sprawiała im wielką ulgę. Na dalekiej Syberji proste wiejskie dziewczęta
wyhaftowały potajemnie proporczyk z godłem państwem polskiem z
jednej i z wizerunkiem Matki Boskiej i napisami z drugiej strony i wręczyły
go odjeżdżającym do wojska chłopcom aby go zawieźli do wojska i wraz z
nim jaknajszybciej znaleźli się w Wolnej Polsce!

Sądzę właśnie, że najlepszym lekarstwem na nieuleczalnych krytyków
umowy polsko-sowieckiej byłby wyjazd do Rosji. Jestem prawie pewny,
że po kilku zetknięciach się z tamtejszymi Polakami nabraliby przeświad-
czenia, iż zawarcie jej było konieczne.

Praca Ambasady zaczęła się w drugi dzień po przyjeździe ambasadora
Kota. Do tego czasu prawie przez 5 dni wszyscy byli zajęci porząd-
kowaniem Ambasady, przygotowaniem biur i pokoi do spania, załatwieniem
formalności z dokumentami oraz zapoznawaniem się z Moskwą. Należy
zaznaczyć, że właściwie jeżeli ktoś chciał jeść, to do czasu zorganizowania
kuchni w Ambasadzie musiał niemal cały dzień na to poświęcić. Do hoteli
Inturista, gdzie było można otrzymać coś do zjedzenia (zresztą nawet w
niezłym gatunku) było conajmniej 3 kwadranse drogi. Śniadanie trwało
1½ godziny, obiad 2, kolacja zaś conajmniej 2 godziny. Ta urzę-
dująca obsługa w Inturiscie nawet spokojnych i flegmatycznych Anglików
wyprowadzała z równowagi.

Charakter samej Moskwy i jej wewnętrznego życia jest zgoła odmienny
od miast zachodniej Europy. Szerokie asfaltowane ulice i place bez drzew,
brak sklepów i wystaw sklepowych na miarę europejską, specyficzne
budownictwo i architektura wschodnia, w milczeniu chodzący ludzie o
twarzach bladych, lichy ubrani oraz zapach rozpalonych w słońcu asfaltów,
robili wrażenie osobiwe. Ludność rosyjska była niewątpliwie zaskoczona
tą gwałtowną zmianą w stosunku do Niemiec, jednak należy zaznaczyć,
że ta ostatnia zmiana znajduje większe psychologiczne uzasadnienie w
narodzie rosyjskim niż poprzedzająca ją polityka ugodowa, polityka przy-
jazni z Niemcami. Społeczeństwo sowieckie zdawało sobie sprawę, że
wojnę z Niemcami nie łatwo będzie wygrać, a nawet po szeregu miesiącach
niepowodzeń na froncie, ogarnęło ich zwątpienie czy wogóle zwycięstwo
jest możliwe. Szczytem tego był moment zbliżania się Niemców do
stolicy—Moskwy, z którą psychologicznie Rosjanie są związani bardzo
głęboko, uważając ją za najpiękniejsze miasto, w którym życie jest lepsze i
łatwiejsze.

Stosunek ludności sowieckiej do nas przyjezdnych z Anglii był bardzo uproszczony, poprostu uważano nas za Anglików lub Amerykan, bo tylko ci w prostej sowieckiej mentalności mogą być dobrze odżywieni i ubrani. Szczególny kompleks żywią do wszystkiego co jest związane z mianem „Ameryka“. Ameryka w mentalności sowieckiego społeczeństwa jest tym ideałem do którego dążą Sowiety, gdzie takie artykuły jak chleb, cukier i mięso można dostać ile tylko „żołądek zapragnie“, i gdzie wreszcie wszystko robi się przy pomocy maszyn. Dlatego też późniejsze wejście Ameryki do wojny przyczyniło się do wielkiego podniesienia nastrojów. Mówiono bowiem, że skoro Ameryka ze swoim przemysłem jest po ich stronie, to Hitler musi przegrać wojnę.

Nalotów lotniczych do czasu naszego przyjazdu było zaledwie kilka, a szkody wyrządzone niemi prawie niedostrzegalne. Obrona przeciwlotnicza Moskwy jest dobra tak w samolotach, jak i w działach przeciwlotniczych szybkostrzelnych. Podczas całego naszego pobytu w Moskwie było kilkanaście nalotów zupełnie łagodnych, nie dających się porównać z nalotami jesiennymi (1940 r.) na Londyn. Zachowanie się ludności sowieckiej w czasie nalotów nie przypominało też spokoju angielskiego.

W 5 dni po naszym przyjeździe do Moskwy przyjechał ambasador prof. Kot, witany przez władze sowieckie, a następnie w Ambasadzie solą i chlebem przez jedną z wywiezionych Polek. To drugie powitanie było wzruszające—we łzach.

Praca Ambasady, po przyjeździe ambasadora ruszyła z miejsca. Każdy otrzymał swój przydział, a gdy mu zbywała chwila czasu szedł pomagać do działu opieki w czytaniu listów od zesańców, których dziennie przychodziło ponad 500, lub w robieniu kartoteki. Wszyscy przyjezdni z Anglii pracowali co najmniej 12 godzin dziennie, a niektórzy i 16. Ale cóż poprostu nie można było wcześniej kończyć pracy, skoro sam ambasador pracował do 1-ej, a nawet 3-ej w nocy, przyjmując za dnia zwolnionych Polaków, wieczorami konferując w N.K.I.D. i z przedstawicielami innych państw, zaś późnym wieczorem i w nocy przepracowując plan organizacji opieki, reasumując rezultaty całodzienniej pracy i przygotowując plan jutrzejszego działania. Nikt jednak nie czuł się pokrzywdzony, nie żądał dodatkowych wynagrodzeń, ba nawet z otrzymywanych poborów wszyscy pracownicy za przykładem ambasadora zrzekli się 25% (i więcej) ze swoich poborów na cele Opieki Społecznej. Z chwilą zorganizowania kuchni w Ambasadzie, mieszkając równocześnie w Ambasadzie, wielu z pracowników nie miało poprostu czasu na krótką przechadzkę na powietrzu, a niejedokrotnie jedynie raz w tygodniu wychodzilli z budynku Ambasady. Święta i „week-end“ y „pozostały niestety w Anglii.

Z czem też zwracali się wysiedleńcy do Ambasady ?

Otóż jest rzeczą ciekawą, że osobiste próśby o pomoc materialną były stosunkowo rzadkie, pomimo niejednokrotnie krytycznego położenia petentów. Nie było jakichś pretensji lub żądań pod adresem Państwa Polskiego, co zdarzało się w innych ośrodkach emigracyjnych. Najczęściej proszono o wystawienie paszportów polskich, zawiadamiano o miejscu pobytu, wyrażano radość z faktu nawiązania stosunków z Rosją przez władze polskie, a przez to zainteresowanie się ich losem. Niektórzy, mimo ciężkiego losu, prosili jedynie pamięć na czas kiedy Państwo Polskie będzie powstawać, aby i oni mogli powrócić w swoje rodzinne strony. W miarę zwiększania się migracji Polaków z terenów północnych na południe, przychodziły częściej depesze z prośbą o szybką pomoc i wskazówki dla ewakuacji.

W niespełna miesiąc po przyjeździe Ambasady, działało w terenie kilkunastu jej przedstawicieli mimo, iż nie ustalono jeszcze z władzami sowieckimi ani schematu organizacyjnego polskich placówek, ani zakresu ich działania. Dzięki właśnie śmiałej i energicznej działalności Ambasady

cały jej aparat wykonawczy został zmontowany, mimo nieraz bardzo ciężkich warunków, i pracował z powodzeniem, tak, że z chwilą zatwierdzenia organizacji placówek Ambasady przez władze sowieckie, wszystkie prace wstępne w terenie były na ukończeniu, a niektóre placówki pracowały już nawet z pełnym rozmachem.

Zapoczątkowane w Moskwie prace naszej Ambasady zostały przerwane ewakuacją. 16-go października, kiedy Niemcy byli już ok. 60 klm. od Moskwy, władze sowieckie powiadomiły ambasadora Kota, że wieczorem tegoż dnia, na skutek krytycznej sytuacji na froncie, placówki zagraniczne zostaną wywakuowane. O godz. 9-ej wieczór wszyscy powinni być na dworcu kolejowym, gdzie będą załadowani do specjalnego pociągu.

Polacy tym razem wyciągnęli praktyczne wnioski ze swych parokrotnych doświadczeń. Już na trzy dni przed terminem ewakuacji prof. Kot, w porozumieniu z gen. Andersem, i przy jego pomocy, wysłał pewną część personelu i bagaż Ambasady do Buzułuku z transportem wojska polskiego, tak, że jeden dzień wystarczył w zupełności na dokładne spakowanie pozostałych rzeczy i przewiezienie ich na dworzec. Trzeba przytem zaznaczyć, że niektóre działy Ambasady pracowały do ostatniej chwili, tak że dopiero na 15 minut przed określonym czasem stawienia się na dworzec zakończyły swoją pracę. Sam zaś ambasador jeszcze o godz. 19-ej odbywał pożegnalną konferencję z komisarzem Mołotowem.

Ewakuacja ludności cywilnej z Moskwy oraz główniejszych urzędów sowieckich, trwała już ponad tydzień. Jednakowoż dworzec Południowo-Wschodni w Moskwie był przepełniony ludźmi czekającymi od paru dni z zakupionymi biletami na pociąg. Nastroje wprawdzie były nieco podniecone, jednak mimo wszystko istniał dość znaczny porządek. Najtrudniejszym był sam dojazd do dworca kolejowego. Całe treny aut różnego typu posuwały się swolna, tarasując sobie niejednokrotnie drogę. Ludność Moskwy, będąc świadkiem stałych sukcesów niemieckich na innych teatrach wojny, a ostatnio i na froncie sowiecko-niemieckim, traciła wiarę w możliwość obrony stolicy. To też jak wielką musiała być radość i odprężenie, kiedy do tygodnia po naszym wyjeździe nastąpiła zmiana sytuacji. Od szeregu dni, im bardziej pierścień wojsk niemieckich zacieśniał się wokół Moskwy, można było obserwować coraz energiczniejsze przygotowania obronne. Właściwy ruch zaczynał się dopiero po zapadnięciu zmroku. W dzień naogół spokojnie, widywało się jedynie niewielkie oddziały wojskowe, to artylerji polowej, to przeciwlotniczej, to wreszcie piechoty, przejeżdżające w różnych kierunkach. Naogół były to wojska świeże, które nie brały jeszcze udziału w walkach na froncie. W mieście było wielkie zgęszczenie wojska najrozmaitszych broni. W restauracjach prawie wyłącznie znajdowali się wojskowi. Można było tam spotkać wielu młodych oficerów sowieckich, szczególnie z lotnictwa, oddziałów pancernych i technicznych. Dopiero przeważnie wieczorem, zaczynały się formować bardzo długie kolumny aut naładowanych różnemi materjałami i żywnością idące w kierunku frontu. Kolumny te przeplatane były jadącymi uzbrojonymi oddziałami wojska. Ludność z rezygnacją obserwowała te ruchy. Władze sowieckie zaprzęgnęły niemal całą ludność cywilną do przygotowania obrony stolicy. Jedni przygotowywali okopy, inni barykady, a jeszcze inni kopali rowy przeciwlotnicze. Przeważała obawa przed zbliżającym się oblężeniem i ewentualnem widmem głodu.

Jak dotychczasowe obserwacje wskazywały zbliżającemu się frontowi towarzyszyła nie tylko ewakuacja cywilna, ale i wojskowa w postaci wycofujących się rozbitych oddziałów. Tego w Moskwie nie widziało się. Wojsko i dostawy szły stale w kierunku frontu. To nas przekonywało, że walki są naprawdę zacięte i tempo ich jest bardzo wielkie.

Przy odgłosach strzelającej na froncie ciężkiej artylerji, zmęczeni kilkugodzinnym noszeniem bagaży z dworca do pociągu, opuściliśmy o północy

Moskwę załadowani wraz z innymi placówkami dyplomatycznymi do specjalnego pociągu ewakuacyjnego. Wciśnięci prawie do jednego wagonu, ok. 50 ludzi, bagaże Ambasady i prywatne, odbyliśmy 5-cio dniową podróż z Moskwy do Kujbyszewa, żywiąc się w drodze zabranymi z sobą artykułami żywności. Podczas tej podróży nasi przyjaciele Anglicy i inni mieli możliwość się przekonać, że Polacy potrafią nietylko dobrze bić się i ewakuować, ale też i pracować. Na pośpiesznie zaimprovizowanej w wagonie instalacji radiowej Ambasada Polska odbierała komunikaty radiowe, stając się przez to centralą informacyjną dla innych, a nawet nawiązała kontakt radiowy z Londynem i odebrała depeşe. Po przyjeździe do Kujbyszewa Polacy już na drugi dzień byli przy pracy, kiedy inni ponad 2 tygodnie siedzieli na zapakowanych bagażach, narzekając na brak sprzętu dla urzędzenia biur.

Po drodze spotykaliśmy jadących do wojska lub ewakuujących się w okolice Taszkientu Polaków, którzy na nasz widok wybuchali wielką radością. Robiło to wrażenie jak gdyby ci tułacze w swoich dotąd beznadziejnych podróżach otrzymali wreszcie pilota, który doprowadzi ich do spokojnej przystani. Ludzie ci opowiadali o swoich przeżyciach tak jak gdyby to co przeżyli było małym fragmentem, fragmentem wprawdzie bardzo przykrym i niejednokrotnie nawet tragicznym, poprzez który spojrzeńie wstecz, czy też daleką przyszłość nabiera innych kolorów.

Nowe pomieszczenie Ambasady stanowił mały jednopiętrowy domek z 5-ma stolikami, kilkunastoma starymi krzesłami, tyłomaż siennikami i łózkami. Faktycznie wypadło na każdego $\frac{1}{4}$ pojedynczego łóżka. Przywiezione z Londynu walizki zastąpiły świetnie biurka. Nastroj mimo wszystko był bardzo dobry. Nikt nie mógł się czuć dotknięty, bo wszyscy, począwszy od ambasadora, byli prawie w identycznych warunkach. Humor i zapał do pracy, a później nawet i insekty, miał każdy bez względu na stopień służbowy.

Charakter pracy Ambasady w Kujbyszewie uległ nieco zmianie. Kujbyszew jest punktem, przez który przechodzą drogi kołowe, koleje i drogi wodne (Wołga). Jadący z północnych terenów Polacy, przejeżdżając grupami, po przybyciu do Kujbyszewa, byli przeladowywani i transportami kolejowymi wysyłani na południe do południowych republik Turkmeńskich. Moskwa, ze względu na restrykcje, była w zasadzie dostępna jedynie dla niektórych specjalnie wzywanych przez Ambasadę, natomiast w Kujbyszewie zetknęliśmy się z całą falą rodaków jadących z północy. W pół godziny po przyjeździe Ambasady do Kujbyszewa, ambasador Kot odwiedzał osobiście transporty Polaków. Towarzyszyły temu ogromnie wzruszające sceny. Na sam widok ambasadora cały niemal transport płakał. Ludzie wprost zapominali o co mają prosić, czem mają się podzielić ze swoim opiekunem, przedstawicielem Państwa Polskiego i Polski Walczącej. Po odwiedzinach transport wysiedleńców zaopatrzony materialnie i pokrzepiony duchowo wyjeżdżał dalej z wiarą w Polskę, która nie zapomina o swoich obywatelach, spiesząc im z pomocą właśnie w tych chwilach kiedy jej najbardziej potrzebują. Przecież jakże często zdarzały się wypadki, że ludzie z transportu od tygodnia nie mieli w ustach chleba i ciepłej strawy. W Kujbyszewie do licznych czynności ambasadora i jego pomocników przybył więc obowiązek przychodzenia bezpośrednio z pomocą i pokrzepieniem duchowym dla tych, którzy mieli szczęście przejeżdżać przez Kujbyszew. Określam to szczęściem, bo przecież na innych punktach nie było lepiej, a nie było możliwości zaradzenia temu. W ogromnym morzu potrzeb wszelka pomoc wydawała się być za małą, a przecież ta, która istniała, choć o tak ograniczonych możliwościach, zdołała niejednemu obywatelowi polskiemu uratować życie. Stałe zwiększanie pomocy, szczególnie materialnej, utworzy widoki przetrwania dla wielu tysięcy wysiedleńców. Wobec stałego pogarszania się sytuacji żywnościowej

w Rosji, szczególnie cenną jest pomoc w materiałach i żywności przesyłana przez Rząd Polski, amerykańską Polonję i inne organizacje.

Warunki pracy Ambasady, pomoc przez nią udzielana, oraz właściwy szczerzy i bezpośredni stosunek ambasadora tak do swoich współpracowników, jak i do każdego Polaka, stwarzały dobrą atmosferę w pracy wewnętrznej i zewnętrznej Ambasady. To nieformalistyczne, ale rzeczowe podejście ambasadora i jego pomocników do zagadnień organizacyjnych oraz życia codziennego stwarzały możliwość właściwej realizacji umowy polsko-sowieckiej, co jest conajmniej tak ważne, jak sam fakt jej zawarcia.

Niewątpliwie wielkiem ułatwieniem w realizacji umowy jest fakt, że ambasadorem został człowiek, którego nazwisko było znane w Polsce nie tylko w sferach naukowych, co ma w Rosji swoją wymowę, ale też i w szerokich masach społeczeństwa polskiego, gdyż jest ono związane z wielkim ruchem politycznym. Ma to swoje znaczenie tak wobec władz sowieckich, jak i wśród wywiezionych obywateli polskich na terenie ZSRR.

Wyniki pracy osiągnięte przez Ambasadę Polską w Kujbyszewie, wzięwszy pod uwagę teren, środki i możliwości działania, przez każdego, a w szczególności przez tych, którzy kiedykolwiek zetknęli się z Rosją sowiecką, jej przestrzenią i znają charakter pracy obcych placówek muszą być uznane, conajmniej, za dobre. Można jedynie sobie życzyć, aby były one z tą samą energią i rozmachem prowadzone w dalszym ciągu.

Teheran, w czerwcu 1942.

MARJAN HEMAR

CUD BIEDNYCH LUDZI SZTUKA W PIĘCIU OBRAZACH

OBRAZ 4.

(Sala widzeń w areszcie śledczym. Stół i kilka drewnianych krzesel, oto całe umeblowanie. Po prawej w głębi drzwi. Z podniesieniem kurtyny sala przez chwilę pusta. Potem zgrzyt klucza w zamku—wchodzi Ksiądz Dobraniecki, za nim Strażnik więzienny).

STRAŻNIK Tu, proszę bliżej—proszę księdza—

KSIĄDZ (rozgląda się) Dziękuję—

STRAŻNIK Proszę, może ksiądz usiądzie—(patrzy na zegarek)—trzeba jeszcze kilka minut poczekać—ksiądz przyszedł trochę zawcześniej—

KSIĄDZ (siada) Śpieszyłem się.

STRAŻNIK Nie, nic nie szkodzi—tylko, że ja muszę trzymać się godziny. (Patrzy na zegarek). O czwartej, to o czwartej.

KSIĄDZ Naturalnie . . . rygor musi być. . .

STRAŻNIK U nas, proszę księdza, pod pewnymi względami, nawet większy rygor, niż w więzieniu. Bo to, dopóki śledztwo trwa—ani wizyt żadnych—skąd!—ani listów—tyle, że wikt można mieć z miasta—(patrzy na zegarek)—ale on właściwie już po śledztwie. (Milczenie). To jakiś dziwny człowiek jest, proszę księdza my tu wszyscy z nim, jakby powiedzieć—delikatnie —

KSIĄDZ To dobrze.

STRAŻNIK Tak sobie myślę, że on mógłby za świętego człowieka uchodzić—gdyby to inne czasy były. . .

KSIĄDZ Jakie ?

STRAŻNIK Bo ja wiem ? Dawniejsze jakieś X . . . Dzisiaj w życiu to tak : za mało wiary a za duża kontrola. (Chwila milczenia). Dzisiaj, prawda, weźmy radio—taki wynalazek . . . weźmy kino—ktoby pomyślał ?—

weźmy te samochody, aeroplany, maszyny różne—wszędzie takie wyliczenie, sprawdzenie, właśnie—kontrola. Miejsca niema na to, żeby takiemu człowiekowi uwierzyć. (Patrzy na zegarek). Teraz będzie w sam raz. To ja pójdę po niego.

KSIĄDZ Nasza rozmowa nie potrwa długo.

STRAŻNIK Mnie wszystko jedno. Ja tam będę chodził pod drzwiami. A jak czas na widzenie się skończy, to ksiądz z łaski swojej zauważy, że ja zapukam.

KSIĄDZ (wstaje) Dobrze.

STRAŻNIK No, zaraz go tu dostawię. (Wychodzi).

(Ksiądz czeka przez kilka chwil nieruchomo—słysząc szum deszczu i widąc na szybach w oknie kręte krople wody. Ksiądz składa ręce, jak do modlitwy i opiera czoło na rękach. Potem wstaje, podchodzi do okna, patrzy—słysząc kroki na kurytarzu—strażnik otwiera drzwi)

STRAŻNIK Chodź pan—

BYLEJAK (wchodzi, staje w progu, patrzy na księdza).

STRAŻNIK (popycha go z lekka) Gościa pan ma—no, to ja nie przeszkadzam. (Zamyka drzwi za sobą).

BYLEJAK (patrzy pod światło—podchodzi o krok).

KSIĄDZ Mój synu. . . .

BYLEJAK Ksiądz proboszcz—? Sam? Ksiądz sam—do mnie?

KSIĄDZ Bardzo chciałem pana odwiedzić—(wyciąga doń rękę).

BYLEJAK Dziękuję, dziękuję—(całuje księdza w rękę).

KSIĄDZ (gładzi go drugą ręką po głowie) Drogi panie—drogi chłopcze—

BYLEJAK Ksiądz mówi tak do mnie—? Takimi słowami? (hamuje łzy).

KSIĄDZ Spokojnie, spokojnie—zaraz—usiądnijmy tu sobie—(Bylejak ociera łzy wierzchem dłoni)—czekaj—no—nie masz moje dziecko chustki?—

BYLEJAK Nie mam. Na co mi chustka? Ja tak tylko—ze wzruszenia—

KSIĄDZ (siada tyłem do okna i sadowi Bylejaka naprzeciw siebie) Wszystko jedno, a oczy lepiej wytrzeć—(wyjmuje chustkę i podaje mu)—masz—śmiało—no, pokaż się, jak wyglądasz?

BYLEJAK (wyciera oczy, potem zwraca mu chustkę, z zażenowaniem) Dziękuję—(Ksiądz chowa chustkę)—

KSIĄDZ Próbuję przypomnieć sobie twoją twarz—

BYLEJAK Ksiądz dobrodziej widywał mnie w kościele?

KSIĄDZ Nie z bliska. . . a wzrok mam słaby—(wyjmuje i nakłada okulary, patrzy na Bylejaka uważnie)—zresztą—tyle twarzy ludzkich przesunęło mi się już przed oczyma—w tyle oczu ludzkich już patrzyłem—w pewnych chwilach wszystkie robią się podobne—

BYLEJAK Ja, księdza dobrodzieja, naturalnie, znam—z widzenia—i na kazania chodziłem—

KSIĄDZ Będzie nam łatwiej znaleźć do siebie drogę.

BYLEJAK Ksiądz taki mi zaszczyt dzisiaj wyrządził—nigdy w życiu nie zapomnę—

KSIĄDZ Jak się czujesz, moje dziecko?

BYLEJAK Jabym się dobrze czuł—tylko ciągle myślę, co się z Tereską dzieje?—to moja żona—

KSIĄDZ Wiem, wiem.

BYLEJAK Czy ona już naprawdę zdrowa? Już na stałe?

KSIĄDZ (uśmiecha się) Zdrowa!

BYLEJAK Ksiądz ją poznał? Ksiądz ją widział? Mówił ksiądz z nią?

KSIĄDZ Wiem o niej wszystko. Bądź spokojny.

BYLEJAK Była tu u mnie, tutaj—tu siedziała—jeden raz pozwolono

jej przyjść—przyszła z matką—dzisiaj dwadzieścia dwa dni temu—ale sędzia śledczy był cały czas przy rozmowie. Właściwie żadnej rozmowy nie było—kiedym tu wszedł i zobaczyłem, że siedzi—i wstała i szła do mnie—sama, na własnych nóżkach—zaraz ja zacząłem płakać—i, naturalnie, ona i matka—potem ona się śmiała do mnie i ja się śmiałem—i zaraz trzeba się było żegnać. Dopiero, kiedy wyszła, przypomniałem sobie, ile rzeczy trzeba się było spytać—ile trzeba było powiedzieć! Potem, każdego dnia, każdej nocy tutaj—nic, tylko obmyślam, co jej powiem, kiedy się zobaczymy, kiedy wrócę—kiedy ja wrócę? Proszę księdza—!

KSIĄDZ Mój synu, twoja żona jest zdrowa. Wiem, że nią teraz opiekują lekarze troskliwie i bardzo chętnie—

BYLEJAK Jakto? Skoro już zdrowa?

KSIĄDZ Jest jeszcze rekonwalescentką. Jeszcze nie mogła odzyskać wszystkich sił—musi na siebie uważać, nie przemęczać się, nie wzruszać—pomyśl sam, po tak długiej, tak ciężkiej chorobie!

BYLEJAK Przecież ja nic innego nie myślę. Boże, Boże—ile to było rozpacz, ile zgrzyoty, ile razy szło mi przez głowę, żeby już skrócić jej męki—i potem swoje—

KSIĄDZ To były grzeszne myśli—

BYLEJAK Do śmierci nie przestanę żałować! Ilekroć zamykam oczy widzę (zamyka oczy, mówi w uniesieniu)—widzę ją, jak leży—tam w kącie, błada, bledziutka, bezwładna, tylko te oczy niebieskie patrzą na mnie—bez blasku—cały dzień mogła tak patrzeć na mnie—tak wodzić za mną oczyma, jak stworzenie chore, jak pies co nawet poskarżyć się nie umie, ani powiedzieć—tylko pomocy czeka—przed tym spojrzeniem uciekałem z domu—i święty obraz patrzył na mnie w kościele tymi oczami—i wracałem do tego spojrzenia.—Potem już nie trzeba mi było mówić do niej, ani pytać o nic—oczyma z sobą mówiliśmy—i potem, nagle, widzę, w tej chwili widzę—ten tłum dokoła mnie i policja—Mówię jej: bądź zdrowa Tereska—a ona wstaje!! Wstaje i idzie do mnie—(chwytając się za głowę)—do końca życia nie zapomnę! Do ostatniego tchnienia! Żeby mnie teraz najgorsze miało spotkać—co mi tam!—ja już swoje największe przeżyłem, najpiękniejsze, jedyne—jak gdyby niebo pękło nademną i wylała się łaska boska—co mi teraz w życiu może zagrozić? Czego mógłbym się bać?

KSIĄDZ Nie bluźnij.

BYLEJAK Boże miłosierny—ja nie bluźnię! Ja tak właśnie swoją wdzięczność odczuwam—jak umiem. (chwila milczenia) (Po chwili). Jakie to szczęście, że ksiądz przyszedł do mnie—(wstaje, całuje księdza w rękę).

KSIĄDZ No, no—

BYLEJAK W samotności tyle się zbiera w człowieku—tyle słów—to taka ulga, móc znowu mówić—taka ulga, kiedy ktoś znowu słucha—

KSIĄDZ Mów, mój synu—chcę ci przynieść ulgę.

BYLEJAK Najgorsze są te noce—kiedy nie można spać—i trzeba myśleć, ciągle o tem—ciągle o tem jednym—a niewiadomo jak—niewiadomo którądy. Czasem coś się człowiekowi śniło, i człowiek dokładnie wie, wie co, a nie może sobie przypomnieć. Tak się to wymyka, jak gdyby w myśleniu były jakieś szpary—tak samo ze mną—wiedziałem—i nie rozumiem. Sam przeżyłem—i nie wiem. I teraz ani mi przestać myśleć, ani się z tem uporać. (Chwila milczenia). Żebym ja tam był z nimi, to bym może czasu nie miał na tyle myślenia. Już bym się o Tereskę troszczył—teraz jej trzeba pilnować—wszyscy mówią, że jak kobieta dziecko ma, to odrazu robi się zdrowsza i mocniejsza w sobie—Boże, Boże . . . i taką tęsknotę mam teraz do roboty, jak jeszcze nigdy. Przedtem myślałem zawsze, że robota, to znaczy—żeby zarobić pieniądze. Owszem, swoje, naturalnie, zrobić dobrze, fachowo—ale dla pieniędzy. Teraz bym cały dzień stał

przy warsztacie, właśnie dla samej pracy, dla samego zajęcia, dla samej uwagi.—Żeby mi każda śrubka pasowała, żeby każda muterkę dokładnie przykręcić, żeby każdy opór wymierzyć i każdy zwój ułożyć—żeby wyjść z tego myślenia, żeby znowu wiedzieć co robię i jak i dlaczego. . . .

KSIĄDZ To mądrze, to bardzo mądrze.

BYLEJAK (z ożywieniem) Matka mi wspomniała, naturalnie pokrótce, że teraz pracę znajde, jaką zechcę—że się pytają o mnie, nawet obcy ludzie —z jakiejś redakcji chcą pomóc—(zrywa się chodzi)—kiedy ja już stąd wyjdę? Czemu mnie tak długo trzymają? Czemu mnie trzymają—przecież muszą mi uwierzyć. Przecież i tak mi uwierzą! Proszę księdza!

KSIĄDZ Co?

BYLEJAK Przecież muszą mi uwierzyć?

KSIĄDZ Widzisz, mój synu—to wcale nie jest najważniejsze.

BYLEJAK Jakto?

KSIĄDZ Czekaj—wiesz—tacy ludzie, jak sędziowie—ludzie, prawda, świeccy—i już z natury swego zawodu, i swego doświadczenia—raczej nieufni—mogą mieć różne poglądy na takie wydarzenie . . . rozumiesz przecie?—trudno żądać, aby wszyscy patrzali tak samo na pewne rzeczy—

BYLEJAK Proszę księdza—ksiądz już coś wie? Ksiądz chce mnie przygotować?—

KSIĄDZ (poważnie) Musisz mi ufać, mój chłopcze. Nie nie wiem i nawet nic nie przewiduję. Czekam na ich wyrok, tak jak ty. Z taką samą nadzieją. Sam chcę się tylko ciebie zapytać: Czy to nie najważniejsze, że ty—że ty wierzysz sobie, i wiesz?

BYLEJAK Nie. (Zdenerwowany). Nie. Ja tu nie jestem ważny. Ale gdyby mi nie uwierzyli—ja nie wiem—jabym już żyć nie chciał. Tylko—bym plunął na wszystko.

KSIĄDZ (wstaje, surowo) A gdzie twoja wdzięczność? A gdzie twoja pokora? A czemżeś ty sobie zasłużył na tę łaskę nieba? I czem mógłbyś lepiej, i piękniej za nią zapłacić, jeśli nie ofiarą z krzywdy swojej —(łagodząco)—gdyby cię miała spotkać . . . ?

BYLEJAK Nie, proszę księdza. Niech się ksiądz na mnie nie gniewa, ale to nie jest tak. Toby nie moja była krzywda. (Z rosnącym zdenerwowaniem). Ja już to dokładnie wszystko pomyślałem. Sam powiedziałem księdzu przedtem, że nic mi teraz w życiu nie groźne, nic mi nie straszne, gdybym miał swoim kalectwem zapłacić za ten cud, za ten cud, albo swoją nędzą do końca życia—ksiądz mi powiedział, że ja bluźnię—a ja właśnie mówiłem o tej ofierze. Ale jeżeli mnie sąd nie uwierzy—ja tu nie ustąpię,—trupem padnę, a nie ustąpię. Krzyczeń będę, chociaż samotny, aż mi krew pójdzie ustami, kęsa strawy więziennej do ust nie wezmę—sam się głodem zamorzę—w obronie. Bo tu nie moja krzywda by była—ale Jej.

KSIĄDZ Twojej żony?

BYLEJAK (fanatycznie) Nie. Świętej. Ona mnie uśmiech jasny z obrazu podała. Do mnie, marnego, rękę wyciągnęła, I perły z szyi zdjęła. To ja wiem. Ja, jeden na całym świecie. Teraz ja tu jestem jeden jedyny, aby za Nią świadczyć. Za Jej mocą cudowną. Za Jej dobrocią niebieską. I ja nie ustąpię. (Zakrywa twarz ręką, po chwili ciężko opuszcza się na krzesło). Chociażbym chciał—jużby mi nie było wolno.

(Długa chwila ciszy. Słychać tylko szum deszczu).

KSIĄDZ Zważ—jaka pycha mówi przez ciebie—

BYLEJAK (smutnie) Proszę księdza—ja nie mówię, że mnie ten cud wywyższył. On mnie tylko oczy otworzył—na jakąś ciemność dziwną—na jakiś mrok dokoła życia. Ja dopiero teraz widzę, jakie było moje życie przedtem—i życie Tereski—i jej matki i siostry, jej męża i naszych sąsiadów i wszystkich ludzi, wszystkich ludzi—jakie marne, jakie zwyczajne, jakie psie—et, gonitwa. Gonitwa od rana do nocy, od pierwszego do pierw-

szego, gonitwa, żeby zdążyć, żeby zarobić, żeby zjeść i ubrać się żeby się z kimś przespać, żeby się zabawić i żeby w łóżku umrzeć. I dowiedziałem się, że to nie może być wszystko—że to może być najmniej. I gdybym ja teraz powiedział sobie—co mnie po innych? Czy mi uwierzą, czy nie—ja już wiem swoje. Ja już łaski zaznałem—i czy mi uwierzą, czy nie—już mi tego nikt nie odbierze. To już moje. Gdybym ja tak powiedział—to by była moja pycha. Ale ja mam teraz obowiązek. Mój obowiązek—żeby mi uwierzyli. Inaczej co mi po nich? Co mi Teresce—czy ona tak zmarnieje, czy owak, czy w zdrowiu, czy w chorobie, co mi po jej matce—czy głodna umrze, czy syta—mój obowiązek, żeby uwierzyli w ten cud. Żeby oczy ludziom otworzyć. Żeby uwierzyli wszyscy.

KSIĄDZ Chłopcze—

BYLEJAK (fanatycznie, agresywnie) A czy ksiądz mi wierzy?

KSIĄDZ Ja wierzę tobie.

BYLEJAK Ksiądz wierzy w ten cud?

KSIĄDZ (po chwili) Wierzę, że uśmiech na twarzy Świętej był uśmiechem twojej tęsknoty. Wierzę, że wyciągnęła do ciebie swoją własną rękę.

BYLEJAK Co?

KSIĄDZ Że słowa, które do ciebie mówiła, były słowami twojego pragnienia.

BYLEJAK (krzyczy) Nie. Nie. Ja byłem wtedy przytomny. I zdrów. Ja nie wiedziałem nic o tych perłach. Nie wiem, czy o nich wiedziałem. Powiedziała do mnie twarz w twarz—tak jak ja teraz mówię do księdza—(dziko, półprzytomnie)—weź te perły—mnie ich nie trzeba—weź—to warte dużo—Może dziesięć tysięcy—może sto—

KSIĄDZ Zamilcz.

BYLEJAK Ja nie zamilczę. Moje prawo krzyczeć. (Zakrywa twarz dłońmi).

KSIĄDZ (zdenerwowany bardzo i zmieszany) Mój synu—posłuchaj mnie—czekaj, usiądź tu spokojnie—i posłuchaj mnie. Ja ci coś powiem—musisz mi przebaczyć—

BYLEJAK Proszę księdza—?

KSIĄDZ Czekaj. (Chwila ciszy, walczy ze sobą). Te perły— — — były— — — fałszywe.

BYLEJAK (nie zrozumiał, mruga oczyma, po chwili, bezgłośnie) Co?

KSIĄDZ Muszę ci to powiedzieć. Przebacz mi. Te perły nic nie były warte.

BYLEJAK (z rozpaczą w głosie) To nieprawda.

KSIĄDZ (po chwili) Już dawno temu—podczas wojny—przyszła do mnie pewna kobieta i złożyła sznur pereł swojej świętej imiennicze, Teresie. Mówiła wtedy, że perły przynoszą łzy. A nie chce łez, chce by mąż jej wrócił z wojny cało. Potem, widziałem ją kiedyś—modliła się przed tym obrazem—w żalobie. Nie spytałem jej już—o męża. To było dawno. A parę lat temu, czasu wielkiej nędzy i kryzysu—wziąłem to, nieprzyjęte przez Świętą, votum—i zaniósłem w tajemnicy do złotnika. Ja też myślałem, że to warte—może dziesięć tysięcy? Może sto? Dostałem mniej, niżlim się spodziewałem. Mniej, niż półtora tysiąca. (Rzuca okiem na Bylejaka, który milczy, bez ruchu). Ale otarłem wiele łez tymi pieniędzmi, nakarmiłem wiele głodnych dzieci, może kilku starym ludziom śmierć uczyniłem łżejszą, i może trochę wyplenilem zwątpienia i goryczy i niewiary w miłosierdzie boskie. I myślę, że Bóg mi wybaczy ten grzech, który wziąłem na swoje sumienie. A u złotnika dostałem sznurek pereł, podobny do tamtego, podrobiony—liche i sztuczne perelki—perelki łez dziecięcych, perelki pociechy ludzkiej—i zawiesiłem je na świętym obrazie.

BYLEJAK (oczy ma przymknięte, półprzytomny) To znaczy—(milknie).

KSIĄDZ Jakże ci mogłem, mój drogi chłopcze, nie powiedzieć o tem ?
Czy mogłem czekać—aż dowiesz się—przed sądem ?

BYLEJAK To znaczy—że ja—ukradłem. (Zrywa się, chodzi po izbie). Tak—tak—nie może być inaczej.

KSIĄDZ (cicho) Opamiętaj się.

BYLEJAK Nie wiem jak—nie wiem—ale nie mogło być inaczej. Bo inaczej—to by mnie oszukała ? Boże miłosierny—(chodzi jak błędny).

KSIĄDZ Opamiętaj się chłopcze.

BYLEJAK Nie, nie—proszę księdza—ja jestem spokojny. Tylko sam muszę zrozumieć—jasno muszę sobie wytłumaczyć—to znaczy, że ukradłem. Przecież nie mogła—przecież nie wolno mi—(nagle podbiega blisko do księdza, chwyta go za rękę)—proszę księdza—(jakby rozglądając się, czy nikt nie słyszy, pół szeptem)—czy oni już wiedzą ?

KSIĄDZ Kto ?

BYLEJAK Sąd. Czy oni wiedzą, że perły fałszywe ?

KSIĄDZ Mnie o to nie pytano.

BYLEJAK A gdzie one teraz ? U kogo ?

KSIĄDZ Wiszą na swoim miejscu. Poświęcone. Ale jeśli mnie pytają ?—

BYLEJAK Nie, nie. Proszę księdza. (Chodzi znowu w najwyższym wzburzeniu). Ukradłem, Ukradłem. Musiało mi się zdawać—jakżeż —na jakie pośmiewisko to by Ją wydało! . . . Ukradłem. (Ksiądz kryje twarz w dłoniach). Teraz tylko spokojnie—tylko jasno pomyśleć. Kiedy człowiek jest już na tropie, to sobie wszystko przypomni.

KSIĄDZ Będę się modlił codziennie o spokój twojej myśli i twojego sumienia.

BYLEJAK (jakby z daleka) Dziękuję—dziękuję—proszę księdza—niech mi ksiądz przyrzeknie—że ksiądz się zajmie Tereską.

KSIĄDZ Przyrzekam ci.

BYLEJAK Ja już teraz nie będę mógł o niej pamiętać—tylko cały muszę myśleć o tamtem—a jakby zapytali z sądu ? Nie, nie—to już teraz nie szkodzi—to już co innego—(pukanie do drzwi).

KSIĄDZ To już na nas.

BYLEJAK (nie słysząc). Niech ja tylko wiem, że ksiądz się Tereską zaopiekuje—

STRAŻNIK (wchodzi, staje w progu).

KSIĄDZ Mój synu—przebac mi. (Strażnik patrzy zdziwiony).

BYLEJAK Dziękuję księdzu. Dziękuję. Dziękuję. (Chodzi po pokoju).

STRAŻNIK (chrząka, daje znak Bylejakowi, który nań patrzy jak błędny) No—chodźcie już.

KSIĄDZ (wyciąga obie ręce do Bylejaka—który podbiega i całuje księdza w rękę).

KSIĄDZ (Obejmuje go, przyciska jego głowę, do piersi, mówi mu cicho do ucha) Przebaczysz mi ?

BYLEJAK (cicho) Ja księdzu będę wdzięczny do śmierci. Niech ksiądz mnie przebaczy—w Jej imieniu. (Chwila ciszy). No, już trzeba iść. (Idzie zwolna w stronę drzwi).

KSIĄDZ Bądź zdrow, mój wierny chłopcze.

BYLEJAK Dowidzenia, proszę księdza.

(Strażnik salutuje Księdzu—wychodzą).

KSIĄDZ (Stoi chwilę bez ruchu, widocznie w oczach zakręciły mu się łyzy, bo wyjmując z kieszeni chustkę—tę samą, którą pożyczył Bylejakowi—patrzy na nią—przyciska ją do serca. Słychać głośniejszy szum deszczu za oknem.)

KURTYNA

KONIEC OBRAZU CZWARTEGO

OBRAZ 5.

Scena przedstawia salę sądową, ostatniego dnia rozprawy, w procesie Józefa Bylejaka. Sala sądu widziana nieco od lewej strony Przewodniczącego. Przewodniczący za stołem, nad nim na ścianie wielki krucyfiks. Prokurator, Bylejak za nim Postępowy, obrońca, Protokulant, Woźny sądowy—wszyscy na swoich miejscach. Od frontu na prawo widoczne pierwsze ławki publiczności—wśród nich Grzegorzowa, Tereska, Anna, Michał, Sąsiadki, Sąsiedzi, Dozorczyńni, Lekarz, dr. Okólski, ksiądz Dobraniecki, publiczność.

PRZEWODNICZĄCY Świadek, pan doktor Szulc.

(Woźny wprowadza Lekarza).

(Lekarz staje z ukłonem przed katedrą trybunału).

PRZEWODNICZĄCY Pan doktor Szulc ?

LEKARZ Szulc Seweryn.

PRZEWODNICZĄCY Wiek ?

LEKARZ 30 lat.

PRZEWODNICZĄCY Wyznanie ?

LEKARZ Ewangelik.

PRZEWODNICZĄCY Pan jest doktorem medycyny ?

LEKARZ Tak. Choroby wewnętrzne.

PRZEWODNICZĄCY Pan doktor pracuje stale w Szpitalu Czerwonego Krzyża ?

LEKARZ Tak jest.

PRZEWODNICZĄCY Czy pan odbywa pozaatem praktykę prywatną ?

LEKARZ Tak—t.zn.—staram się. W godzinach popołudniowych.

PRZEWODNICZĄCY Pan nie pozostaje w żadnym stosunku pokrewieństwa z oskarżonym ?

LEKARZ W żadnym.

PRZEWODNICZĄCY Pan doktor zajmował się leczeniem Teresy Bylejakowej, w czasie jej choroby ?

LEKARZ Proszę wysokiego sądu—toby może wyrażało zbyt wiele . . . Mieszkam w tej samej kamienicy i doglądałem chorej od czasu do czasu po sąsiedzku . . . w wolnych chwilach—nie możnaby jednak nazwać tego leczeniem—właściwa kuracja powinna byłaby odbywać się znacznie intensywniej . . . t.zn. posługiwać się całym szeregiem zabiegów, na które brakło środków—więc moja rola była, niestety, skromna.

PRZEWODNICZĄCY Tak. Ze względu na to jednak, że pan doktor obserwował stan chorej—w jakim okresie czasu ?

LEKARZ Widziałem ją pierwszy raz w miesiąc po zaśląbnięciu—więc luty, marzec, kwiecień—mniej więcej w ciągu trzech miesięcy.

PRZEWODNICZĄCY Otóż ze względu na pewną ciągłość pańskiej lekarskiej kontroli, czy obserwacji—chciałbym poprosić pana o jego pogląd na tę chorobę.

LEKARZ Chorobą Teresy Bylejak był paraliż lewej części ciała. Według relacji domowników porażenie wystąpiło nagle i niespodzianie. Objęło ono odrazu lewe kończyny, lewą stronę twarzy, język. . . . Relacja ta jest zupełnie prawdopodobna. Nie miałem możliwości rozpoznania dokładnej formy tego porażenia—moim zdaniem miałem przed sobą formę porażenia na tle czynnościowym—t.j.—formę histeryczną. Zaznaczyć należy, że przyczyny tego rodzaju paraliżu, nie są następstwem chorobowych zmian w systemie nerwowym obwodowym, lub centralnym—pewne, niezbyt poważne zmiany mogą zresztą nawet i ustąpić, a niedowład pozostaje, jako następstwo psychiczne. Tak, że w teorii, porażenie może potem równie nagle i odrazu zniknąć. Bądź to z powodu nagłego szoku nerwowego, bądź to na skutek odpowiedniej terapii, w której główną rolę gra zdobycie zaufania pacjenta przez lekarza, wzgl. pewnej psychicznej władzy lekarza nad pacjentem. To umożliwi stosowanie sugestii—poparte naturalnie

zabiegami technicznymi—jako to masaże, elektryzacja, diatermia, gimnastyka i tym podobne.

PRZEWODNICZĄCY Czy nagle wyzdrowienie Teresy Bylejak wytłumaczyłby pan doktor silnym wstrząsem nerwowym, po ujrzeniu perł z obrazu świętej Teresy ?

LEKARZ Tak jest. Był to właśnie wypadek wyleczenia przez auto-sugestię. Chora uwierzyła, że nastąpił cud, który ją musi przywrócić do zdrowia—i to pozwoliło jej odzyskać władzę w porażonych członkach.

PRZEWODNICZĄCY Czy, według mniemania pana doktora, także i w innym przypadku byłyby chora wyzdrowiała ? T.zn.—w wyniku kuracji, albo na skutek innego jakiegoś wzruszenia ?

LEKARZ Teoretycznie jest to możliwe—ale w praktyce trudnoby się było liczyć z taką ewentualnością. . . . To są przypadki bardzo rzadkie. Choroba mogła trwać przez całe życie i nie ustępować najintensywniejszym staraniom i najsilniejszym wzruszeniom. . . . Tym też tłumaczę odstąpienie lekarzy z Ubezpieczalni od łoża chorej. . . . (Po chwili). W takim przypadku nie chodzi o zewnętrzną intensywność zdarzenia, ale o intensywność, z jaką chory zdarzenie przyjmuje—z jaką je odczuwa. . . .

PRZEWODNICZĄCY Tak.

PROKURATOR Czy dopuszcza pan doktor możliwość symulacji ?

LEKARZ Neguję ją z całą stanowczością. (Z uśmiechem). Przyznam się nawet, że w pierwszej chwili—bo ja byłem właśnie świadkiem tego ozdrowienia—otóż—sam byłem niesłychanie poruszony tym wypadkiem—nie daleki byłem od uwierzenia w cud—może pod wpływem ogólnego nastroju—

PRZEWODNICZĄCY Tak. . . . Czy strony mają jeszcze jakie pytania pod adresem świadka ?

OBRONCA Czy pan doktor przypomina sobie, że krytycznego dnia zaproponował oskarżonemu wykonanie pewnej pracy u siebie, w mieszkaniu ?

LEKARZ Tak—przypominam sobie. Prosiłem go, aby pod wieczór wstąpił do mnie i naprawił mi szwankujący aparat radiowy.

OBRONCA Pod wieczór—to znaczy kiedy ?

LEKARZ Miało to być około siódmej. Pan Bylejak jest bardzo zręcznym rzemieślnikiem. . . .

OBRONCA Dziękuję. To wszystko.

PRZEWODNICZĄCY Tak. Dziękuję. (Zwalnia świadka ruchem ręki).

(Lekarz cofa się w rzędy publiczności i siada).

PRZEWODNICZĄCY (po chwili bierze w rękę małą latarkę elektryczną leżącą przez nim na stole). Czy ta latarka jest własnością oskarżonego ?

BYLEJAK (podnosi się w ławce, jest jak gdyby pół przytomny, odpowiada rzeczowo, ale myślami gdzieś indziej) Latarka ? Tak jest. To moja.

PRZEWODNICZĄCY Znalaziono ją w kościele, przed obrazem świętej. Teresy, w miejscu w którym klęczał oskarżony.

BYLEJAK Tak. Musiałem ją zgubić. Musiała wypaść z kieszeni.

PROKURATOR Może oskarżony wytłumaczy nam, w jakim celu wziął z sobą latarkę, udając się do kościoła ?

BYLEJAK W żadnym celu.

PROKURATOR Skoro jednak była w kieszeni oskarżonego, musiał ją oskarżony wziąć z domu, pocóż ją więc brał z sobą ?

BYLEJAK Miałem latarkę w kieszeni płaszcza. W prawej kieszeni. Ale nie brałem wtedy—nosiłem zawsze przy sobie.

PROKURATOR Poco ?

BYLEJAK Nosiłem latarkę—tak—z fachu mojego. Jestem elektrotechnik. Tak samo w lewej kieszeni nosiłem trochę drobnych narzędzi.

Zawsze śrubociąg, flachczątki do przecinania drutu i do zakręcania, kawałek izolacji, parę śrubek—

PROKURATOR Oskarżony, w tym czasie, tygodniami całymi nie wykonywał jednak żadnej pracy?

BYLEJAK Stałej pracy nie miałem. W stałej robocie to by nawet nie było potrzebne, byłyby narzędzia w warsztacie. Ale czasami zdarzała się robota—ot, taka dorywcza.

PROKURATOR Jaka?

BYLEJAK Np. tego dnia miałem pójść do pana doktora, do radia—

PROKURATOR Słyszeliśmy o tem. Czy do tego była potrzebna latarka elektryczna? Przy naprawie aparatu radiowego w jasnym mieszkaniu?

BYLEJAK Zawsze mogła być potrzebna—przecież—(objaśnia gestami)—majstruje się wewnątrz, w pudle, przy drobnych częściach—trzeba mieć światło pod ręką. Ale proszę sądu ja na tę robotę specjalnie latarki nie brałem. Czy była praca, czy nie te rzeczy zawsze miałem przy sobie—jak kto jest fachowy, to się czasem do swoich narzędzi przyzwyczajają—sam nie wie, czemu nosi z sobą. A to dlatego właśnie, że z jego fachu.

PROKURATOR Ja jestem prawnikiem, a nie noszę z sobą ani kodeksu karnego, ani teki z aktami—wtedy, kiedy idę do kościoła.

OBROŃCA Chciałbym poprosić—czy wolno mi spytać o coś pana prokuratora?

PROKURATOR Proszę.

OBROŃCA Chciałbym spytać pana prokuratora—o pewną drobnostkę. Co pan prokurator ma w tej chwili w swoich kieszeniach?

PRZEWODNICZĄCY Czy to pytanie ma związek ze sprawą?

OBROŃCA Wydaje mi się, że ma, o tyle, o ile ma go kodeks karny i teka pana prokuratora—skoro już dobrowolnie podaje się pan prokurator za przykład—

PROKURATOR A ja chętnie panu obrońcy odpowiem. Pyta mnie pan, co mam w tej chwili w kieszeniach—

OBROŃCA Jeśli pan łaskaw.

PROKURATOR Proszę. (Sprawdza co ma w kieszeniach, niektóre przedmioty pokazuje) Chustka—w kamizelce: pióro wieczne, kalendarzyk z notatnikiem, zegarek, trochę drobnych pieniędzy—w marynarce: druga chustka, portfel, grzebyk składany, pilnik do paznokci w futerale, w kieszeni spodni—syczoryk, pugilares, klucze—jeszcze w palcie rękawiczki. To wszystko.

OBROŃCA Przepraszam—a ołówek—?

PROKURATOR Nie używam ołówka, piszę tylko piórem.

OBROŃCA A poco pan prokurator nosi z sobą syczoryk?

PROKURATOR Syczoryk—

OBROŃCA Oczywiście.

PROKURATOR Noszę go jako narzędzie praktycznego użytku.

OBROŃCA Bez wątplenia—posiada dwa ostrza i zapewne korkociąg. A jednak ołówek pan prokurator nie temperuje, ponieważ go nie używa. Jestem też pewny, że nie otwiera pan nim przy stole butelek piwa, a może wina, które pan pija w domu, albo w restauracji—podają panu faszki otwarte. Podobnie, nie przecina pan kartek książki syczorykiem—na to są noże kościane i mosiężne. Ja wiem jednak, dlaczego pan nosi z sobą syczoryk! Jest to przyzwyczajenie dawnego fachu—przyzwyczajenie ucznia, gimnazysty, który temperował ołówki, wycinał na ławkach swoje inicjały, a na drzewach serca, strzały i litery, otwierał butelki atramentu, ciął arkusze papieru—ja też noszę syczoryk przy sobie, mimo, iż używam ołówek z zakładanych grafitem takich—(pokazuje ołówek—szuka syczoryka)—ja też się bez syczoryka na krok nie ruszam—z domu—niestety—w tej chwili skłamałem—nie mam—syczoryka musiałem go zapomnieć—(szuka)—może

w płaszczu . . . — —ale gdybym go miał—czy uczyniłby mi pan prokurator zarzut, iż przyniosłem go do sądu w celach dokonania morderstwa—?

PROKURATOR Scyzoryk znaleziony u przestępcy, zwróciłby moją uwagę.

OBROŃCA Tak jest. Ale scyzoryk bez morderstwa, bez trupa, bez krwi i bez przestępcy—wydaje mi się niewystarczającą poszlaką . . . (Siada). (Wśród publiczności śmiechy).

PRZEWODNICZĄCY (puka w stół). Przystępujemy do wysłuchania opinii pana rzeczoznawcy, profesora doktora Okólskiego, o stanie poczytalności i odpowiedzialności za czyny, oskarżonego Bylejaka. Poproszę pana profesora.

PROF. OKÓLSKI (wychodzi z pośród publiczności, podchodzi do przewodniczącego, kłania się, przewodniczący odpowiada ukłonem).

PRZEWODNICZĄCY Na wniosek obrony sąd polecił panu profesorowi zbadanie stanu psychicznego oskarżonego Józefa Bylejaka, oraz stopnia jego odpowiedzialności za popełnione czyny. Proszę o pańską opinię w tym względzie.

PROFESOR Wysoki sędzie. Pana Józefa Bylejaka poddałem badaniom trzykrotnym. Trzykrotnym. Badaniu pisemnemu i dwukrotnym badaniom osobistym, łącznie z próbą testów. Otóż świadek należy do typu—

PRZEWODNICZĄCY Świadek ?

PROFESOR Przepraszam, oczywiście oskarżony. Oskarżony należy do typu schizotypicznego. Schizotypiczna charakterologia wykazywałaby—podatność na paranoiczne przywidzenia i zasadniczą skłonność do psychoz—krótko mówiąc—reakcje psychogenne, żywo przypominające objawy histeryczne i hipochondryczne. Typy podobne wykazują okresowo wzmożoną reaktywność psychopatyczną—powiedzmy jaśniej—miewają okresy przewrażliwienia życia afektywnego w postaci neuropatycznych reakcyj wegetatywnego układu nerwowego—które mogą dochodzić aż do pogranicza stanów chizofrenicznych. Chociaż w danym wypadku raczej nie znalazłbym podstaw do przewidywania grawitacji ku schizofrenicznym stanom brzeżnym. W sumie oskarżony—tj., przepraszam—świadek jest typem—

PRZEWODNICZĄCY Oskarżony.

PROFESOR Oczywiście—oskarżony reprezentuje w swoich psychopatoidalnych zaburzeniach typ spotykany we wszystkich kategoriach społeczeństwa bardzo często. Niesłuchanie często. Tak, że właściwie mieści się w granicach norm psychopatoidalnych, stanowiących statystycznie bezwzględna większość społeczeństwa.

PROKURATOR Jeżeli dobrze rozumiem pana profesora—oskarżony wykazuje tym samym pełną odpowiedzialność za swoje czyny ?

PROFESOR Przepraszam pana oskarżonego—t.j. pana prokuratora—ale—właśnie przeciwnie—

PROKURATOR Nie rozumiem.

PROFESOR W ramach charakterologii schizotypicznej, musimy przyznać oskarżonemu odpowiedzialność—oczywiście—zmniejszoną—

PROKURATOR Widocznie musiałem źle pana profesora zrozumieć. Oskarżony jest, według pana profesora, typem nie odbiegającym od umysłowej i psychicznej przeciętności, czy tak ?

PROFESOR Tak jest. Czy to będą odchylenia schizotypiczne, czy też cyklotymiczne,—w każdym razie nie odbiegające od przeciętności—

PROKURATOR Przeciętną odpowiedzialność moglibyśmy tedy uważać za odpowiedzialność pełną ?

PROFESOR (zdenerwowany) Nie, proszę pana. Przeciętna odpowiedzialność jest właśnie odpowiedzialnością zmniejszoną.

PROKURATOR Więc jaką odpowiedzialność ma człowiek normalny ?

PROFESOR Człowiek normalny jest idjotą.

PROKURATOR Co proszę ?

PROFESOR Ze stanowiska naukowego normalność jest głupkowatością. Jest to stan psychofizycznej vegetacji, pozbawionej możliwości przetwarzania bodźców na reakcje afektywne, pozbawiony możliwości tworzenia psychoz i neuroz i tak dalej i tak dalej. Człowiek normalny ma odpowiedzialność wskutek tego zmniejszoną—równą zeru.

PROKURATOR Człowiek normalny ma odpowiedzialność zmniejszoną i człowiek nienormalny też ma odpowiedzialność zmniejszoną ?

PROFESOR (zły) Tak.

OBRONCA To znaczy może, że im wyższy jest stopień rozwoju umysłowego i psychicznego—tym większy jest stopień odpowiedzialności ?

PROFESOR (j.w.) Nie !! Najwyższy stopień takiego rozwoju, np. u geniusza, może wynikać ze stanów schizofrenicznych, które odpowiedzialność zmniejszają do zera !

OBRONCA Przepraszam. (Siada).

PROFESOR Pełna odpowiedzialność jest w psychiatrii tylko symbolem, Jest psychologicznym limitem. Podobnie jak w matematyce symbol nieskończoności. Tylko że skala od zera do nieskończoności, w psychologii nie jest ciągła, ale biegnie skokami. Tak.

PRZEWODNICZĄCY (stuka lekko w stół) Panie profesorze—zdaniem pana profesora, odpowiedzialność oskarżonego jest—

PROFESOR Zmniejszona.

PRZEWODNICZĄCY Co pan profesor sądzi o inteligencji oskarżonego ?

PROFESOR Oskarżony jest inteligentny, owszem, i myślący. Naturalnie w ramach swego wykształcenia, środowiska, doświadczenia, i tak dalej, i tak dalej.

PROKURATOR To znaczy, że oskarżony jest zdolny do obmyślenia i przeprowadzenia w ciągu kilku miesięcy, ułożonego z góry planu ?

PROFESOR Nie. To z tego nie wynika. Inteligencja tego typu, oparta o właściwości psychopatyczne schizotypika jest zdolna raczej do tworzenia irracjonalnych kombinacji treści myślowych i wyczerpywania się w oderwanej od życia analizie abstrakcyjnej.

OBRONCA Panie profesorze, jaki jest pogląd pański na relację p. Bylejaka o tym—cudzie—?

PROFESOR Moim zdaniem mamy tu do czynienia z typową sublimacją popędu płciowego i stanów algolagnicznych w dziedzinie mistyki religijnej. Psychoanalitycznie rzecz biorąc, symbolityka tej sublimacji jest prosta i przejrzysta. Nie pozostawia żadnych niejasności. Mamy tu przede wszystkim zahamowany popęd płciowy, wskutek długotrwałej choroby żony, oraz łaknienie udręki w postaci ascezy, utraty pracy i ściągnięcia na siebie wrogości środowiska.

OBRONCA Czy nie należałoby powiedzieć, że była to poprostu nieszczęśliwa miłość i cierpienie ?

PROFESOR Powiedziałem poprostu : zahamowany popęd płciowy i stany algolagniczne. Następuje szybka sublimacja tych uczuć w stronę obrazu świętej imienniczki żony, co wskazywałoby na tak charakterystyczną dla schizotypmii manię wielkości. Wszystkie symbole tej psychozy—obraz—perły—szczególnie perły—mrok—latarka—ekstacyjny moment cudu—i tak dalej, i tak dalej, mają naturalnie, swoją jednoznaczną ściśle freudowską wymowę—

PRZEWODNICZĄCY Tak. Dziękujemy. Rozumiem.

PROFESOR (kłania się) Proszę.

PRZEWODNICZĄCY Czy strony mają jeszcze jakie zapytania ?

OBRONCA Ja chciałbym jeszcze spytać pana eksperta—

PROFESOR Proszę.

OBROŃCA Słyszeliśmy tutaj o koncepcji cudu, jako psychozy oskarżonego—

PROFESOR Projekcji psychozy.

OBROŃCA Tak. Przyjmijmy na chwilę, że opisywany nam przez pana Bylejaka cud—naprawdę zaistniał—że naprawdę miał miejsce—otóż, czy w tym wypadku subiektywne uczucia pana Bylejaka i jego wrażenia byłyby takie same ?

PROFESOR Subiektywne wrażenia i uczucia byłyby naturalnie takie same. Fakt byłby faktem. Tylko, że w jednym wypadku stworzyłaby go podświadomość. Ale subiektywnie, też byłyby już naprawdę.

OBROŃCA Czy pan profesor wyklucza możliwość ukartowania całego planu kradzieży i planu cudu przez pana Bylejaka ?

PROFESOR Gdyby świadek—t.j.—gdyby oskarżony znał Freuda, w szczególności jego zastępczą symbolikę i tak dalej i tak dalej—tobym mógł wahać się w tym względzie . . . ponieważ jednak stwierdziłem, że oskarżony tych prac nie zna, a cała symbolika omawianej przeze mnie psychozy wydaje mi się aż zbyt aproksymatyczna, aż tak przykładowa—że bez znajomości Freuda trudno by poprostu wpaść na nią—więc raczej wykluczam symulację.

OBROŃCA Dziękuję.

PRZEWODNICZĄCY (do profesora) Dziękuję panu profesorowi. (Zwalnia go skinieniem ręki). (Profesor kłania się i odchodzi w rzędy publiczności).

PRZEWODNICZĄCY (notuje coś w aktach, chwila milczenia) Czy strony mają jeszcze jakie wnioski, w rozprawie postępowania dowodowego ? (Przeczące ruchy głowy Prokuratora i obrońcy). Zamykam postępowanie dowodowe. Udzielam głosu panu prokuratorowi.

PROKURATOR (który podczas ostatnich słów rozmowy eksperta i obrońcy czynił notatki i porządkował papiery przed sobą, wstaje).

Wysoki sędzie. W pełnym poczuciu trudności, jakie stwarzam sobie tym oświadczeniem, zaznaczam na samym wstępie: Jestem katolikiem. Jako wierzący katolik, wierzę w cuda. Trudności wynikające z mego oświadczenia wydawałyby się niemałe—oto mogłoby się zdawać, że oskarżając Józefa Bylejaka o świętokradztwo, unicestwiając bajkę wymyśloną przezeń na swoją obronę—neguję możliwość istnienia cudów. Ze oskarżenie moje, które zwraca się przeciw niemu, kieruje się tym samym przeciw dopuszczalności cudu w zdarzeniach codziennego życia. Miałbym kłócić się z własnym sumieniem, występując przeciw cudowi Józefa Bylejaka ? Miałbym występować przeciw własnej wierze ? Wysoki sędzie, trudność w istocie wydaje się nie do przewyciężenia.

A jednak jest to trudność pozorna. Wnosząc oskarżenie jestem w zgodzie z sumieniem prawnika i chrześcijanina. Wnosząc oskarżenie przeciw Józefowi Bylejakowi bronię w tej chwili, z pełną świadomością—powagi i świętości religii. Bronię jej przeciw przestępcy, co pod płaszczykiem dewocji i w środowisku dewocji sprzyjającym—nadużył wiary ludzi, którzy nigdy, tak bardzo jak dziś, tej wiary nie potrzebowali—który otoczywszy się aureolą fałszywego świętoszkostwa, z zimną krwią, z planem przez całe miesiące układanym, przystąpił do znieważenia kościoła, podniósł rękę na poświęcone klejnoty—dopuścił się świętokradztwa.

Wysoki sędzie, nigdy tak bardzo jak dziś, nie potrzebowali ludzie oparcia o te dwie jedyne, najgłębsze ostoje ludzkiego życia: o sprawiedliwość na ziemi, wyrażoną w prawie—i o łaskę nieba, którą jest wiara. Którą jest wiara prawdziwa, szczerą i trudną, ponieważ wyraża się w pokorze, a nigdy w łapczywości niezastuzonego dobrodziejstwa.

I niema takiego układu zdarzeń, niema takiego chaosu zjawisk, w którym prawo i religia, sprawiedliwość i wiara mogłaby popaść w istotną, głęboką

kolizję. Ilekroć wydaje się nam, że człowiek uczciwy znalazł się na rozdrożu, pomiędzy obowiązkami sprawiedliwości i obowiązkami wiary—ilekroć zdawać by się mogło, iż zwątpić należy o mądrości prawa, albo słuszności wiary—tylekroć należy zwątpić o uczciwości zbląkanego człowieka.

I tak dzieje się dziś. Przesunął się przed nami krąg ludzi spragnionych wiary i sprawiedliwości—ale zdezorjentowanych własną słabością, zdezorjentowanych własną słabością, zdezorjentowanych pogmatwaniem moralnych i etycznych zasad, ludzi niepewnych ani młodej cywilizacji—tej cywilizacji prasy, maszyny, polityki i psychoanalizy—ani starej kultury—tej kultury pokory, ofiary i trudu: ludzi niepewnych siebie i nieba. Widzieliśmy, z jaką skwapliwością uczepili się pierwszego pozoru, aby uwierzyć tak bezkrytycznie, jak bezkrytycznie wczoraj jeszcze wątpili. Począwszy od prostych, zmęczonych troskami ludzi z sutereny aż do ostatniego świadka—człowieka nauki, przyrodnika, lekarza—który z zażenowanym uśmiechem przyznawał się nam do wrażenia, jakie uczynił na nim fakt, przewidywany przecie przez tę ścisłą wiedzę, którą sam opanował. Zeznania tych wszystkich ludzi otoczyły sprawcę zbrodni aureolą pół—podziwu, pół—przesztrachu, aureolą, która grozi przedostaniem się aż tu, do sali sprawiedliwości, fałszywą aureolą, w której przesuwają się zaczynają kontury przestępstwa. Nie będę się, wysoki sądzie, wdawał na tem miejscu w polemikę, z tak modną dzisiaj teorią egzegezy psychoanalitycznej, która z wszystkich faktów i wszystkich zjawisk czyni fikcje i projekcje podświadomych życzeń—a raczej jednego tylko życzenia, bo ono zawsze jest jednakowe i zawsze oznacza zahamowany popęd płciowy. Być może, że ludzi normalnych niema, że jesteśmy wszyscy tylko ułamkami, przedzielnymi kreską przez pół i mianownikiem naszym, pod tą kreską, mianownikiem wspólnym dla wszystkich ludzi jest ta właśnie podświadomość—ten wspólny mianownik zahamowanego popędu. . . . Być może. Wydaje mi się jednak, że czasem—dla rozwiązania prostego równania sprawiedliwości, w którym zbrodnia równa się karze—należałoby skreślić ten wspólny mianownik, do którego sprowadza nas wszystkich zawiła teoria. To, co zostałoby na górze, w jasnym świetle naszej świadomości, to byłyby proste fakty i zjawiska, ale prawda byłaby w nich prawdą, kłamstwo kłamstwem, zbrodnia zbrodnią, a kara karą!

Bo przypomnijmy sobie, jak wyglądają te proste „górne“ fakty w naszym procesie. Człowiek młody, w którym ani życie dotychczasowe, ani wrodzone skłonności, ani pogłębienie umysłu nie wyrobiły dotąd powagi i rzetelności w istotnym stosunku do religii—od chwili zasłabnięcia żony, okazuje bezradność, zanik woli i charakteru, zasługujący na lekceważenie. Powinien pracować tem gorliwiej, pracować dniem i nocą, aby zdobywać pieniężną nadzieję jej ratunku—zamiast tego, opuszcza ręce i daje się, wraz z chorą żoną, utrzymywać ciężką fizyczną pracą jej matki. Być może kocha swoją żonę, kocha ją miłością płytką, pospolitą, którą swoją treść dostrzega w sentymentalnym cierpieniu, zamiast dostrzec ją w obowiązku bezwzględnej walki o każdą szansę poprawy złej woli. Nie podkreślałbym tego rysu, gdyby nie tłumaczył nam stosunku oskarżonego do spraw uczucia, więc i do spraw wiary: tam, gdzie nie widać gołem okiem mety, tam opuszcza oskarżonego energia i zapal, tam opuszcza się oskarżony w przydrożny rów. Wtedy ukazuje mu się ratunek bliski i pozornie łatwy: kradzież. Jednym zamachem zdobędzie pieniądze i nie tylko to. Zrehabilituje się w oczach otoczenia, które nie szczędzi mu wymówek i pogardy. Dla nich, dla tych ludzi prostych, surowych i zapracowanych, jest przecież figurą słabą, śmiesznie sentymentalną—niemęską.

I teraz wszystek spryt i inwencja półinteligenta zdobywa się na zuchwałą, spryciarsko prostą koncepcję: ukradnie klejnot z kościoła, wytłumaczy zbrodnię cudem—przestępstwa nie udowodni mu nikt—wystarczy krótka komedia—trzy miesiące komedii, aby zdaniem jego, plan był dojrzały

do wykonania, aby w oczach tych prostych, zapracowanych ludzi, dla których strata jednego dnia, zmarnowanie jednej godziny jest już grzechem i zbrodnią—aby w oczach tych ludzi stać się nieomal świętobliwym, nieomal pustelnikiem, ascetą, zasługującym już—po trzech miesiącach—na cud, jakby na synekurę nieba zasługiwał ! !

Staje się cud. Ale staje się cud antychrysta. Staje się cud, który jest prowokacją uczciwej wiary. Staje się cud, który prostych i bezkrytycznych ludzi otumania. Czynią szerokie koło wokół przestępcy—koło zeznań, przesyconych niepewnym uwielbieniem—i duszna atmosfera tego uwielbienia mać już czyste i surowe powietrze tej sali—sali sprawiedliwości.

Wysoki sędzie ! Ja wierzę w cuda. I ja znalazłem cud w tej sprawie. Ale nie znalazłem go w bajeczce przestępcy, ani w naturalnym wypadku autosugestii, którym było ozdrowienie Teresy Bylejakowej, ani w owym kręgu adoracji, jaki wytworzył się wśród sąsiadów i domowników i w prasowych echach przedmiejskiego mitu. Znalazłem go w małej niepozornej lampce elektrycznej, która przerwała ten zaczarowany krąg. Latarka elektryczna, która wypadła oskarżonemu z kieszeni . . . w jakiż to sposób wypadła mu z kieszeni ? Jak mogła wypaść z głębokiej i niedziurawej kieszeni płaszcza ?

Myślę, że było inaczej. Józef Bylejak sam wydobyl ją, w chwili, kiedy był sam, w mrocznej wnęce kościoła.

(Bylejak unosi się nieco w swojej ławie oskarżonych—teraz słucha z napięciem słów prokuratora).

Nacisnął guzik i oświetlił obraz. Dojrzał wyraźnie umocowanie sznura pereł. Zgasił natychmiast lampkę—blask mógłby zwrócić uwagę. I natychmiast, póki miał jeszcze w oczach widok sznura pereł—sięgnął rękami—jaknajszybciej, aby nie tracić z oczu sytuacyjnego obrazu. Lampkę cisnął obok siebie. Manualna zręczność, jakiej nabył, pracując w precyzyjnym zawodzie, pozwoliła mu na szybkie odpięcie sznura, bez pozostawienia śladów na obrazie. I natychmiast zdjął go strach—ten strach, dobrze nam, prawnikom znany. I zapominając o latarce wybiegł zadyuszany z kościoła. Wysoki sędzie—niema tak przemyślanej, tak dobrze ułożonej zbrodni, aby jej wykonania nie zepsuł ten strach—ten nagły strach, który jednemu przestępcy zapomnieć każe latarki, drugiemu z ręki wytrąca zdradzający go nóż, innemu usunąć przeszkodzi strzęp zdradliwej gazety—ten strach, który jest wielkim, nagłym odruchem sumienia—który jest cudem. (Bylejak opuszcza się na ławkę—patrzy przed siebie). Gdyby nie ta lampka—jak trudno byłoby zahaczyć się o łańcuch podejrzeń, którego ostatnie ogniwa kładą się bezlitośnie na dlonie przestępcy i zdają się wołać mu w twarz: tak było ! (Bylejak zakrywa twarz dłońmi). Tak być musiało !

I jeszcze jedno : Znamy wszyscy ten dziwny, niewytłumaczony pociąg, który przestępcę, po dokonaniu zbrodni, ciągnie na miejsce przestępstwa. Jest w nim jakaś rozpaczliwa wola mocy, wola okazania siły, wytrzymałości własnych nerwów i sumienia—jest w nim jakaś rozpaczliwa próba prowokacji losu, przeciwstawienia się dokonanej zbrodni, jest w nim chęć wzbicia się ponad zbrodnię, ponad ten strach, ponad siebie samego. I ten pociąg odnalazłem w zeznaniu Józefa Bylejaka. Odnalazłem go w opisie rzekomego cudu. Jak odegrało się to w jego opowiadaniu ? Najpierw ujrzał jasność. Ujrzał światło na obrazie. Ta jasność była błyskiem elektrycznej latarki—jego latarki ! Podręślenie tego w zeznaniu: oto był powrót na miejsce zbrodni ! Oto było przeraźliwie rozkoszne igranie z niebezpieczeństwem, oto rozpaczliwa próba potwierdzenia swojej siły przez prowokację losu !

Wysoki sędzie. Józef Bylejak jest winien świętokradztwa, popełnionego z przemyśleniem i przygotowaniem. Proszę o karę surową i sprawied-

liwą. Prosząc o karę surową i sprawiedliwą, nie myślę o potępieniu jed-
nego przystępcy. Myślę o obronie świętości i powagi wiary. (Siada).

(Chwila milczenia).

PRZEWODNICZĄCY Udzielam głosu panu obrońcy.

OBROŃCA (wstaje—milczy przez chwilę—potem mówi) Wysoki
sądzie.

Pan prokurator nie ułatwił sobie zadania—przynajmniej z początku swego
przemówienia. Z początku swego przemówienia utrudnił je sobie w
sposób bardzo efektywny. Ja także zamierzam utrudnić sobie—pozornie
—swoją rolę. Podejmując się obrony niewinności Józefa Bylejaka, nie
zamierzam bronić cudów. Przeciwnie. Sam, nie jestem człowiekiem
religijnym, nie wierzę w cudy. I znowu zdawałoby się, że między słowami
tego oświadczenia a celem mojej obrony, rozwiera się przepaść, nie do
przekroczenia—bo jakże to? Chcę bronić hipotezy, w którą sam nie
wierzę? Chcę bronić jej wbrew przekonaniu, wbrew własnemu poczuciu
prawdy, wbrew własnemu sumieniu?

No, na szczęście i ta trudność jest tylko retoryczna. I ja mam za sobą
pewne z góry upatrzone pozycje, na które mogę się przenieść w porządku
i z całym spokojem.

Wierzę w rozum. I wiem, że najwyższym poziomem rozumu ludzkiego
jest ta wyżyna, z której dostrzegamy nie tylko zdarzenia, ale i sprężyny
zdarzeń. Zjawiska—i ukryte w zjawiskach siły, fakty i faktów intencje—
dostrzegając jednocześnie, że różne zdarzenia są jednakowo ważne i różne intencje
jednakowo słuszne. Obiektywność myślenia jest najwyższym napięciem
rozumu. Czemże jest zaś obiektywność myślenia, jeśli nie—sprawiedli-
wością sądu? Dlatego ja, wierząc w rozum, wierzę w sprawiedliwość.
I dlatego jestem prawnikiem. I dlatego, broniąc dziś oskarżonego Józefa
Bylejaka—bronię rozumu. Bronię sprawiedliwości. Wysoki sądzie. Nie
jest prawdą, iż niema takiego układu sił, w którym by dwie potężne a
słuszne sprężyny ludzkich działań mogły popaść z sobą w kolizję. Gdyby
tylko część ludzi znała tajemnicę dobra i prawdy, a inni jej nie znali gdyby
tylko część ludzi miała rację—a inni jej nie mieli—jak szybko stałby się
niepotrzebny cały gruby kodeks karny i jego zawili aparat. Jak szybko i
siłą własnego napięcia przeniknęłaby racja jednej gromady w umysły i
dusze drugiej, aby zwyciężyć na zawsze. Niestety—właśnie dlatego, że
różne racje ludzkie są słuszne—dlatego ludzie skazani są na tragizm wiecznej
niezgody. I tylko w kiepskich dramatach dzielą się na białe i czarne
charaktery. Niestety, wielka twórcza tragedia ludzkiego współistnienia
na ziemi, zawiera się w tym, że wielkie słuszne racje, że wielkie słuszne idee
dopadają ludzi—czasem drobnych i przypadkowych—tak jak gdyby dopadały
mieczów—i tymi mieczami walczą z sobą, gdzieś wysoko, w górze ponad
naszymi głowami, tak, jak dzisiaj ponad naszymi głowami walczą ze sobą
—nasze poczucie wiary i nasze poczucie sprawiedliwości.

Wysoki sądzie—skończmy z tym paradoksem, w którym pan prokurator
potępia oskarżonego w imię czystości wiary, a ja bronię go w imię praw
czystego rozumu. Rozwiązanie paradoksu jest proste: Oto rozum
obiektywny od niedawna przestał być rozumem wojującym. Z każdym
rokiem, niemal z każdym dniem, staje się coraz bardziej skromny i pokorny.
Dowiedział się o względności swych granic i swych uprawnień. Może
dlatego, iż wiara dzisiejszych ludzi zbyt bywa przemyślana, nazbyt wyk-
ształcona, zbyt wyraźnie w formuły, w prawidła i kanony ujęta—rozum
zaczyna zastępować jej—tak bardzo ludzkiej duszy potrzebną—naiwność.
To rozum zaczyna tłumaczyć człowiekowi mistyczną nieokreśloność jego
bytu i jego niepokojącą niepewność. To rozum uczy człowieka kajać się,
na nic nie przysięgać, ale wszystkiego się spodziewać. Rozum bierze go

za rękę i zgębnionego tajemnicą prowadzi aż do tych drzwi, za którymi zaczyna się—wiara.

Dowiedzieliśmy się niedawno o względności praw fizycznych i o względności naszej psychologii, o przerażającej tajemnicy przestrzeni i czasu, przyczyny i celu, atomu i nieba—i o przerażającej tajemnicy naszych sądów i marzeń, pobudek i pragnień. Ujrzeliśmy nagle, że jesteśmy zawieszani, jak pasma nieważkiego kosmicznego pyłu pomiędzy bezdennym sklepieniem a bezdenną głębiną. Oczywiście—można—wszystko przecie można—można obciąć wszystkie wierzchołki i podciąć wszystkie korzenie, można skreślić wszystkie „mianowniki“ pod nami i nad nami wszystkie potęgi—ale co wtedy pozostanie? Fakty . . . zdarzenia . . .? Schematy zjawisk, kadłuby zdarzeń. Martwe pnie, martwy las faktów. O, jak łatwo będzie rozwiązywać zawikłania prymitywnych równań . . . i jak prostacze będzie to nasze zajęcie . . . i jak daleko, jak daleko cofniemy się wstecz—na naszej drodze moralnego postępu. . . . Niestety, panie prokuratorze, my się taką zabawę w „trudne—łatwe“ nie zgadzamy.

I oto dzieje się tak, że my, racjoniści, jesteśmy bliżsi przyjęcia możliwości cudu, niż wy, którzy wierzycie. Co to jest cud? My powiadały: ignoramus. Powiadając tak—jesteśmy religijni. Powiadając tak—tłumaczmy jedynie własną niedoskonałość. Ale wy—już ujęliście cud w formuły i przepisy, czynicie jednych ludzi „pólinteligentów“ niegodnymi cudów, innych tak, określacie niemal czas przygotowania, potrzebny do zaznania łaski cudu—wszakże trzy miesiące wydają się wam niedostatecznym terminem—przyznajecie rangę cudu jednym zjawiskiem, inne od tego miana odsądzać—jak gdyby wam Bóg powierzył swoją buchalterję na ziemi.

Ta buchalteryjna metoda, ten moralny materjalizm, któremu wstyd i strach przyznać, że istnieją głębie dla niego niedostępne i dale nieogarnięte jego krótkowzrocznością, trzyma oczy i nos przy ziemi, i szuka i węszy dokoła klęczącego człowieka. Znajduje mizerną lampkę. Całym swoim wstydem i strachem zaczyna się o pierwszy „konkretny“, o pierwszy „rzeczywisty“ ślad—i wprowadzi zeń hipotetyczny łańcuch podejrzeń, ukuwa jakże dokładną, jakże ścisłą fabułę przestępstwa, jakże staje się nagle mądry i głęboki, jak psychologicznie obrotny, jak umiejętnie tłumaczy, jak dobrze rozumie się nagle na człowieku, na jego intencjach, myślach, odruchach. Gdzież była mądrość, kiedy trzeba było wyznać poprostu i szczerze—że wszystko jest możliwe ponieważ nic nie wiemy

Materjalizmowi moralnemu przedstawia się świat, jako garnek odrutowany gęstą stecią paragrafów. I ja dostrzegam tę sieć paragrafów—nie widzę jedynie garnka. Nie wiem, czy istnieje coś naprawdę, poza tą tragiczną wolą ludzkości, poza tą nieziszczalną tęsknotą do moralnych karbów i etycznych formuł, do ładu i zgody. Widzę, jak pomiędzy okami sieci paragrafów przepływa, przemyka się tam i sam owa szlachetna, dostojna atmosfera,—o której z takim przekąsem mówił pan prokurator—ta atmosfera pół—zadziwienia, pół—przestrachu—ta atmosfera, w której—o jakże mądre słowa!—w której przesuwać się zaczynają kontury przestępstwa . . . ta atmosfera mrocznych, poważnych kościołów.

Wysoki sędzie—nie brońmy jej wstępu do sali sądowej!

(Chwila milczenia—mówi cicho).

Wysoki sędzie—w tej atmosferze spójrzmy na oskarżonego Józefa Bylejaka.

(Bylejak powoli podnosi się—staje w ławce—opiera się rękami o pult—patrzy przed siebie błędnie).

OBRONCA O co jest oskarżony? O kradzież? Nie! O cud! O

fakt cudu, który nam dokucza! I póki nie przebrniemy przez ten fakt, póty oskarżenie o kradzież będzie naszym nielogicznym wykrętem. Ten fakt, którego treścią jest tylko to, co w nim przeżył i czuł człowiek, ten fakt, którego mechanika może być złudzeniem ludzkiego działania—ale istota jest prawdą ludzkiego marzenia—ten fakt musimy wprzód unicestwić, aby potem móc człowieka oskarżać.

Jakie było napięcie marzenia? Jakie było napięcie woli—złe czy dobre?
—co uczynił człowiek, dając się ponieść siłom—

BYLEJAK (krzyczy) Ukradłem!

(Poruszenie).

PRZEWODNICZĄCY Oskarżony—

BYLEJAK Ukradłem!

OBROŃCA Proszę sądu—

PROKURATOR (niemal jednocześnie) Niech oskarżony mówi!

GRZEGORZOWA (z publiczności) Józus!! (Przewodniczący stuka).

BYLEJAK (gorączkowo) Tak jest! Tak było, jak ten pan mówił!
(Pokazuje szerokimi gestami prokuratora). Wszystko—przypomniałem sobie! (Obłędnie rozpromieniony). Przypomniałem sobie nagle—
(Ksiądz zakrywa głowę rękami—Obrońca siada zdziwiony i zmieszany—).

TERESA (wstaje z pośród publiczności) Józek!!

PRZEWODNICZĄCY Proszę o spokój na sali!

BYLEJAK (gorączkowo, gestykulując rękami) Myślałem, myślałem
—i tak było—odrazu—przypomniałem sobie—jak sen!—Ukradłem perły!
Ukradłem!

PRZEWODNICZĄCY Oskarżony przyznaje się—

MICHAŁ (zrywa się, krzyczy) Złodzieju!

PRZEWODNICZĄCY (ostro) Spokój!

MICHAŁ Oszukałeś nas, złodzieju!!

PRZEWODNICZĄCY Opróżnić salę!!

BYLEJAK (nieprzytomny, rozpromieniony) Ukradłem! Wyciągnąłem rękę—po perły—

TERESA (przeraźliwie) Józus— — (pada, jak podcięta).

(Zgiełk na sali, głosy: Zemdlą! Wody!—Ratunku!—Ukradł!—

PRZEWODNICZĄCY (donośnie) Ogłaszam przerwę! Opróżnić salę!
(Wychodzi szybko do pokoju sędziowskiego, za nim protokolant).

MICHAŁ (w ataku furii) Oszukał! Wszystkich oszukał!! Zabić go!
Zabić go!

(Posterunkowy szamoce się z Michałem, wyprowadza go siłą—woźni sądowi szybko usuwają publiczność—dr. Szulc podbiegł do Tereski, która leży bezwładna i przy pomocy ludzi z publiczności wynosi ją z sali).

BYLEJAK (patrzy dookoła, ale nic nie rozumie—rozpromieniony, szczęśliwy, powtarza) Przypomniałem sobie—wszystko tak było—ukradłem—
(Wyprowadzany przez posterunkowego tłumaczy mu to w dalszym ciągu, szczęśliwy, z ulgą).

(Na sali robi się szybko pusto. Został tylko Ksiądz w ławce, twarz zakrywając dłońmi, Prokurator, który chowa papiery do teki, obrońca patrzący na całą scenę bezradnie).

WOŹNY (wraca na salę, podchodzi do Księdza, dotyka dłonią, jego ramienia) Proszę pana (Ksiądz podnosi głowę—Woźny widzi sutannę).
Przepraszam— (Wychodzi).

PROKURATOR (poznaje księdza) Dzień dobry księdsu doktorowi—

(schodzi, wita się) (Zgaszonym głosem). Ksiądz był na rozprawie? (Ksiądz kiwa głową, milczy).

OBROŃCA (wyciągnął papierośnicę, wyjął papierosa, szuka po kieszeniach zapalek) (do prokuratora) Przepraszam, czy pan prokurator ma ogień?

PROKURATOR (podchodzi do obrońcy) Służę panu koledze—(wyjmuje zapalniczkę, zapala, obrońca częstuje go papierosem, prokurator przyjmuje, mówi podczas tego). Nie meldowałem panu koledze—że mam w kieszeni jeszcze zapalniczkę—bałem się, że mnie pan spyta, czy ostemplowana? . . . (grozi mu żartobliwie palcem).

OBROŃCA (uśmiecha się blade) Nie . . . nie w tej sprawie. . . .

PROKURATOR Pozatem—(podaje mu rękę)—gratuluję panu. Miał pan bardzo trudną, sprawę—co? Ja jeden wiem jak trudną . . . ale rzeczywiście, muszę pogratulować.

OBROŃCA Ba—jużśmy przegrali— —

(Wchodzi Przewodniczący, już bez togi i beretu—jest zmęczony i osowiały, podchodzi parę kroków).

PROKURATOR Panowie pozwolą—Ksiądz doktor Dobraniecki (Przewodniczący podchodzi do Księdza, witają się podaniem ręki—obrońca przedstawia się Księdzu, który potrząsa jego rękę z smutną sympatią—obrońca siada niedaleko Księdza, Prokurator opiera się o ławkę—Przewodniczący chodzi wolnymi krokami).

(Chwila milczenia).

KSIĄDZ To okropne.

PROKURATOR Taaak . . . przykra sprawa . . . zdarzają się i gorsze.

OBROŃCA Swoją drogą—to dziwne, że on się tak—przyznał . . . to zagadka dla mnie . . . rozmawiałem z nim tyle razy—

PROKURATOR Uświadomiłem mu tę psychozę . . . nastąpiło rozwiązanie kompleksu—w myśl zasad psychoanalizy, co? Ale, panie prezisie, Okólski jest już niemożliwy, jako ekspert!

PRZEWODNICZĄCY Kiedyż niema innego. . . .

PROKURATOR Wyraźnie się na nas gniewał. . . .

(Wpada dr Szulc—nie spodziewając się nikogo w sali—zatrzymuje się na widok panów).

LEKARZ O przepraszam—zostawiłem tu teczkę (jest silnie zdeprymowany).

PRZEWODNICZĄCY Proszę panie doktorze—(Szulc idzie do swego miejsca po teczkę—zatrzymuje go pytanie Przewodniczącego) Panie doktorze—nie wie pan, co się stało tej—Bylejakowej?

OBROŃCA Zemdląła?

LEKARZ (po chwili drżącym głosem) Niestety, gorzej—

KSIĄDZ Co?

LEKARZ To ponowny atak porażenia—

OBROŃCA To samo, co było?

LEKARZ (skinął głową, znajduje swoją teczkę, zatrzymuje się w zamyśleniu).

PRZEWODNICZĄCY Tym razem—już chyba trudniej będzie z wyleczeniem?

LEKARZ Tak.

PRZEWODNICZĄCY (strzepnął z współczuciem palcami) Hm. . . .

OBROŃCA No, i już po cudzie.

PROKURATOR (chwila ciszy) Ba . . . co można było zrobić ?

WOŹNY (wchodzi, zatrzymuje się w progu).

PRZEWODNICZĄCY Co tam ?

WOŹNY Nic, proszę pana prezesa—myślałem, że pogaszę.

PRZEWODNICZĄCY To—(pokazuje na górne światło)—można zgasić. (Woźny przekręca kontakt, górne światło gaśnie—Woźny wychodzi).

(Scena jest oświetlona tylko lampami na pulpicie prokuratora i obrońcy).

(W tym półmroku widać, że ze stołu sędziowskiego pada snop światła na wiszącą na ścianie krucyfik).

KSIĄDZ (dostrzega dziwne światło, zrywa się, patrzy jak urzeczony) Jezus Marja! (Wszyscy odwracają się).

PROKURATOR Co ? Co to ?

OBROŃCA (biegnie na katedrę, sięga ręką—gasi światło, podnosi ze stołu latarkę Józefa Bylejaka, mówi cicho) To nic—to ta latarka—pański dowód rzeczowy. (Podnosi wzrok w górę, na krucyfik, potem zwiesza głowę, schodzi).

KSIĄDZ (po chwili) Przepraszam bardzo—że ośmielam się coś tutaj powiedzieć—

PRZEWODNICZĄCY Proszę uprzejmie—

KSIĄDZ (zamyśla się) Przepraszam panów—przypomniało mi się, że dawno, bardzo dawno temu, byłem księdzem, młodym kapłanem, na wielkim statku. Statek woził po morzach setki ludzi, setki ludzkich spraw, niekiedy bardzo ważnych . . . setki ludzkich pośpiechów, obowiązków. Kiedyś, na pełnym morzu, zaczęli nagle krzyczyć z bocianiego gniazda, że daleko widać maleńką łódź, a w niej—jakby znaki dawane ku nam. Statek zatrzymał maszyny i zawrócił ku łódce. Znaleźliśmy w niej człowieka. Wiatr i prądy morskie zagnały go tak daleko — był już bardzo wyczerpany, i byłby zginął, gdybyśmy byli poniechali ratunku. Kiedy go wnoszono na pokład, wielu z nas płakało, a wszyscy byli jakoś dumni . . . i zadowoleni z siebie . . . jak gdyby każdy nie na próżno był się wybrał w swoją podróż. Straciliśmy kilka godzin i pojechaliśmy dalej. (Chwila ciszy). Przepraszam panów, tak myślę, że my wszyscy—wszyscy ludzie—wszyscy razem—jesteśmy takim okrętem na pełnym morzu. Okrętem pełnym spraw, pośpiechów, obowiązków, przekonań. Ale kiedy jeden człowiek, jeden rozbitek, jeden ginący będzie wyciągał do nas rękę—trzeba zatrzymać maszyny i zawrócić ku niemu . . . (po chwili). Człowiek jest jest taki ważny. . . .

PROKURATOR (po chwili) Cóż nam proszę księdza zostało ?

KSIĄDZ Miłosierdzie. Zwyczajnie.

PRZEWODNICZĄCY (uśmiecha się smutnie, rozkłada ręce) Ba . . . co zrobić ? . . .

KSIĄDZ Może—zlitować się. Podać rękę. I pojechać dalej—?

KURTYNA

KONIEC SZTUKI

MONARCHJA W POLSCE?

Do bardzo niedawna jeszcze nikt w Polsce poza grupką monarchistycznie nastrojonych intelektualistów nie podawał w wątpliwość, że Polska może być tylko i jedynie republikańska.

Nie twierdzą, że pod tym względem cośkolwiek zmieniło się w nastawieniu naszego szerokiego ogółu i że republikańskość przyszłej Polski jest w czemkolwiek zagrożona. Pojawiły się jednak w ostatnich czasach dwa czynniki, które sprawiają, że zagadnienie „monarchja czy republika?” może na emigracji w Anglii, stawać się przedmiotem prywatnych dyskusyj i że wskutek tego warto tym i owym pomóc wyjaśnić myślenie o tej sprawie.

Za jeden ze wspomnianych czynników należy uważać artykuł Wacława Komarnickiego p.t. „O naczelną zasady reformy ustrojowej,” ogłoszony w numerze drugim dwutygodnika *Jutro Polski* (31.III.1942). Powaga naukowa i stanowisko rządowe prof. Komarnickiego sprawiają, że wypowiedzi tego autora muszą ściągać na siebie większą uwagę, niż sądy, któreby wyszły z pod innego pióra. Owóż prof. Komarnicki, wyraziwszy zdanie, że „Polska zachowa, sądzić należy, po wojnie ustroj republikański,” pisze: „Kwestja monarchji mogłaby stać się u nas aktualna jedynie ze względu na politykę międzynarodowej. *Jasnym jest i nie potrzebuje dalszego dowodzenia* (podkreślenie moje, M. Sz.), że ułatwia ona znacznie bardziej od republiki związki międzypaństwowe.“

Wiadomo, że żyjemy obecnie w czasach, kiedy wiele się mówi o potrzebie łączenia się państw w zespoły sfederowane i o czerpaniu wszelakiego rodzaju korzyści z takich powiazań międzynarodowych. W tych warunkach trzeba liczyć się z wpływem, jaki wywierać może teza wybitnego uczonego i polityka migocząca zaletami monarchji w dziedzinie całkowania państw, wskazująca jej tak ważną w danych warunkach praktyczność a zarazem podkreślająca jej niewinność. Gdyby bowiem, pisze prof. Komarnicki, z owych międzynarodowych względów „ustroj monarchiczny stał się w Polsce aktualny, nie mogłoby to wpłynąć na zasadniczy charakter państwa demokratycznego i praworządnego.“

To nas prowadzi do drugiego z czynników pobudzających do rozważenia tu wartości rozwiązania monarchicznego. A mianowicie do refleksyj, które nasuwają się wielu z nas przebywającym w Anglii i obserwującym tutejsze połączenie monarchji z pełnym demokratyzmem politycznym. Przekonywamy się przecież naocznie, że istnienie tronu nie wyklucza ani urzędzeń demokratycznych ani demokratyczności obyczajów. Republika może wskutek tego przestawać ukazywać się w świetle dogmatu dla Polaka i stawać się czemś, co ze względów konjunkturalnych można w pewnym położeniu międzynarodowym wynosić na strych ideologiczny.

Pragnę wykazać, że tak nie jest ani trochę. Z jednej strony Polska (podkreślam: Polska) może być demokratyczna jedynie jako rzeczpospolita. Z drugiej zaś, wbrew twierdzeniu prof. Komarnickiego, ukoronowanie kogokolwiek na Wawelu nie ułatwi nam wejścia w jakieś pożądane związki międzynarodowe, przeciwnie, może sprawę zagmatwać a prawdziwe zbliżenie Polaków do innych narodów opóźnić.

MONARCHJA DEMOKRATYCZNA.

Przedewszystkiem stwierdzmy, że nie rozważa się tu abstrakcyjnie, czy możliwe jest połączenie demokracji z istnieniem króla, lecz czy można to połączyć w Polsce. Zgóry bowiem trzeba sobie powiedzieć, że jeśli gdzieś— np. w W. Brytanji lub Belgji czy w krajach skandynawskich—monarchja zgrała się z demokracją i współżyje z nią harmonijnie, to nie wynika stąd bynajmniej, iżby do podobnej harmonji doszło w Polsce XXgo wieku i to

doszło odrazu. Pomińmy nawet odmienne warunki historii, obyczajów i temperamentu. Pozostaje pierwszorzędnej wagi okoliczność, że co innego uzyskała nieszkodliwość połączenia monarchji z demokracją jako *wynik* pewnego procesu dziejowego a co innego wprowadzać takie połączenie gotowe i od niego *zaczynać* rozwój.

W żadnym z wymienionych krajów monarchja nie pomagała rozwijać się demokracji. Przeciwnie, wszędzie tam demokracja rozwinęła się—mniej lub więcej, ale zawsze—naprzekór monarchji. Wszędzie tam demokracja musiała ujarzmić monarchję i wstawić ją w swoją służbę. I wszędzie też tam pozostawia się monarchję przy życiu dlatego, że taka jak jest teraz—to znaczy po oskubaniu i dokładnem pozbawieniu kolców—przynosi *wśród warunków miejscowych* pewne korzyści lub choćby daje zadowolenie rozwinętemu zmysłowi wspominania.

Pytanie zatem, skonkretyzowane należycie, idzie w dwóch kierunkach :

1) czy istnieją w Polsce siły bezwzględnie zabezpieczające przed antydemokratycznymi zakusami, które są przyrodzone wszelkiemu monarchizmowi ?

2) jakie plusy, niedostępne dla republikanizmu, może przynieść Polsce monarchja ? Oto odpowiedzi.

DEMOKRATYZM W POLSCE.

Jaka jest siła i jaka głębia fundamentu demokratycznego w Polsce ? Że lud polski na przeważnej swej przestrzeni już obudził się politycznie i społecznie i ma otwarte oczy—to pewne. W ciągu dwudziestolecia międzywojennego szliśmy w tym względzie krokami olbrzyma, idąc od żądań i haseł, wystawianych przez przywódców tylko i wkładanych ludowi w usta, do własnych przemyśleń i własnych postulatów mas uświadomionych coraz prawdziwiej. Czytałem niedawno w bardzo poważnym angielskim miesięczniku sprawozdanie z tomu o najnowszej historii Polski, wydanego przez uniwersytet w Cambridge. Recenzentka miała wątpliwości, czy potraktowanie opisu państwowości polskiej odbudowanej w r. 1918-ym nie było zbyt zaślepione życzliwością dla naszego narodu. Przecież, pisała dosłownie, niewielu Polaków zdaje sobie sprawę z tego, że ustrój społeczny wskrzeszonej Polski nadawał się do muzeum. Z dalszego ciągu wynikało że autorka recenzji wyobraża sobie, iż w Polsce ostatnich czasów wciąż jeszcze na wsi siedział dziedzic i rządził chłopstwem dookoła. Nie dostrzegłem, iżby nasze urzędy informacyjne sprostowały to—lekkko mówiąc—fantazjowanie na temat stosunków społecznych we współczesnej Polsce. Lud polski żył jeszcze w wielkiem, o wiele za wielkiem pohańbieniu gospodarczem, ale godność swą czuł i jej uznanie wymuszał.

Pewne również, że—wbrew temu, co przyzwyczajono się mówić o nas zagranicą i co sami nieraz o sobie powtarzamy bezmyślnie—złożyliśmy dowody, że *potrafimy* rządzić się demokratycznie. Nie mieliśmy jedynie dostatecznego doświadczenia, a to nie grzech, przynajmniej nie nasz. Niema jednak najmniejszych powodów do przypuszczania, że z tego niedoświadczenia nie bylibyśmy się otrząsnęli bardzo szybko, gdyby nam było dane rozwijać się pod konstytucją poprawioną w r. 1926-ym i gdyby nieopatrnie i niepoczytalnie nie zepchnięto demokratyzmu polskiego z drogi własnego naturalnego rozwoju.

Pewne wreszcie, że wszystko, co w Polsce wybiega duchem w przyszłość i myśli o jej jasnym kształtowaniu, pragnie dla Polski miejsca wśród narodów, które urzeczywistniają najszczytniejsze ideały współzycia—Wolność i Sprawiedliwość—wśród narodów zatem demokratycznych.

Ale prawdą, z którą trzeba się liczyć, jest też, że demokratyzm polski nie nabrał jeszcze (a przynajmniej nie nabrał *by!* jeszcze w chwili, gdy wojna wybuchła) sił herkulesowych. W kołysce państwowości nie urwał ła hydrze rządów pułkownikowskich, nie jest więc pewne, czy zdusi *wszystkie*

grożące century. To znaczy, czy potrafi należycie odeprzeć ataki sił uwodzicielskich, którym wprowadzenie monarchji utworzyłoby drogę do Polski. Zbyt często zawodziły nas oceny i proroctwa na temat świadomości politycznej tego czy innego społeczeństwa, byśmy w Polsce mieli z całą pewnością wykluczać możliwość powodzenia pokus.

Tron i król - to przecież pojęcia o dużej sugestywności. Poddają myśli, budzą wspomnienia z lektury propagandowej, wytwarzają nastroje. Jest więc naprzód sugestja wyniosłości ponad poziomy. Król- mówią legendy, które bynajmniej nie znikły bez reszty z wyobraźni ludowej - stoi ponad stronnictwami, ponad egoizmami politycznymi. Gdzieś z górnych sfer ogarnia sprawiedliwym, ojcowskim okiem całą gromadę powierzoną swojej pieczy. Nie pozwala krzywdzić maluczkich, nie pozwala możnym wyzyskiwać nieobronnych. Wiele innych poglądów baśniowych może zapalać się nad głową monarchy—w kraju, który miał już króla chłopów. Nie jesteśmy w Polsce przyzwyczajeni do królów jeżdżących na rowerach ulicami miasta. Nie mieliśmy w historii swojej przykładu ucinania głowy ukorowanej. Nie zdarzało się nam—jak bywało w Anglii jeszcze na początku w. XIXgo—demonstrować przeciw królowi, ośmieszać go publicznie wystawianemi karykaturami, wyszydzać w jawnie obiegających publikacjach. Porwanie Stanisława Augusta było epizodem żałośnie nieudanym i zresztą niejako prywatnem przedsięwzięciem kilku śmiałków a nie sponiewieraniem majestatu dokonaniem przez masę i pozostającym w ich wspomnieniu jako skaza na rewerencji. Nie przyzwyczailiśmy się też do familjarnego traktowania monarchy, do patrzania na blask tronu jako na błyskotkę, która cieszy oko, ale od której nie doznaje się oślepienia.

Wobec tego istnienie króla mogłoby u nas zamącać świadomość polityczną, nie we wszystkich naszych warstwach rozwiniętą równomiernie. Mogłoby, choćby przez jakiś czas tylko, pomagać szerzyć się poglądom i zachowaniom się, których nie należy sobie życzyć w interesie demokratycznego stosunku do władzy. Kto mówi, że w Anglii jest możliwe współzycie monarchji z demokracją, niech zapyta sam siebie, czy jest pewien, że dźwięk słowa „król“ będzie budził wszędzie w Polsce ten sam odzew poufałości, jaki budzi w Anglii i że niema zgola niebezpieczeństwa, iżby u nas słowo to nie brzmiało w wielu duszach jako „miłośniwy pan.“

PRZESUNIĘCIE NA TOR GOSPODARCZY.

Jest inna jeszcze niebezpieczna sugestja w królewskości. Po strasliwym wyniszczeniu w tej wojnie ludzi i dobytku wszyscy w Polsce przywróconej do samodzielności będziemy przytłoczeni troską o gospodarcze odbudowanie się. W tych warunkach namnoży się takich, co pochłonięci kłopotami nie będą chcieli lub nie będą mogli zaprzętać sobie głów pracą polityczną. Tem szkodliwsze mogą być następstwa istnienia wyniosłego urzędu, którego dzierzycielowi mistyka dość szeroko zakorzeniona przypisuje wrodzoną ojcowską trosliwość o dobro państwa. „Mamy króla, niech go głowa oto boli“—strasliwe mogłyby być następstwa takiego zmniejszania sobie ciężaru trosk. Byt demokracji od tego zawisł, by lud nigdy nie tracił świadomości, że *na nim samym* i zawsze tylko na nim samym ciąży obowiązek zabiegania koło swych spraw politycznych. Nie trzeba, by myśl jego mogła zatrzymywać się na kimkolwiek, na kogoby było zdać ten obowiązek.

Niedarmo wszelkie rządy dyktatorskie starają się uwagę społeczeństwa zwrócić w kierunku wyłącznie gospodarczym. Pamiętamy z własnego niedawnego doświadczenia interesowne piorunowania na „rozpolitykowanie,“ na szkodliwość walki stronnictw itp. Nie jest to wynalazek faszyzmu. Już Napoleon III stosował tę taktykę: otwierał społeczeństwu francuskiemu drogi dostępu do pomyślności gospodarczej, dawał mieszczanństwu sposobność robienia dobrych interesów—byleby mu w zamian

za to nie wtrącało się do polityki. Jakie były tego następstwa, wiadomo. Tak samo zresztą fatalne były skutki zaniedbania polityki przez lud francuski w okresie po r. 1918-ym. Nie zdawano się wtedy coprawda na żadnego monarchę, ale w jakimś samobójczym obłędzie zdeprecjonowano moralnie politykę, podawano polityków w pogardę i zepchnięto zajęcia polityczne do poziomu takich, któremi nie para się ucziwy człowiek. Wynik był ten sam, co w przypadku napoleońskim: obywatel zatracił właściwy baczny stosunek do spraw politycznych i ściągnął na siebie katastrofę we wojnie.

Otóż w wyzwolonej Polsce będzie wiele pokus do ześrodkowania uwagi na sprawach gospodarczych. Nie trzeba, by istnienie króla pomagało ludziom do usypiania czujności obywatelskiej.

MONARCHJA A POLITYKA ZAGRANICZNA.

Prof. Komarnicki i ci, co dzielą jego poglądy, zdają sobie sprawę, że król nie może przynieść korzyści w wewnętrznej polityce demokratycznej Polski. To też mówią jedynie o względach polityki zagranicznej. Ale i w tym kierunku korzyści wprowadzenia monarchji są czystem złudzeniem. Wbrew mniemaniu prof. Komarnickiego, iż „jasne jest i nie potrzebuje dalszego dowodzenia“, że monarchja ułatwia powstawanie związków między państwowych — twierdzi, że nie jest to bynajmniej jasne i wcale nie rozumie się samo przez się.

W przeszłości, owszem, monarchja ułatwiała spajanie się państw. Ale było to w epoce, kiedy państwa uchodziły mniej lub więcej za własność królewską i kiedy cały kraj można było przynieść w wianie małżeńskim. Można było np. w w. XIV-ym przez małżeństwo Jadwigi z Jagiełłą związać Litwę z Polską. Mogło w w. XV-ym dokonać się przez małżeństwo połączenie Aragonji z Kastylją. Mógł w XVI-ym w. Karol V. spodziewać się, że przez małżeństwo syna swego Filipa z królową w Angji Marią doprowadzi do związku Niderlandów, Hiszpanji i Angliji. Ale jakim ułatwieniem powstania w obecnych czasach związku pomiędzy Polską a Czechosłowacją mogłaby stać się monarchja, tego doprawdy dostrzec nie potrafię. Niech nas nie myli w tym względzie przykład imperjum brytyjskiego, w którym Korona jest rzeczywiście łącznikiem poszczególnych części składających się na Brytyjską Wspólnotę Narodów. Niema zgoła żadnej analogji pomiędzy imperjum brytyjskiem a temi formami zrzeszania się państw, o których myśli się na czas po obecnej wojnie.

W Brytyjskiej Wspólnotcie Narodów łącznikiem *istotnym* nie jest król, który raczej symbolizuje tylko jedność niezależnych składinad składników, niż ją wytwarza. Prawdziwy węzeł pomiędzy wielkimi samorządami społecznościami *Commonwealth'u* na tem polega, że wszystkie one są społecznościami przeważająco *brytyjskimi*, że olbrzymia większość ich członków to ludzie z tej samej krwi i tych samych kości. Wspólny im jest przedewszystkiem nie król, ale język, wspólna duma rodowa, wspólne wspomnienia pnia dziejowego. Choć dziś żyją odrębnie i odrębnie się rządzą i choć warunki geograficzne i gospodarcze w wielu kierunkach odchylają je od siebie, to przecież dominja zdają sobie sprawę, że przez ich zasadnicze nastawienia kulturalne, przez ich ukształtowania psychiczne i ustosunkowywanie się do świata płynie ten sam, z ziemi wyspy macierzystej wytrysły prąd myślowy i uczuciowy i czyni z nich tę samą rodzinę ludów. Gdyby *tego* poczucia nie było, imperjum brytyjskie rozleciałoby się w kawałki—z królem czy bez króla.

Nie dlatego z pewnością dominja brytyjskie trzymają się ze sobą, że mają wspólnego króla, ale dlatego mogą mieć wspólnego króla, że duchowo i sercowo są dostatecznie zespolone ze sobą. Przy tem jest to król, który—jako Brytyjczyk—może w każdym z państw *Commonwealth* uchodzić za własnego rodowitego króla. Tymczasem w związkach między państwowych, których powstawanie ma zdaniem prof. Komarnickiego ułatwiać monarchja,

położenie byłoby dokładnie odwrotne. Ani nie byłoby w poszczególnych narodach poczucia tradycyjnej łączności, ani nie zespałaby ich długotrwała jedność kolei losów. A król stający na czele związku byłby w *każdym* z łączących się państw kimś *obcym*. Byłby łącznikiem czysto zewnętrznym i nie miałby nic wspólnego z prawdziwym, bo wewnętrznym zbliżaniem się ludów do siebie. Francuzi określają tego rodzaju poczynanie jako zaprzęganie pługu przed konia.

Król—jako łącznik państw dotychczas republikańskich—byłby bezużyteczny. Gorzej: wiele rzeczyby utrudniał. I tak istnienie monarchy niezrosłego z żadnym społeczeństwem związkowym, a więc kogoś, czyje symparje i względy są do zdobycia, mogłoby wywoływać koło tronu taniec w rodzaju owej figury w mazurze, kiedy tancerze usiłują pochwycić chustkę rzuconą przez stojącą w środku tanecznicę. Mógłby powstać wyścig o łaski monarsze nie tylko jednostek karierowiczowskich, ale całych nawet społeczeństw. Z jednej strony konkurencja w lojalności (przy czem wygrywałyby oczywiście zbiorowości mniej udemokratycznione), z drugiej zaś polityka kokietowania to jednego to drugiego narodu i wzajemne ich wygrywanie przeciw sobie wedle chwilowych interesów monarchy—Austro-Węgry pozostaną tego nieśmiertelnym przykładem.

Co najważniejsza zaś, wprowadzenie tronu jako łącznika przeniosłoby sprawę zbliżania się i zżywania ze sobą narodów związkowych na płaszczyznę nieistotną. Podstawiając klamrę czysto zewnętrzną za to rzeczywiste złączenie, które tworzy unję duchową i uczuciową narodów, odwoziłoby uwagę od takiego właśnie wewnętrznego spajania ludów mieszkających pod jednym dachem politycznym. Austro-Węgry są tu znów odstrasającym przykładem.

MIRAŻ ANGIELSKI.

Bardzo być może, że cała ta polemika z ideami monarchistycznymi jest niepotrzebna lub przynajmniej za obszerna. Sądzę jednak, że ostrożność nie zawadzi, wysuwanie bowiem owych idei jest do pewnego stopnia, tu na angielskim gruncie, igraniem z ogniem. Przecież fakt dobrego pozycia monarchji z demokracją w Anglii może niejednemu z emigrantów naszych zamącić świadomość. Trzeba takiemu zwrócić uwagę, że pozycja Korony w Anglii jest wynikiem rozwoju wielowiekowego i że nie wystarczyłoby, budując tron w Polsce, powiedzieć: „my chcemy, żeby to było tak samo, jak w Anglii“. Do tego potrzebaby było tych samych warunków historycznych i obyczajowych—tego samego wyzwolenia się społeczeństwa z pod sugestyj nadprzyrodzonej władzy królewskiej, tego samego uświadomienia obywatelskiego i—co może najważniejsze—tej samej tradycji symbolizowania jedności państwowej.

Owóż stwierdźmy, że w Polsce *niema zupełnie takiej tradycji*. W Polsce dźwięk słowa „król“ nie budzi żadnych uczuć patriotycznych ani nie podnieca dumy narodowej. Jeślibyśmy chcieli liczyć królów polskich prawdziwie wielkich, przez wieki świecących swoim majestatem i rzucających blask na dzieje nasze, to palców jednej ręki nie byłoby za mało. A nawet jeden z tych kilku, Sobieski, zyskał sobie sławę jako wódz, nie jako król-mąż stanu. Natomiast ostatni królowie polscy czynili niemal wszystko, co było w ich mocy, by skompromitować ideę tronu.

Nie ludźmy się też, że w Polsce masy (na wschodnich zwłaszcza połaciach) są tak politycznie wyrobione, że będą—narówni z angielskimi—traktować monarchję i jej błyskotki jako malowniczą tylko dekorację, przemawiającą mile do wyobraźni, ale nie wpływającą ani trochę na trzeźwość poglądów na władzę. W Polsce, w której potrzeba kontroli nad władzą nie jest równomiernie ugruntowana w świadomości politycznej całej zbiorowości; w której istnienie wciąż jeszcze zbyt wielu stronnictw i ugrupowań politycznych otwierałoby pole do intryg dworskich—w Polsce eksperyment z

„monarchją demokratyczną“ musiały mieć następstwa zgoła inne, niż wyobrażają sobie dobrotliwi obserwatorzy stosunków angielskich. Z monarchją angielską jest jak z przysłowiowym trawnikiem angielskim: rzecz sama przez się jest łatwa do urzeczywistnienia, potrzeba jedynie kilkuset lat pielęgnacji, by osiągnąć dzisiejsze cieszące wyniki.

GUSTAW GAZDA

PRÓBA BILANSU.

W czerwcu upłynął drugi rok od przyjazdu Polaków do W. Brytanji. Niewesoły to jubileusz ale chwila sposobna aby dobrym gospodarskim zwyczajem rozejrzeć się wokoło całości naszych spraw, zestawić osiągnięcia, ocenić straty, jednym słowem spróbować zestawić bilans polskiego stanu posiadania w tym kraju.

Chodzi, rzecz jasna, o stan posiadania polityczny w najszerszym tego słowa znaczeniu, chodzi o to w jakim stopniu nasza obecna działalność wpływa na jego polepszenie.

Naród i państwo polskie związały się z W. Brytanią jak najściślej. W odróżnieniu do wielu innych uczyniliśmy to nie dopiero po doznaniu napadu lecz jeszcze w czasie pokoju, na podstawie decyzji powziętej w pełni świadomości, w szczególności także w świadomości ofiar z decyzją tą związanych; w odróżnieniu do wielu innych czyniliśmy i czynimy to bez zastrzeżeń i rezerwacji, oraz bez jakiegokolwiek asekurowania się na wypadek nieszczęśliwego wyniku.

Czasy formalnych, czysto prawnych, zobowiązań sojuszniczych—o ile wogóle istniały kiedykolwiek—minęły. Sojusz aby był żywy musi być podtrzymany i obustronnie ustawicznie wypełniany świeżą treścią. Dla zilustrowania o co chodzi spróbujmy sobie wyobrazić, że przy podobnym przebiegu wypadków wojennych w wrześniu 1939 nikt z nas nie byłby kraju opuścił. Może byłoby to zaszczytniejsze i bardziej heroiczne; co jednak stąd wyniknęłoby dla sprawy? Polskę reprezentowałoby kilku ambasadorów, ewentualnie złączonych w komitet, może skolei wywyższony do komitetu narodowego „wolnych Polaków“. Opinia sprzymierzonych od czasu do czasu, z uprzedniego obowiązku wskrzeszałaby pamięć o trzytygodniowej obronie Polaków. Źródła neutralne podawałyby rzadkie wiadomości o prześladowaniach w Polsce. Polska nie przestałaby być pod względem prawnym kombatantem i sojusznikiem. Sojusz ten jednak, nie ożywiony ciągłością współpracy wojskowej i politycznej stałby się martwym niemal zobowiązaniem, kartą z białej księgi dokumentów, odłożonych dla braku aktualności na dno już nie waliz ale szaf dyplomatycznych.

Co robimy a nadewszystko czy dostatecznie dużo robimy aby tak nie było? Czy będziemy mogli po powrocie do kraju wskazać na dostateczną ilość osiągnięć dodatnich? Czy nie będzie trzeba stwierdzić, że inna emigracja, równa naszej co do liczby lecz różna co do składu nie byłaby tych zadań wykonała lepiej?

Te pytania wielokroć, z niepokojem, zadaje sobie chyba każdy z nas. Z całym poczuciem trudności tego zadania podejmują próbę dania na nie syntetycznej odpowiedzi.

TEACH POLISH

Po raz pierwszy w historii kilkadziesiąt tysięcy Polaków przybyło do W. Brytanji. Do kraju, którego olbrzymia większość mieszkańców o Polsce nie słyszała prawie nic a jeżeli słyszała to raczej rzecz ujemne.

Trzeba pamiętać, że tak jak gwarancja brytyjska dla Polski przyszła nagle, tak i sojusz oraz bliska przyjaźń obu narodów są świeżej daty.

Przystąpienie do wojny na skutek napadu Niemiec na Polskę pojmowane było przez szerokie sfery brytyjskie jako akt okupienia za wieloletnią polityką „appeasement“, podobnie jak poprzednio udzielona gwarancja była symbolem zerwania z tą polityką. Były to więc zmiany kierunku własnego postępowania a także zmiany w pojmowaniu własnego interesu. Straszna nauka monachijska i pomonachijska, doznana przytem już w nastroju pewnego niesmaku pozostałego po abisyńskim i hiszpańskim pucharze goryczy, dokonała rewolucji pojęć w tempie niezwykle szybkim jak na społeczeństwo o tak długofalowej reakcji. Ale żaden z tych czynników nie powodował jeszcze bezpośrednio zwiększenia sympatji czy zrozumienia dla spraw polskich.

Przyszły jednak wiadomości o krótkiej lecz bohaterkiej obronie Polaków, o hekatombie Warszawy, o niezłomnej postawie ludności wobec najeźdźców. Współczucie i podziw wzmożone zostały poczuciem własnej bezsilności w udzieleniu pomocy.

Przyszły wiadomości o walkach Polaków w Norwegii i Francji. Wreszcie, po katastrofie francuskiej, w chwili śmiertelnego niebezpieczeństwa jakiego Imperjum nie doznało od czasu swego powstania, przybyli na tę ziemią Polacy, jako jedyni w większej liczbie sojusznicy, przyszli niemal wszyscy jako żołnierze by dzielić los Anglii, by dzielić jej niebezpieczeństwo. Nie można dostatecznie podkreślać znaczenia, nie tyle nawet militarnego ile moralnego, tego faktu. Dla Brytyjczyków upartych i wytrwałych ale dostępnych zwątpieniu wobec katastrofy tych rozmiarów, ten akt wiary Polaków musiał być silnym wstrząsem.

Wstrząs ten przerwał ostatecznie obojętność i podniósł wzrastającą już poprzednio temperaturę sympatji dla Polaków w sposób, którego nie byłyby mogły spowodować żadne wysiłki ani mniejszej wagi wydarzenia. Polacy z dnia na dzień stali się pupilami opinii i mimo wielu dystrykcji wojennych pozostali nimi niepodzielnie przez rok. W społeczeństwie o zainteresowaniach przeważająco wyspiarskich lub zamorsko-kolonjalnych powstała nagle już nie tylko konjunktura ale wręcz głód wiadomości o Polsce i o Polakach. Prasa, radio, ilustracja i film w okresie tym łapały najblizsze wydarzenia z Polakami związane, wyolbrzymiając je i nadając im rozgłos mogący zaspokoić nagle rozbudzoną, życzliwą sympatję, przechodzącą nieraz w entuzjazm.

Co w tych warunkach było naszym naturalnym obowiązkiem? Postawienie tego pytania wydawałoby się może zbędnem, gdyby nie pewne przydługie na ten temat prasy polskiej rozhowory. Przecież nawet Ksawery Pruszyński, który zarówno przez swój talent jak i przez małość swych przeciwników zdobył wpływ ogromny na umysły młodzieży emigracyjnej, wysunął swego czasu hasło „learn English“!

Podpisuję się oburącz pod każdym wezwaniem o wykorzystanie wszystkich wolnych chwil dla zapoznania się z wspaniałą i tak mało nam jeszcze znaną kulturą tego kraju. Jestem przekonany że przejście jak największej liczby Polaków przez szkołę brytyjską dałoby znakomite wyniki przedewszystkiem dla kultury naszego współżycia i poprawy obyczajów politycznych. Boleję nad tem, że tak wielu z nas zamiast zachłystywać się nowością jaka nas zewsząd otacza, pozostaje na nią ślepych i głuchych oraz, co gorsza, niemych, zamykając się jak w ghetcie w polskim światku emigracyjnym. Oczywiście więc „learn English“, ale przecież dopiero na drugim miejscu, dopiero w chwilach wolnych od obowiązku, któremu na imię: „Teach Polish“. Bądź co bądź, nie przyjechaliśmy tu jako stypendyści.

PROPAGANDA TOTALNA

Utarło się w Polsce jeszcze przed wojną składanie odpo wiedzialności za wszystkie ujemne opinie zagranicy o nas, na niedostateczność naszego aparatu propagandowego. Ilekroć pojawiały się głosy lub wydawnictwa krytykujące nasze postępowania, czyto dlatego, że było ono rzeczywiście niewłaściwe, czy też dlatego tylko że było ono nie na rękę dążeniom poszczególnych mocarstw, tyle razy w Polsce podnosił się chór głosów wołających: „a gdzie nasza propaganda!“ Być może, że zdolności propagandowe nie leżą we właściwościach polskiego charakteru, i że właśnie z braku zrozumienia dla tej umiejętności skłonni jesteśmy przypisywać propagandzie magiczną zdolność wybielania spraw w rzeczy samej czarnych lub nadawania rzeczom białym kolorów żądanych przez poszczególne odłamy społeczeństwa. Kto wie jednak czy zarzuty i dziś powtarzane pod adresem naszej oficjalnej propagandy nie wynikają w znacznej mierze z przecenienia jej możliwości.

Wydaje mnie się, że stanowisko ministra propagandy w kraju który zachował pewien stopień wolności słowa i prasy jest stanowiskiem najniewdzięczniejszym z niewdzięcznych. W państwach autorytatywnych urząd propagandy występuje z otwartą przyłbicą a ponieważ posiada faktycznie monopol informowania publiczności, więc zgóry każe się spodziewać że będzie informował w duchu propagandowym. W państwach demokratycznych analogiczne ministerstwo ukrywa się wstydliwie pod nazwą ministerstwa informacji. Ponieważ równocześnie swoboda prasy pozostawia przy życiu cały szereg innych źródeł informacyjnych, więc automatycznie urząd ten staje się raczej ministerstwem ukrywania czy cenzurowania wiadomości niepożądanych, co nie może być zadaniem ani łatwym ani przyjemnym.

W warunkach obecnych w W. Brytanji każdy Polak jest właściwie osobnym ministerstwem propagandy dla swego brytyjskiego otoczenia. Jest nim, co więcej, nie tylko przez to co pisze lub mówi, lecz przez całokształt swego zachowania. Ostatecznie, gdyby nawet nie fakt że Anglicy są—jak to powszechnie wiadomo—narodem empirycznym, szczególnie skłonny po opierania swych sądów na osobistych, bezpośrednich doświadczeniach, nie może dziwić nikogo że oceniają Polaków nie tyle wedle tego co o sobie mówią, lecz przedewszystkiem na podstawie własnych z Polakami doświadczeń. Za propagandę polską zatem jesteśmy odpowiedzialni wszyscy ilu nas tu jest, gdyż tworzymy ją każdym naszym postępkim, w domu, w biurze, w sklepie i na ulicy. Chcąc czy nie chcąc, świadomie czy nie świadomie, stoimy na usługach tej polskiej propagandy totalnej. Jakież są jej rezultaty?

Ogromnie trudno i niebezpiecznie jest wypowiadać wnioski ogólne z konieczności oparte tylko na większej czy mniejszej liczbie obserwacji szczegółowych. Osobiście, w tem co teraz próbuję sformułować, opieram się na dosyć dokładnym, półtorarocznym studjum wszelkich poloników w prasie i publicystyce brytyjskiej, na bezpośredniej obserwacji stosunków w Szkocji i w Londynie oraz na wynikach podobnej obserwacji innych. Rzecz jasna, że wnioski powyższe z tej, zawsze jeszcze nie dość głębokiej perspektywy w całej rozciągłości mogą być dyskutowane i kwestionowane.

W dążeniu do wprowadzenia pewnego ładu w te rozważania, będę omawiał poszczególne sfery naszej totalnie—propagandowej działalności w następującej kolejności: propagandę związaną z naszym udziałem w wojnie, propagandę wynikającą z ogólnego zachowania się Polaków poza placem boju, wreszcie propagandę w ścisłym tego słowa znaczeniu.

•

Najważniejszą i bez żadnego porównania najcenniejszą propagandą w czasie wojny jest udział we wspólnym wysiłku zbrojnym.

Na udział nasz składają się wojna w Polsce, walki Polaków poza Polską i zachowanie się kraju pod okupacjami.

Udział Polaków w walkach na obczyźnie, w Norwegii, Francji, Afryce, formowanie się wojska w Rosji i na Bliskim Wschodzie, wyczyny lotnictwa i marynarki, to najmocniejsza i wiecznie żywa karta naszej propagandy, ciągle aktualna i bezsporna legitymacja do wielu naszych wystąpień, które bez niej byłyby trudniejsze lub mniej skuteczne. Często zadajemy sobie pytanie czy obecny udział Polaków w wojnie jest dostatecznie znany, czy opinia sojusznicza jest w wystarczającym stopniu informowana o naszych osiągnięciach, zwłaszcza w marynarce wojennej i lotnictwie. W pierwszym wypadku dużą przeszkodą jest tajemnica, która otacza ruchy floty i zgodnie z tradycjami tej wspaniałej broni brytyjskiej jest przestrzegana może nawet ściślej od innych tajemnic wojskowych. Jeżeli chodzi o lotnictwo to na ogół wiadomości jest sporo a prymat lotników polskich w kołach fachowych jest powszechnie uznany. Spotkałem Czechów, Amerykanów, Anglików i Niemców, którzy zgodnie to potwierdzili.

Nie ulega żadnej wątpliwości że mamy dziś, podobnie jak mieliśmy przed wiekami, opinię narodu odważnego i zdolnego do najwyższych poświęceń w boju. Jest to w czasie wojny atut niesłychany; wielu z nas sądzi że wystarczający. Wielu z nas czytając lub słysząc z ust sojuszników o bohaterstwie Polaków uspokaja się co do przyszłości: „szanują nas i doceniają, jest dobrze“! Niestety uznanie dla bohaterstwa Polaków to jedna sprawa a zrozumienie powojennych potrzeb Polski to sprawa całkiem inna. Indyjskie szczepy Sikhów i Gurkhów słyną w całym świecie z rycerskiej odwagi, czy jednak wpływa to na sumę przyznanej im samodzielności politycznej?

Wkład krwi polskiej w ciągłych bojach na lądzie na morzu i w powietrzu, poza tem że przyczynia się do zwycięstwa militarnego jest bezcennym atutem politycznym i propagandowym, przedewszystkiem przez to, że jak taran robija stare uprzedzenia, porywa masy, wywołuje zainteresowanie a więc stwarza konjunkturę, którą trzeba ustawicznie i usilnie wypełniać żywą treścią wiedzy o Polsce i jej potrzebach. Pamięć o wysokości cenie jaką płacimy za tę usługę, powinna dniem i nocą alarmować poczucie odpowiedzialności tych którzy do politycznego eskontowania tej ofiary są powołani!

Niezłomna postawa kraju na ogół jest należycie doceniana w opinii brytyjskiej a stwierdzenie że w Polsce niema Quislinga nabrało już charakteru sloganu. I tu jednak nieraz słyszy się zdanie że nasilenie publikowania odnośnych wiadomości jest za małe. W porównaniu z kilku innymi krajami, w których ucisk jest bez porównania mniejszy, wiadomości o warunkach istniejących w Polsce są może nie dość liczne, nawet przy uwzględnieniu faktu, że wobec nowych teatrów wojny, informacjami o przesładowanej Europie nieco trudniej zainteresować publiczność.

Może zachodzi tu ze strony polskiej ostrożność nieco przesadna. Dość często—o ile wiem—powstrzymujemy się od publikowania wspaniałych i dziennikarsko niezwykle efektownych szczegółów z działalności konspiracyjnej kraju, w słusznej obawie, by samej sprawie nie zaszkodzić. Czy jednak nie dałoby się uniknąć tego niebezpieczeństwa przez drobne zmiany stanu faktycznego? Przecież publiczności brytyjskiej jest dość obojętne czy rzecz dzieje się w Podwoleczyskach, Kaliszu czy Tomaszowie bo są to dla niej pojęcia jednakowo puste, żadna jest jednak wiadomości o życiu podziemnym Polski, tembardziej że jest to coś co chyba leży całkowicie poza sferą jej własnej tradycji i wyobraźni. Sądzę, że dużo dałoby się tu poprawić przy nieco większej z naszej strony inwencji.

Przechodzę do omówienia niezmiernie trudnej do uchwycenia oceny ogólnego wrażenia jakie wywołuje w tym kraju zachowanie się

Polaków. . . . Wszelkie uogólnienia w tej dziedzinie, są rzecz jasna, szczególnie niebezpieczne.

Po raz pierwszy spotkałem się z tem zagadnieniem w wojsku. Przyznam się, że nie bez niepokoju oczekiwałem wyników początkowych doświadczeń. Wobec bezsprzecznej różnicy poziomu cywilizacyjnego większości obu społeczeństw oraz nieprzyzwyczajenia tubylców do cudzoziemców, pierwsze zetknięcia mogły wywołać trudności. Trzeba też wziąć pod uwagę, że przybyło na tę wyspę wojsko, na którego morale dwie kolejno przeżyte klęski i ewakuacje nie mogły pozostać be wpływu ; wojsko złożone z mieszaniny elementu krajowego z emigracyjnym, elementu bezsprzecznie bojowego, który jednak przeszedł już wiele krajów, wiele doświadczeń, wiele internowań i wszystkie szkoły od nadwiślańskiego „kantu“ do nadsekwaniańskiego „débrouillardyzmu“ włącznie.

Rzeczywistość na szczęście zaprzeczyła jaknajdobitniej tego rodzaju obawom. Przyjęcie ze strony ludności miejscowej, podwójnie serdeczne w kontraście do dosyć obojętnej publiczności francuskiej, otwarte dla żołnierzy polskich domy i serca Szkotów wszystkich warstw, wywołały jako reakcję od pierwszej chwili dążenie do jaknajgodniejszego reprezentowania narodu którego imię, jak o tem wielu—zwłaszcza tych z emigracji—po raz pierwszy się przekonało, stanowiło tak znakomitą legitymację. Wojskowi polscy wszystkich stopni w tym pierwszym okresie zachowali się bez zarzutu ; poza dość powszechną w tej początkowej fazie sielanki polsko—szkockiej tendencją do przedłużania sobie urlopów i „przepustek“, nie popełniano właściwie żadnych wykroczeń ani niewłaściwości, fakt który niejednokrotnie, nie bez zdumienia, podkreślali funkcjonariusze brytyjscy wojskowi i cywilni, porównując nas niezmiernie pochlebnie z innym żołnierzem aljanckim a nawet z żołnierzem własnym.

W ten sposób pierwsze i najważniejsze wrażenie z zetknięcia z Polakami było jaknajlepsze. Dalszy rozwój niewiele je popsuł, mimo, iż w miarę osvajania się z terenem zaczęły zdarzać się niewłaściwości i to często właśnie ze strony tych kół, od których więcej się wymaga ; przyszła epidemia wypadków drogowych, zdarzyło się kilka poważniejszych burd, na ogół bardzo taktownie przez prasę potraktowanych. W sumie są to jednak drobiazgi i sędzę iż Polacy tak wojskowi jak cywilni, jeżeli abstrahować od paru błahych spraw sądowych, zasłużyli na dobrą notę z zachowania.

Oczywiście nie brak na tym obrazie pewnych plam. W szczególności sposób dotrzymywania przez nas przyrzeczeń a zwłaszcza terminów odbiega dość znacznie od odpowiednich zwyczajów brytyjskich. To samo można powiedzieć o narodowym nałogu nie odpowiadania na listy—znam conajmniej jedno ministerstwo emigracyjne, które też nie odpowiada a w Polsce znałem ich kilka. Są to rzeczy przykre i niepotrzebne ale w sumie niemiarodajne, zwłaszcza że wyrównane szeregiem uznanych już zalet. Przykładem bystra obserwacja któregoś z polityków brytyjskich współpracujących z Polakami, który stwierdził że Polacy tylko około 25% swych wysiłków i zajęć poświęcają pracy produktywnej; przyznał na jednak że wyniki osiągnięte tym ułamkiem są dość znaczne.

Za bardzo jasną stroną naszych poczynań uznać trzeba propagandę artystyczną. W wyniku tych wysiłków, wśród których prymat trzeba chyba przyznać chórowi wojska polskiego, zainteresowanie Polską zostało podtrzymane i pogłębione.

Z punktu widzenia narodowych i państwowych interesów Polski działalność ta nie jest oczywiście jeszcze celem lecz środkiem do celu. Toruje ona drogę zainteresowaniom trwałym. Pobudza wyobraźnię publiczności w sposób sprzyjający przyjmowaniu bardziej konkretnej ale też bardziej suchej strawy propagandowej.

Wystawy nasze i filmy krótkometrażowe przedstawiają Polskę przeważnie

jako kraj tańców i śpiewów, kraj wieśniaków bosych lecz widocznie w swym ubóstwie szczęśliwych. Łączy się z tem niebezpieczeństwo utrwalenia obrazu Polski jako jakiejś egzotycznej „Ruritanji“, dalekiej od współczesnej rzeczywistości, nie realnej jeżeli chodzi o przyszłą współpracę. Tym co widzieli zóbnickiego, wesele łowickie i zdjęcia z Tatr, trzeba teraz mówić o reformie rolnej, o osiągniętym postępie społecznym, przedewszystkiem jednak o potrzebie kapitałów i uprzemysłowienia. Jak dotąd informacja artystyczna o Polsce była prawdopodobnie najsilniejszą stroną naszej propagandy, informacja gospodarcza jej stroną najsłabszą. Czas usunąć tę dysproporcję, która zresztą mogła być uzasadnioną w początkach. Lżejsze formy propagandy musiały siłą rzeczy wyprzedzać okres dostarczania publiczności konkretnej wiedzy o Polsce. Jedna rzecz drugiej nie wyklucza, raczej uzupełniają się one wzajemnie.

Wzorem może tutaj być propaganda sowiecka która wspaniale wyzyskuje falę wysokiego przyływu entuzjazmu dla Rosji. Rosyjskie utwory dominują w tej chwili w muzyce stolicy, rosyjskie tematy w teatrze i filmie; równocześnie jednak w rozlicznych brytyjsko rosyjskich związkach i stowarzyszeniach przyjaźni wygłasza się tysiące przemówień; równocześnie kraj zalewany jest drukowaną propagandą polityczną.

Także jednak na tematy polskie konjunktura nadal trwa. „Warsaw Concerto“ uznano za najpopularniejszą melodję roku; tematy polskie przewijają się przez film i teatr choć w niezawsze szczęśliwym ujęciu, co zresztą nie powinno dziwić skoro nie pochodzą one od polskich autorów (Dlaczego, nawiasem mówiąc, żaden spośród kilku wybitnych pisarzy polskich nie opracował dotychczas polskiego tematu dla publiczności anglosaskiej?) Nawet w filmie niepolitycznym słynna gwiazda gra Polkę i stara się mówić po polsku. Zainteresowanie nie wygasło, choć „boom“ przeszedł. Niema jeszcze nic straconego poza czasem który upływa bezlitośnie.

Propaganda czysto polityczna wyróżnia się nie tylko tem że zmierza wprost do wytyczonych celów, podczas gdy inne formy propagandy ograniczają się do wzbudzenia zainteresowania czy wywołania przychylniej atmosfery, ale także i tem, że przeważnie tylko wtedy spełnia swe zadanie gdy pada na grunt już przygotowany. W tej dziedzinie mówimy i publikujemy dość dużo. Są broszury o Gdańsku, o Śląsku, o kresach wschodnich a także o polskim postępie społecznym, jak zawsze najmniej o gospodarczym; wydajemy po angielsku dwa dość poważne dwutygodniki. Wątpliwości mogą powstać nie tyle co do poziomu tych wydawnictw ile co do tego czy dostateczna ilość osób je czyta.

Większe nierównie znaczenie miałyby głosy o sprawach polskich w poczytnych, zdawna wprowadzonych periodykach brytyjskich. W tej dziedzinie sytuacja nie przedstawia się pomyślnie a tego rodzaju głosy jak artykuły Voigta w „Nineteenth Century“ niestety należą do rzadkich wyjątków na tle niepokojąco małego poparcia okazywanego przez prasę sojuszniczą dla tych postulatów i żądań powojennych, które nawet najbardziej umiarkowana opinia polska musi uważać za minimalne.

CIENIE PRZESZŁOŚCI

Propaganda polityczna czyli przekonywanie opinii publicznej do pewnych tez musi się liczyć z poprzednim stanem tej opinii.

Wiemy wszyscy, że nie dawną przeszłość polityczną Polski w oczach opinii brytyjskiej obciążają pewne „gravamina“ Wystarczy wymienić przykładowo tego rodzaju częścię wpływające sprawę jak: marsz Żeligowskiego na Wilno, pacyfikację Małopolski, rozbicie systemu parlamentarnego, przesładowania polityków opozycji, ekscesy antyżydowskie. Niektóre z tych zarzutów są głęboko zakorzenione, inne, jak na przykład zarzuć sprowokowania

wojny z Rosją w r. 1920, mają charakter konjunkturalny a źródło w wydarzeniach najświeższej daty. Nie wchodzę w tej chwili w to w jakim stopniu zarzuty te są obiektywnie słuszne i jaką rolę w ich powstaniu oraz nasileniu odegrała nieznamość warunków polskich. Faktem jest że zarzuty te istnieją w świadomości społeczeństwa że wy wpływają od czasu do czasu, kładąc złowroźny cień na dyskusje o sprawach polskich. Komuż z Polaków mogłoby zależeć na ich przypominaniu ?

A jednak znaleźli się między nami tacy, którzy zdołali wskrzesić widmo polskiego antysemityzmu i to w sposób bardzo skuteczny ! Mało kiedy chyba przy użyciu tak skromnych środków osiągnięto tak znaczne rezultaty ! Kilka numerów pisemka „Jestem Polakiem“ dążącego do „przestrzeżenia“ kilku tysięcy czytelników przed niebezpieczeństwem żydowskim, zdołało przestrzedz miliony publiczności brytyjskiej przed niebezpieczeństwem nietolerancji polskiej ; dostarczyło znakomitej sposobności aby to wszystko co przez lata całe na ten temat przeciwko Polsce napisano i powiedziano, a co przed majestatem wielkości i bohaterstwem cierpienia musiało umilknąć, wydobyć z zapomnienia, odświeżyć i zaprezentować publiczności w nowej szacie aktualności. Przez przeciąg szeregu miesięcy na szpaltach prasy tego kraju miejsca przeznaczone dotychczas dla wiadomości o osiągnięciach lotników polskich czy dla wiadomości z kraju zajęły informacje o poczynaniach grupy młodych polskich „żydożerców“. W prasie i w parlamencie zastanawiano się nad tem czy rząd polski jest dostatecznie silny aby ukrocić te poczynania. Trzeba pamiętać że mówiono tu o rządzie, który okazał się dość silnym aby na odległość setek tysięcy kilometrów, bez jakichkolwiek środków presji materialnej, bez możliwości nawet jawnego komunikowania się, nieprzerwanie i niepodzielnie sprawować, rząd dusz trzydziestomiljonowego narodu ! Jakież fatalne i ohydne są te dysproporcje ! A przecież nasi narodowcy wychowują swoją młodzież w sekcjach „żydoznawstwa“. Cóż sądzić o poziomie tej wiedzy, która nie zdołała nawet przestrzedz swych elewów przed nasileniem wpływów żydowskich w prasie brytyjskiej ani ostrzedz ich przed wynikającymi stąd skutkami.

Tyle, jeżeli chodzi o przywoływanie do życia jednego z upiórów naszej przeszłości.

Okazuje się jednak, że upiory można wywoływać nie tylko przez to że się je wskrzesza ale także przez to że się je zaklina. W tej sztuce celuje zupełnie inny odłam naszej emigracji.

Mówiono przed wojną, że każdy Polak z chwilą wyjazdu zagranicę staje się automatycznie propagandzistą. Broni i zastania wobec cudzoziemców to wszystko co w kraju nieraz zam potępiał lub zwalczał. Może było w takim postępowaniu trochę przesady, nie sądzę jednak aby nie było ono podyktowane poczuciem pewnej godności narodowej oraz solidarności z krajem, którego każdy z nas z chwilą przekroczenia granicy czuje się ambasadorem.

Wydaje się, że obyczaje te w dużym stopniu poszły w zapomnienie przez tych wszystkich spośród nas—którzy, dla tych czy innych względów uważają za wskazane potępianie wobec naszych gospodarzy tego wszystkiego co w Polsce działo się przeciw nim czy też tylko bez nich. Sam fakt, że naczelne stanowiska polskie zajmują obecnie ludzie przedtem odsunięci lub nawet prześladowani stwarza chyba dostateczny dystans w stosunku do błędów popełnionych przez rządy poprzednie. Komu i na co mogą być dziś potrzebne dalsze rekryminacje na te tematy ?

W razie dyskusji na tematy polityki wewnętrznej polskiej możnaby próbować tłumaczyć mieszkańcom tej szczęśliwej wyspy, że w ostrzejszym klimacie kontynentu, w perspektywie ustawicznego, bezpośredniego zagrożenia z zewnątrz, wiele spraw przeżywa się goręcej i bardziej nerwowo. W wypadku dyskusji o polskiej polityce zagranicznej przed wojną możnaby może dyskretnie napomknąć, że do bardzo niedawna wielka część opinii

Zachodu przekonana była że celem Hitlera a więc także przyczyną wojny może być tylko polski „korytarz“, który zdaniem jednego z mężów stanu „nie był wart kości jednego brytyjskiego żołnierza“. Wyobrażam sobie, że możnaby dyskutować o tych zagadnieniach w tego rodzaju płaszczyźnie; możnaby też nie poruszać ich wcale.

Dlaczego Czesi nie piszą o niektórych rozdziałach swojej polityki? Dlaczego nie czynią tego Jugosłowianie? Nie można powoływać się na to, że Anglicy krytykują postępowanie rządu Chamberlaina, gdyż są oni bądź co bądź w nieco szczęśliwszej od nas sytuacji i przedewszystkiem są u siebie w domu.

Będzie dość czasu i u nas w domu na ustalenie odpowiedzialności, na ustalenie źródeł i przyczyn klęski. Nie obawiamy się, że sprawy te pójdą w zapomnienie, są one na to zbyt wielkie i zbyt bolesne. Głębokie rany zadane godności narodu nie przyschną. Wojna przerywa bieg przedstawienia.

Podtrzymywanie polskich sporów wewnętrznych w chwili obecnej ma jeszcze i ten fatalny skutek że wzmacnia wśród Polaków w tym kraju nastrój niezadowolenia i swarów, który pośrednio i bezpośrednio przenika do społeczeństwa brytyjskiego. Społeczeństwo to, widząc te nastroje, widząc nasze rozproszenie na grupy i grupki polityczne, z których każda koniecznie musi mieć swój własny organ prasowy, widząc tę powódź zmarnowanego papieru, w której toniemy, musi stawiać sobie pytanie jakie są zdolności polityczne narodu który nawet w tak małym gronie tak źle z sobą współżyje, jakie są jego zdolności do kompromisu.

Emigrancka pasja brania na papier nie tylko wszystkiego co komukolwiek kiedykolwiek przyszło na myśl ale w szczególności także wszystkich wzajemnych zarzutów, odpowiedzi na zarzuty i odpowiedzi na odpowiedzi, doprowadziła do tego że wydajemy chyba z dziesięć razy tyle po polsku co po angielsku. I znowu trzeba się zapytać: poco?

CZYNNIKI ZEWNĘTRZNE

Nie można oczywiście zapominać o tem że stosunek do Polaków nie kształtuje się wyłącznie pod wpływem postępowania samych Polaków. Wydarzenia ostatniego roku raz jeszcze wymownie przypominały, że stosunek ten jest w znacznym stopniu funkcją stosunku do naszych sąsiadów.

Szersze omówienie postawy opinii brytyjskiej wobec Niemiec czy Rosji wykracza poza ramy tego tematu, w którym chodzi jedynie o wyniki naszej własnej działalności.

Stosunek do Niemiec i Niemców kształtować się będzie przedewszystkiem pod wpływem ogólnego kierunku polityki międzynarodowej tego kraju. Gdyby miały w niej odżyć stare tradycje utrzymywania równowagi na kontynencie, analogiczne do okresu po ostatniej wojnie, w takim razie nie można całkowicie wykluczyć, że na łagodniejsze traktowanie Niemców wpłynie chęć zbalansowania w ten sposób drugiego mocarstwa na kontynencie, którego miejsce opróżnione przez Francję, zapewne zajmie Rosja. Możliwości takiego rozwoju są do pewnego stopnia ułatwione brakiem nienawiści do narodu niemieckiego ze strony Brytyjczyków, zjawiskiem, które zawsze na nowo zdumiewa nawet tych przybyszów z kontynentu, którzy dokładnie zdają sobie sprawę z wagi i zasięgu dawnych wielostronnych i wielorakich związków pomiędzy oboma narodami. Doświadczenie agresji niemieckiej na własnej skórze, wyniki bombardowań niewiele tylko i raczej przemijająco wpłynęły na zaostrenie stosunków do Niemców.

Wiąże się z tem zjawiskiem jedna ważna nauka dla naszej propagandy. Informowanie o okrucieństwach niemieckich w Polsce, które często spotyka się z niechęcią kół polskich, jako monotonna propaganda cierpiętnictwa, podobno nawet uwłaczająca naszej godności narodowej, potrzebne jest dla dostarczania argumentów tym czynnikom brytyjskim które walczą

o ugruntowanie przekonania, że liczba t.zw. dobrych Niemców jest zbyt nieznaczna i niewidoczna, aby można na niej budować jakiegokolwiek nadzieje na przyszłość powojenną.

Wspomniany już, obecny entuzjazm prorosyjski u wielu z nas budzi pewne zaniepokojenie. Sądzę że obawy te są może przesadne. Na nasilenie sentymentu dla Rosji składają się dwa czynniki—zupełnie zrozumiałe i uzasadnione uznanie dla udziału Rosji w zwalczaniu Niemców a zatem moment trwający tylko do chwili ukończenia działań wojennych oraz zachwyt dla osiągnięć społecznego ustroju Rosji, który w znacznej mierze polega na nieporozumieniu, podtrzymanym przez propagandę, także więc nie może mieć trwałego charakteru. Nie ulega wątpliwości, że najczerwieńszy Anglik po poznaniu rzeczywistości rosyjskiej nie będzie pragnął jej naśladować a tem samem przestanie ulegać wpływom sowieckim w takich rozmiarach przynajmniej w jakich ulega im obecnie. Każde bliższe, bezpośrednie zetknięcie tych dwu społeczeństw ujawni różnice mało widoczne obecnie na odległość i w obliczu wspólnego niebezpieczeństwa.

Niektórzy z nas chcieliby aby Polacy przyczyniali się do przyspieszenia tego rozwoju, aby przybywający do Anglii lotnicy polscy z Rosji zaczęli mówić o swoich doświadczeniach. Nie sądzą aby to było możliwe a tem mniej aby było celowe. Sądzą natomiast, wbrew pozorom chwili bieżącej, że z dwojga niebezpieczeństw jakie dla naszej przyszłości przedstawiają odchylenie filorosyjskie i filoniemieckie w opinii brytyjskiej, to ostatnie jest większe i posiada głębsze podłoże.

Stosunek do spraw polskich wkońcu pozostaje także pod wpływem kształtowania się poglądów na przyszłość organizacji europejskiej. W tej dziedzinie możliwości oddziaływania z naszej strony są bodaj największe. Tutaj widzę szansę odrobienia błędów i zaniedbań dziesiątków lat w najkrótszym czasie. Wypracowanie i wysunięcie przez Polaków przekonującej, jasnej i szerokiej koncepcji przyszłości, przynajmniej w naszej strefie kontynentu, wyrwie sprawy polskie z ciasnego kąta partykularyzmu czy nacjonalizmu, w jakim umieszczają je niektórzy z naszych sojuszników, zapewni nam poważny głos w przygotowywaniu przyszłości i wreszcie, może przyczynić się do tego że przyszłość ta będzie lepsza.

ZYSKI I STRATY

Spróbujmy, na zakończenie, zestawić zyski i straty tej naszej dwuletniej ofensywy o zdobycie brytyjskiej opinii publicznej. Pojęcie strat będzie tu zresztą bardzo względne. Wobec poprzedniego nader skromnego stanu posiadania i punktu wyjścia niezbyt dalekiego od zera, należałoby zamiast strat mówić raczej o „utraconych“ t.zn. o nieosiągniętych a możliwych do osiągnięcia zyskach.

Dzięki pobytowi wielkiej liczby Polaków w tym kraju oraz w wyniku ich działalności, Polacy stali się bez porównania bliżsi społeczeństwu brytyjskiemu niż byli przedtem, a sprawy polskie uzyskały jedno z lepszych miejsc w hierarchji brytyjskich zainteresowań. Stan ten przedstawia bardzo poważną i głęboką zmianę w stosunku do sytuacji poprzedniej.

Zachodzi duża dysproporcja między stosunkiem do Polaków i stosunkiem do Polski. Lubią na ogół i wysoko cenią Polaków za ich odwagę, przedsiębiorczość i zdolności indywidualne; mniej za zdolności polityczne. Sympatja do Polski jako państwa, zrozumienie jej potrzeb i problemów jest bez porównania mniejsze.

Na ujemną stronę tego obrazu składają się przyczyny związane z naszym postępowaniem oraz przyczyny zewnętrzne. Do pierwszych trzeba zaliczyć—obciążenia przeszłościowe, oraz niejednokrotnie obecnie demonstrowany brak zdolności do harmonijnego współżycia; do drugich—wpływ wahań w ustosunkowaniu się do Niemiec, Rosji oraz zagadnień przyszłej organizacji europejskiej. Niewątpliwie robimy dużo w kierunku antyniemieckim;

argumenty i fakty przez nas dostarczane są jedną z podstaw odnośnego ruchu opinii brytyjskiej. Zaczynamy wytwarzać własną koncepcję organizacji europejskiej w postaci nieśmiałego jeszcze narazie i mało skonkretyzowanego programu Europy środkowo wschodniej. W tej sferze zdają się leżeć największe możliwości skutecznej polskiej ofensywy propagandowej.

Czy to zamknięcie dwuroczne, które starałem się naszkicować daje saldo dostatecznie dodatnie? Czy nie można było, czy nie trzeba osiągnąć więcej?

Sądzę że tak i dlatego napisałem ten artykuł. Napisałem go także dlatego, ponieważ nie sądzę aby odpowiedzialność za przyszły obrachunek z działalności emigracji polskiej obciążała tylko czynniki kierujące. Jestem przekonany, że będzie to odpowiedzialność zbiorowa.

KRZYSZTOF EYDZIATOWICZ.

RADIO.

Wiele osób nie uświadamia sobie dostatecznie faktu, że równowaga życia zbiorowości ludzkiej została w ciągu ostatnich kilkudziesięciu lat niepokojąco zachwiana przez stale przyspieszające się tempo rozwoju cywilizacji materialnej. Kilka dat najlepiej wykazuje wspomniane przyspieszenie: epoka cywilizacji ugruntowanej i rozpowszechnionej słowem drukowanym zaczęła się z chwilą wynalezienia druku, tj. w połowie XV wieku. Przez blisko 400 lat narastały zdobycze wiedzy i nauki, zwłaszcza w dziedzinie materialnej, ale życie ludzkie układało się po dawnemu, spokojnie, wolno. Z szybkością maksymalną galopującego konia, którego zaczynała doganiać pierwsza lokomotywa, pędząca z zawrotną szybkością aż 20 km na godzinę. A potem w ciągu około 50-ciu lat, a więc w czasie jednego życia ludzkiego, wprowadzono w powszechne użycie telegraf, telefon, maszynę rotacyjną, samochód—wreszcie wynaleziono kino, radio i samolot, które już za naszego życia weszły prawie równocześnie do codziennego użytku.

W rezultacie, a zwłaszcza dzięki rozwojowi prasy, kina i radia, tempo życia otaczającego nas przyspieszyło się zawrotnie, a przemiany, które dawniej odbywały się na przestrzeni kilku pokoleń, odbywają się dziś w ciągu kilku zaledwie lat. Wielu mężów stanu i sztabowców, od których przeciwny człowiek żąda wszechwiedzy i nieomylności, nie uzmysławiało sobie tej szybkości przemian zachodzących we wszystkich dziedzinach życia, w których żyjemy, prócz w nas samych.

Ludzie żyją nadal rytmem nakazanym przez przyrodę, pomimo wynalazków technicznych są nadal dwunożnymi ssakami, serca ich biją nadal tym samym rytmem co tysiąc lat temu. Mózg ludzki, w którym lęgną się najwspanialsze i najgorsze myśli niema nieograniczonej pojemności, zależny jest bowiem w swych funkcjach od ustroju organizmu ludzkiego, a organizm ludzki pozostał niezmienny. Natomiast ilość wrażeń odbieranych zwiększyła się tysiąckrotnie. Nikt dziś niczemu nadażyć nie może. Nie sposób przeczytać całej prasy i druków, którymi każdy jest zasypywany. *Jakże często słyszy się skargi ludzi zajmujących odpowiedzialne stanowiska, że nie mają dosyć czasu na przeczytanie tego wszystkiego, co przeczytać powinni.* Wszyscy wołają o syntezę, a specjalistów od syntetycznego ujmowania zagadnień jest bardzo mało. Ludzie coraz mniej wiedzą o wszystkim, bo ich horyzont myślowy nie jest w stanie objąć nawet drobnej części stale i szybko narastającej wiedzy ludzkiej. W rezultacie przeciwny człowiek chcąc coś nie coś wiedzieć o wszystkim—nic nie wie o niczym. . . . Powtarza gotowe formułki przeczytane pośpiesznie w prasie lub

wysłuchane jednym uchem w radio. Nieraz cieszy się lub smuci wiadomościami, których znaczenia nie rozumie i które właściwie nie mają żadnego wpływu na jego życie.

Jadąc samochodem zbyt szybko, przestajemy reagować na piękno krajobrazu i choć go widzimy, nie utrwała się on w naszej pamięci. Piękny fragment ucieka w dal za nami i brak nam czasu na przyjrzenie się mu dokładnie, na porównanie go z innymi dawniej widzianymi. Zwiększając jeszcze szybkość, kierowca dochodzi do niebezpiecznego momentu: nim zdola sobie uświadomić sytuację, ku której pędzi i zareagować odpowiednio, już leży w rowie.

Podobne zjawisko obserwujemy dziś w życiu ludzkości. Przyszłość zbliża się błyskawicznie—przemienia się w teraźniejszość trwającą krócej niż mgnienie oka i natychmiast zapada się w przeszłość, która oddala się w zawrotnym tempie, a chłonność i elastyczność selekcji mózgu ludzkiego niewiele się zmieniły od wielu, wielu pokoleń. To też umysł ludzki nie wytrzymuje ciśnienia i szybkości, z jaką teraźniejszość przezeń przepływa.

Powstałe niepokojący dylemat: ludzkość nie ma czasu na spokojne i wszechstronne przemyślenie działań w przyszłości, która szybciej nadchodzi, niż narastają teorie i doświadczenia oparte na badaniu znikającej przeszłości. Okres rewolucji i burzy, który teraz przeżywamy, jest wymownym przykładem tego groźnego stanu rzeczy, a dodać należy, że państwa totalne, drapieżne a tym samym dynamiczne w swym założeniu, świadomie przyspieszyły bieg historii. Wyzyskały bowiem bardzo umiejętnie dla swych światoburczych celów wszystkie wynalazki i zdobycze umysłu ludzkiego, a w pierwszym rzędzie: radio i samolot. To też świat został zaskoczony i dopiero teraz zaczyna pomału i mozolnie odbierać inicjatywę z rąk dyktatorów. Następuje proces hamowania biegu historii, ale jej pęd jest nadal tak wielki, że przerasta możliwości człowieka.

Wydaje się, że dziś wskazanym jest raczej więcej czasu poświęcać na badanie tego co nam mogą dać w przyszłości nowe wynalazki, w szczególności samolot i radio, niż na akumulowanie archaicznymi metodami, doświadczeń przeszłości.

Czy można jednak trafnie przewidywać to, co mogą dać te lub inne wynalazki w przyszłości, jeśli się nie zdola ustalić ich działania dziś i wczoraj? Nie łatwo. A niemniej trzeba. Koniecznym jest zatem bardzo szybkie i skuteczne prowadzenie tych badań. Na to potrzeba jednak zmobilizować sztab fachowców z różnych dziedzin i zapewnić im taką organizację pomocy w pracy, by mogli zadanie wykonać. Istnieją nowoczesne systemy badania i gromadzenia doświadczenia, które gwarantują wielką skuteczność pracy. Ale trzeba jeszcze jednej rzeczy zasadniczej. Śmiałości myśli, która, jeśli ma przewidzieć przyszłość, musi się pozbyć wielu nawyków, przesądów i rutyn, które ją obciążają jak wodorosty kadłub statku wolno płynącego po spokojnych wodach.

Nietylko niektórzy sztabowcy, ale również wielu polityków, publicystów, ekonomistów, socjologów oraz ludzi zajmujących kierownicze stanowiska w krajach demokratycznych, nie zdawało i nie zdaje sobie nadal sprawy z tego, że ludzkość weszła obecnie w nowy okres cywilizacji, w nową erę samolotu i radia, które to dwa wynalazki powodują konieczność gruntownej rewizji poglądów na bardzo wiele dziedzin życia człowieka, narodu i państwa. Właściwie weszliśmy w epokę radia, gdyż najlepiej opracowany technicznie samolot nie byłby w stanie oddać ani jednej dziesiątej tych usług, które dziś oddaje, gdyby był pozbawiony radia.

Wynalezienie i udoskonalenie samolotu wprowadziło do życia zbiorowego ludzkości jakby trzeci wymiar. Przedtem bowiem wszelkie działania jednostek i narodów odbywały się w dwóch wymiarach tj. na powierzchni ziemi lub morza. Człowiek od chwili swego pojawienia się na ziemi był z nią nierozzerwalnie związany, a niepokój odczuwany przez wiele osób

przed lotem, jest wywołany głęboko tkwiącym jeszcze atawizmem. Atawizm ten ginie jednak szybko w młodszych generacjach, dla których samolot nie jest niczym nowym, gdyż huczał już nad ich kołyską i bywał zagłuszany dźwiękami głośnika. . . .

W ostatnich kilkunastu latach wytworzyła się dziwaczna sytuacja: mały Kazio, Józio czy Franio, choć był tylko sztubakiem, więcej wiedział o samolotach, motorach i radio, od swego uczonego dziadka lub ojca, który był np. profesorem, publicystą, politykiem lub generałem. Dla młodych nie ma w fakcie latania lub odbierania audycji żadnego „czarodziejstwa“ ani niczego „nadzwyczajnego“. Dla nich nie są to „zjawiska“, ale rzeczy tak naturalne, jak dla ich rodziców elektryczne oświetlenie lub telefon, a dla ich dziadków kolej lub parostatek.

Badania prowadzone przed wojną przez wszystkie poważne towarzystwa radiofoniczne udowodniły, że naogół ludzie starszych generacji bardzo czynnie umysłowo, a zamieszkali w dużych miastach, wykazywali dla broadcastu zupełną obojętność.

Zjawisko to miało kilka przyczyn, z których najważniejszą była okoliczność, że ludzie ci wyrosli i wychowali się w epoce cywilizacji opartej i rozpowszechnionej słowem drukowanym i nie rozumieli, że z chwilą wynalezienia radia nastąpiła era powrotu żywego słowa do swych odwiecznych praw, chwilowo tylko zawieszonych z powodu zalewu ludzkości słowem drukowanym.

Brak zainteresowania radiem wynikał również stąd, że pierwsze produkcje mikrofonowe były nieudolne i choć początkowo budziły zainteresowanie, nie mogły zadowolić ludzi tego pokroju. Radio szukało wówczas dróg, a program był robiony przez entuzjastów tego wynalazku, rekrutujących się z pośród ludzi wszelkich zawodów, ale głównie z pośród młodszych ludzi nauki, muzyków, ludzi związanych ze sceną oraz z pośród dziennikarzy, którzy wyczuli instynktem, że „radio to wielka rzecz“. Wadliwość audycji wynikała nie tylko z przyczyn technicznych, wynikała ona również stąd, że pionierzy pracy w radiofonii wnosili przed mikrofon doświadczenie i rutynę oraz tradycje, w których wyrosli. A więc: nauczyciele i profesory mimowoli wprowadzali do audycji ton „ex katedra“—nieznosny dla słuchacza, który słucha w zupełnie odmiennych warunkach aniżeli student, lub ktoś kto przyszedł na odczyt. Muzycy odprawiali przed mikrofonem rytuały estrady i sali koncertowej, ludzie sceny traktowali mikrofon jak słuchacza, który widzi, a dziennikarze jakby słuchacz był czytelnikiem. Wykłady były arcynudne (a trwały w owym czasie do 45 minut), nie obejmowały całego zagadnienia. . . . Raziły więc i zwykłego śmiertelnego i uczonego. Muzyka nikogo nie zadawała, nie tylko dlatego, że „źle wychodziła“ na ówczesnych głośnikach, ale również dlatego, że szerszy ogół nie chciał słuchać poważnych utworów, do których zrozumienia nie dorósł, a które zachwycały jedynie grających przed mikrofonem muzyków. Aktorzy czuli się przed mikrofonem, jak to określił zdaje się Węgrzyn, „nago“. Nie ma bowiem przed mikrofonem ani stroju, ani szminki, ani dekoracji. Mimika i gest przestaje być elementem pomocniczym, pozostaje tylko i jedynie głos. . . . Dziennikarze zasypywali mikrofon wiadomościami redagowanymi tak, jakby miały być czytane przez odbiorców, a nie słuchane. Ten sam błąd popełniali i literaci, którzy niejednokrotnie nie mogli zrozumieć, że trzeba rezygnować z kwiecistości stylu na rzecz rzeczowości i że patos w mikrofonie nie jest nigdy wynikiem przenośni poetyckich lub pięknie zbudowanych zdań, dobrze wprawdzie brzmiących, ale pustych w treści. Mikrofon tego nie znosi.

W tych pierwszych latach szukano gorączkowo właściwych dróg i rozwiązań mikrofonowych, a równocześnie radio rozwijało się błyskawicznie pod względem technicznym. Rozwój ten zawdzięcza ludzkość nie kilku wybitnym umysłom, jak to mylnie wiele osób przypuszcza, ale

entuzjastycznej pracy niezliczonych wprost i rozsianych po całym świecie amatorów radia, nie zawsze nawet patentowanych techników. Rozwój radia jest jednym z najwspanialszych przykładów zbiorowej i twórczej, a równocześnie bezinteresownej i anonimowej współpracy tysięcy ludzi, którym przyswiecał jeden tylko cel: najszybszy rozwój radia.

Mijały lata. Radiofonia rozwijała się wspaniale i w ciągu 20-tu lat doszła liczba słuchaczy na świecie do 250 milionów, rekrutujących się przede wszystkim z najszerzych mas, które szybko oswoiły się z odbiornikiem i codziennie korzystały z radia. Mylnie jest twierdzenie, że masy widziały w radio tylko rozrywkę. Masy korzystały z radia, gdyż mogły w ten sposób poznawać nowe dziedziny myśli, rozszerzać swoje horyzonty i zainteresowania oraz poznawać niedostępny dla nich dotychczas świat kultury sfer uprzywilejowanych.

Dzięki radiu stanął otworem przed najszerzymi masami świat dla nich nowy i interesujący, świat o którego istnieniu wielu słuchaczy nawet nie wiedziało. Równocześnie kierownictwa programowe poszczególnych towarzystw radiofonicznych mogły stwierdzić przerażającą otchłań niezajomości ze strony najszerzych mas, bardzo wielu dziedzin nauki, kultury i sztuki, a w szczególności muzyki, literatury i teatru.

Równocześnie liczne, krótkie już pogadanki na tematy związane z nauką lub wiedzą, wydobywały słuchaczy z partykularza i własnych opłotków myślowych. Szerokie rzesze słuchaczy wiedziały o tym i zdawały sobie z tego sprawę, to też nie należy się dziwić, że np. w Polsce dwa radiowe slogany „tak jak chleba, radia trzeba“, oraz „radio w izbie, świat na przyzbic“—powstały na głuchej prowincji i dostały pierwszą nagrodę w konkursie, w którym wzięło udział przeszło 200 tysięcy rodzin.

Istotnie, jeśli ktoś zadał sobie trud poznania całokształtu programów radiowych w różnych krajach, lub choćby np. w Polsce—to musiało go ogarnąć zdumienie bogactwem nadawanego materiału. Program odzwierciedlał bowiem prawie wszystkie dziedziny życia indywidualnego i zbiorowego, wydobywał z życia to co było nowe dla szerokich warstw słuchaczy i wzbudzał ich zainteresowanie, kierowane zgodnie z planem z góry ustalonym.

Ten moment planowego i jednoczesnego skupiania myśli i zainteresowań milionów ludzi na z góry upatrzonych obiektach, jest godny szczególnej uwagi, gdyż stanowi zupełnie nowum w dziejach ludzkości i jest największą, rewelacyjną a zbyt często przecoczną, możliwością mikrofonu w służbie radiofonii publicznej.

Trzeba sobie bowiem uświadomić, że mikrofon daje nieznaną dotychczas w historii ludzkości możliwość jednoczesnego kształtowania zapomocą żywego słowa poglądów, myśli, uczuć, i wyzwalania instynktów zbiorowości przez bezpośrednie oddziaływanie na jednostkę izolowaną, wyodrębnioną ze zbiorowości, ale tworzącą zasadniczą część składową tejże zbiorowości.

Dzięki możliwościom jakie daje fala radiowa, niosąca myśl wyrażoną słowami, znikła przestrzeń dzieląca jednostki, a równocześnie uległ niesłychanemu skróceniu czas upływający pomiędzy chwilą pierwszego wypowiedzenia nowej myśli przed mikrofonem, a jej urzeczywistnieniem w planie materialnym. Okres „inkubacji“ nowej myśli w umysłach najszerzych mas to jest, okres utrwalania się jej w mózгах, uległ skurczeniu bardzo gwałtownemu. I tu właśnie leży przyczyna powodująca w ostatnich kilkunastu latach wspomniane już poprzednio, stale wzrastające przyspieszanie się rytmu życia zbiorowości ludzkiej.

Zrozumieli to przedewszystkim ci, którzy mieli i mają ducha ofensywy, a więc przedsiębiorczy Amerykanie, którzy już w 1915 r. pierwsi zużytkowali radiofonie, jako narzędzie do atakowania konsumenta żywym słowem dla pobudzenia go w celach reklamowych. Drudzy—bolszewicy,

którzy w 1918 r. wykorzystali w mikrofonie niektóre doświadczenia zdobyte przez Amerykanów, następnie faszyści i narodowi—socjaliści, którzy z kolei mogli się już opierać na bogatym doświadczeniu mikrofonowym, zdobytym na całym świecie, wreszcie Japończycy, którzy zawsze skwapliwie i śmiało wykorzystywali każdy obcy wynalazek dla swoich celów.

Umiejętne wyzyskanie radiofonii dało tym, którzy się nią dla swych celów posługiwali, ogromną przewagę w czasie w stosunku do reszty ludzkości. Obserwujemy tu w skali między państwowej i światowej zjawisko analogiczne do tego, które mogliśmy zauważyć codziennie, choćby w Polsce, ale w miniaturze: energiczne i chcące walczyć przedsiębiorstwa, będące na dorobku, zwiększały promień swego zasięgu, a tym samym obroty, stosując najnowocześniejsze metody w urzeczywistnianiu swych zamierzeń. Nie mogły z nimi wytrzymać konkurencji stare firmy, okrzepłe w dobrobycie i tradycji, niepozwalającej na wprowadzanie „nowinek“.

Charakterystycznym w tej mierze przykładem był stosunek starych i młodych firm np. polskich do reklamy wogóle (a więc do propagandy), a do reklamy radiowej w szczególności. Im firma była starsza, a jej kierownik bogatszy w nabyte przed tamtą wojną doświadczenie oraz ustabilizowany życiowo, tem niechętniej się odnosił do nowoczesnej propagandy handlowej i organizacji sprzedaży, a już słyszeć nie chciał o reklamowaniu firmy przez radio. Skutek był bardzo prosty, stara, zasłużona firma „Tuczyn“ na Podwalu w Warszawie zamierała w zapomnieniu, a o kapeluszkach Młodkowskiego wiedziało pół Polski i interes szedł doskonale. . . .

Powyższy, pierwszy z brzegu przykład nasuwa jednak analogię. Na arenie świata widzimy prężne i przedsiębiorcze państwa totalistyczne, widzimy również inne państwa, które bądź to już mają za sobą okres prężności i utrzymują swój stan posiadania—niezawsze zresztą skutecznie—bądź to jeszcze inne, które są na dorobku, ale nie wykazują tej prężności, jaka cechuje organizmy państw totalistycznych. Widzimy również wyniki osiągnięte przez oba obozy. . . .

Państwa totalistyczne, stosując nowoczesne metody, mogły zorganizować wielkie siły emocjonalne i materialne, potrzebne dla urzeczywistnienia swych zamierzeń. Powstaje zatem pytanie: czy ich przeciwnicy, którym przyswieca dobry cel, będą wreszcie w stanie zmobilizować potrzebne do zwycięstwa jeszcze większe siły duchowe i materialne. Wojny obecnej—o ile to co się dzieje, można nazwać anachronicznie „wojną“—nie wygra przecież sama masa sprzętu wojennego, szybko i sprawnie wyprodukowanego, ale wygrać ją mogą tylko ludzie, o ile zdołają również w planie duchowym przeciwstawić niszczącemu siłom Niemiec potężniejsze siły twórcze, dobre.

Proces mobilizowania ducha świata anglo-saskiego, a w szczególności Anglii już się rozpoczął, postępuje jednak wolno, nie można się temu dziwić zwłaszcza jeśli weźmiemy pod uwagę łagodny i spokojny klimat duchowy, panujący na tej wyspie, klimat, w którym brutalność ludzka zwiędła już dawno i nawet psy się nie gryzą między sobą, a ludzie są powolni w reakcjach, cierpliwi i twardzi w znoszeniu ciosów losu.

Pędząca ku nam z zawrotną szybkością przyszłość, kierowana w swym biegu przez Niemcy, zaskoczyła wszystkich pierwszym impetem, który jednak wobec budzenia się świata maleje i będzie nadal mała w miarę wzrastania woli walki ze strony państw mogących stworzyć również w planie materialnym siły zdolne do zniszczenia wroga. Tymi państwami są przede wszystkim Stany Zjednoczone Am.P. i Anglia. Inne państwa, najbardziej dotknięte wojną w Europie stanowią w obecnym układzie sił przede wszystkim potężny akumulator sił duchowych.

Głównym łącznikiem między krajami, które popadły w mroki okupacji

i niewoli—jest radio. Slogan z przed wielu lat : „Tak jak chleba, radia trzeba“ nabiera dziś specjalnej tragicznej wymowy. . . . Niemcy, niszcząc poszczególnych ludzi, nie mogą jednak zniszczyć ducha narodów ciemionych, ducha, który żyje i żyć będzie, bez względu na ilość ludzi zmarłych i zamęczonych.

W obecnych warunkach wojny totalnej—a więc nie tej dawnej wojny „delegatów“ narodów, tj. wojska z takimiż delegatami strony przeciwnej, ale wojny całego narodu zwartego w jeden organizm z innymi narodami—wszelkie prawo ludzkie chroniące poszczególnego człowieka przed gwałtem, zostało przez Niemców odrzucone. W tych warunkach stałe podtrzymywanie ducha mordowanych fizycznie narodów wysuwa się na pierwszy plan i łączy się bardzo ściśle z zagadnieniem mobilizacji duchowej narodów walczących z barbarzyństwem niemieckim.

Posługując się radiem, a więc żywym słowem pełnym myślowej treści, można stworzyć zamknięty dla wpływów niemieckich obwód stale potęgującej się siły duchowej zjednoczonych narodów walczących o ratowanie kultury mordowanej przez cywilizację.

Siły duchowe wyzwalane przeogromnym cierpieniem milionów ludzi na kontynencie docierają do nas, żyjemy w ich stałym codziennym zasięgu. Do emigracji nie tylko zresztą polskiej, należy użytkowanie tych sił dla duchowego zmobilizowania tych narodów, które jeszcze nie dojrzały do walki oraz dla podtrzymywania na duchu tych, które zaczynają słabnąć.

Wychodząc z założenia, że każdy program radiowy, zarówno nadawany w czasach pokojowych jak i wojennych jest i zawsze będzie jedynie odzwierciedleniem klimatu duchowego i możliwości, na które stać środowisko, którego jest rezonatorem, oraz z którego czerpie tworzywo do audycji—należy zastanowić się nad tym czy klimat duchowy programów nadawanych przez alianckie radiofonie jest zgodny i harmonijny z klimatem duchowym, w którym żyją narody uciśnione.

Niestety oba te klimaty nie są odpowiednio zestrojone. A chodzi tu o zasadniczą sprawę: odmienny klimat programów nie tylko osłabia tych, którzy walczą w niewoli i podziemiach, drażni ich a tym samym wzmacnia Niemców, ale dowodzi również, że ogromne siły duchowe tamże się wytwarzające, są po tej stronie marnowane, nie znajdując odpowiedniego oddźwięku.

Dzieje się to z wielu powodów, z których najważniejsze są: niezrozumienie przez wielu ludzi tego, co istotnie dzisiaj świat przeżywa, poza tym pewne lekceważenie wszelkich zagadnień z dziedziny ducha, co z kolei jest wynikiem nieuzasadnionego, ale od wielu lat trwającego i propagowanego zachwyty dla postępu materialnego, który uznano za postęp integralny. Wreszcie z ułomności natury ludzkiej, która jest skłonna do unikania w myślach cudzego bólu. Ale jednym z głównych powodów jest zadziwiająca nieznajomość roli i możliwości, które daje mikrofon.

Wspomnieliśmy przed chwilą, że program radiowy jest wiernym odzwierciedleniem klimatu duchowego środowiska, w którym powstaje. W krajach demokratycznych twórcy programu czerpią tworzywo z całego społeczeństwa, natomiast w państwach totalnych tylko i wyłącznie ze środowiska partyjnego. Chodzi bowiem nie o zadowolenie słuchaczy, ale przede wszystkim o użytkowanie mikrofonu dla propagowania ideologii danej partii.

W obecnych czasach wojny totalnej, prowadzonej z jednej strony przez zwarte organizmy niemieckie i japońskie (które trzeba uznać za „osobników“, „jednostki“ w społeczności narodów), a z drugiej przez miliony ludzi różnych narodowości, z których żadna nie osiągnęła tej zwartości i spistości organizacyjnej, którą mają Niemcy i Japończycy—wypada zakwestionować dotychczasowe metody budowy programu radiowego w radiofoniach alianckich.

Program wojenny powinien być przedstawiony z wiernego rezonatora na narzędzie stwarzania klimatu duchowego potrzebnego, a raczej niezbędnego dla osiągnięcia zwycięstwa.

Z pośród wszystkich krajów alianckich znajdujemy to zrozumienie jedynie w Stanach Zjednoczonych, co jest zasługą Prezydenta Roosevelta, który oddawna bardzo umiejętnie posługuje się mikrofonem, oraz u Wolnych Francuzów, których audycje stwarzają zdecydowany klimat, oczywiście lokalny francuski, wreszcie w Rosji.

W Anglii tego zrozumienia dotychczas nie ma, czego jaskrawym dowodem jest fakt, że Premierowi nie pozwolono przemawiać do mikrofonu wprost ze sali obrad Parlamentu. Nie pozwolono, choć wieloletnia praktyka radiowa dowodzi, że mowy wygłaszane na tle akustycznym, stwarzanym przez audytorium, wywierają na poszczególnych słuchaczach bez porównania większe wrażenie, niż najlepsze nawet przemówienia kameralne, nadawane na tle ciszy studia. Dzieje się to dlatego, że mikrofon chwytą nietylko słowa mówcy, ale i nastrój audytorium, który udziela się wszystkim dalekim i rozprószonym słuchaczom, budząc te same nastroje, emocję i uczucia.

Nie ma tego zrozumienia również u innych europejskich aliantów, którzy nie uświadamiają sobie dotychczas dostatecznie, że obowiązkiem emigrantów będących przedstawicielami narodów uciśnionych, jest dostrajanie klimatu duchowego możliwie największych ilości audycji również angielskich, do klimatu kontynentu, tj. do klimatu bezwzględnej, zawziętej i ofiarnej walki. Trzeba sobie uświadomić, że kontynentalny słuchacz korzystający ukradkiem i z narażeniem życia z emisji radia angielskiego, chwytą nietylko i wyłącznie newsy, ale również fragmenty, lub nawet całe inne audycje. A teraz „wejdźmy w jego buty“ i zobaczymy jaką reakcję wywołuje u kogoś bezustannie trapionego i niepewnego dnia oraz godziny—usłyszenie np. „lekcji tańca“ nadawanej w trzecim roku wojny, która się toczy o śmierć lub życie nietylko narodów kontynentu, ale również Imperium Brytyjskiego. Zobaczymy jak reaguje kontynentalny słuchacz, który słyszy beztroskie wrzaski i dowcipy nadawane jakoby dla rozrywki żołnierzy angielskich, z których przecież wielu będzie musiało oddać życie niedługo. Istotnie, są działy programu B.B.C., które odbiegają od potrzeb rzeczywistości. Jednym z dowodów na to może być zaobserwowane podczas bombardowania Londynu zdumiewające zjawisko: Anglicy słuchali w schronie muzyki z Niemiec. A słuchali dlatego, że angielskie stacje nadające program krajowy (Home Service) poszły sobie spać o północy, a niemieckie radio nadawało muzykę spokojną, melodyjną, bardziej dostosowaną do dzisiejszych czasów, nawet dla angielskiej publiczności.

Mówiąc o tych sprawach spotkać się można ze zdaniem, że naród angielski żąda właśnie takich audycji, jak te, które nadaje B.B.C. i że wobec tego nie można go tych audycji pozbawiać. Może tak jest, nie jest to jednak pewne. Ale czy w wypadku, jeśli ktoś nieświadomy ogromnego wysiłku, jakiego ma dokonać, zażąda np. alkoholu, to powinien go otrzymać? Może go otrzymać od swego kierownika, jeśli ten ostatni albo nie wie, jakie skutki powoduje alkohol, albo jeśli nie wie, jaki wysiłek ma być dokonany.

Ponieważ nie ulega wątpliwości, że kierownicy wysiłku wojennego Anglii doskonale zdają sobie sprawę z powagi sytuacji—przeto można zaryzykować twierdzenie, że zapewne nie doceniają oni należycie roli radia i że właśnie z tego powodu w B.B.C., jak zresztą i w niektórych innych dziedzinach życia w Anglii, pokutuje w trzecim roku wojny duch stosunków przedwojennych. A przecież skoro program B.B.C. jest słyszany w całej Europie, to nie powinien zawierać takich audycji, które osłabiają opór na kontynencie, a równocześnie nie przyczyniając się do popularyzowania

Anglii, nie służą do zwiększenia wysiłku wojennego społeczeństwa angielskiego.

Byłoby niesprawiedliwością pominąć milczeniem objawy pozytywnej pracy B.B.C. na rzecz zwycięstwa—objawów tych jest bardzo wiele i to zarówno w dziale programów przeznaczonych dla publiczności angielskiej jak i w programach przeznaczonych dla narodów kontynentu. Należy się jednak liczyć i to bardzo poważnie z psychologią słuchaczy, którzy zawsze i z reguły długo pamiętają to, co ich w programie uraziło, a przyjmują jako rzecz naturalną wszystko to, co było dobre. I dlatego nawet najlepiej zmontowany i wartościowy program będzie krytykowany jeśli zawiera choćby jedną audycję nieudaną, drażniącą słuchaczy, lub wygłoszoną przez np. niepopularnego prelegenta lub zacinającego się speakera.

Dodajmy, że obecnie, w końcu trzeciego roku wojny, wszyscy odbiorcy programów mają nerwy skołatanе i są z tego powodu nad wyraz wrażliwi na każde niedociągnięcie w odbieranych przez nich audycjach. W tych warunkach każde potknięcie się speakera, niezręcznie wypowiedziana wiadomość, albo patetyczne przemówienie lub słuchowisko wywołują bardzo silne ujemne reakcje, neutralizujące w dużym stopniu pozytywne efekty audycji.

Polski słuchacz w Kraju odbiera audycje radiowe w ogromnym napięciu nerwów. Napięcie to potęguje się jeszcze trudnością uchwycenia treści audycji zamazywanej zaburzeniami. Odbiorca zmuszony jest wytężyć słuch i uwagę do maksimum i jest zadowolony jeśli zdoła uchwycić sens słów. W tych warunkach nadawanie z przeznaczeniem dla Kraju skomplikowanych audycji z efektami akustycznymi lub tak wymodulowanych głosowo, jakby miały być odbierane przez kogoś siedzącego wygodnie i beztrudnie w zacisznym pokoju—wydaje się zasadniczą pomyłką, wynikającą z wielkiej nieznajomości niezmiernie skomplikowanych spraw radiowych, które dla każdego nowicjusza potwierdzają przysłowie, że „im głębiej w las, tym więcej drzew“, o które rozbija się entuzjazm nieuzbrojony w istotną znajomość rzeczy. Tego rodzaju audycje mogą być nadawane, ale dla naszej emigracji wojskowej i cywilnej, rozproszonej po szerokim świecie i o której nie wolno zapominać. Jest mało prawdopodobnym, by ktokolwiek w Kraju mógł mieć za złe, że są nadawane również audycje mające na celu utrzymywanie kontaktu Rządu z emigracją.

Dziś bardziej niż przed wojną potrzebna jest prostota i szczerść wypowiedzi oraz włożenie maksimum treści w minimum słów. Wojenny odbiorca audycji żąda, tak samo zresztą jak przedwojenny słuchacz, przede wszystkim treści, a bezapelacyjnie odrzuca wszelkie audycje słowne, w których kunsztowne formy wypowiedzi i stylu zasłaniają pustkę myślową.

Ogólnie biorąc, dzisiejszy słuchacz jest nerwowy, sceptyczny, nieufny, gorączkowo szuka prawdy, a poza tym interpretuje każdą wiadomość porównyując ją z innymi wiadomościami na ten sam temat, odbieranymi w tak licznych audycjach dostępnych dla każdego posiadacza nawet bardzo skromnego odbiornika.

Z powyższych rozważań wynika, że dziś potrzebne są nie tylko wielka umiejętność i staranność w wykonaniu mikrofonowym poszczególnych audycji, ale również zharmonizowanie klimatu wszelkich emisji, nadawanych przez radiofonie aliantów.

Nie chodzi tu o jakąś rewolucję, ale jedynie o to, by z jednej strony ograniczyć te audycje, które osłabiają wolę walki społeczeństw alianckich i drażnią niepotrzebnie kontynentalnych odbiorców—a z drugiej wprowadzić nowego ducha do wielu audycji już istniejących, a to dla uczynienia z nich czynnika istotnie wytwarzającego klimat duchowy przyspieszający zwycięstwo.

Nie sposób w ramach artykułu podać szczegółową analizę całego programu nadawanego przez B.B.C. dla odbiorców angielskich i kontynentalnych.

Pracę tą powinnyby przeprowadzić Międzyaliancka Rada Radiowa . . . ale takiego organu dotychczas nie ma. Fakt ten jest wymownym przykładem niedoceniań przez wszystkie miarodajne czynniki alianckie poważnej roli radia, które jest naogół traktowane jako narzędzie do nadawania czegoś w rodzaju gazetki czytanej, której monotonię przerywa od czasu do czasu jakieś naprawdę mówione słowo, niezawsze zresztą zawierające treść myślową.

Międzyaliancka Rada Radiowa powinna się składać z doświadczonych fachowców, którzy istotnie i nie od wczoraj znają zagadnienia radiofonii, mikrofonu i psychologii słuchania. Zadaniem Rady Radiowej byłoby w pierwszym rzędzie zunifikowanie klimatu wszelkich emisji oraz skuteczniejsze niż dotychczas wykorzystanie radia dla przeciwstawiania się radiowej propagandzie niemieckiej.

Głównym jednak zadaniem Rady byłoby opracowanie doktryny użycia mikrofonu, doktryny opartej z jednej strony o wszelkie zdobyte dotychczas doświadczenie w tej dziedzinie, a z drugiej o śmiało przewidywanie roli jaką będzie mógł spełnić mikrofon w przyspieszeniu wielkiego dzieła ustalania i organizacji nowego porządku świata, który nadejdzie po zwycięstwie i skróceniu okresu realizacji odbudowy.

Poza tym chodziłoby o uzgodnienie i ustalenie celów wojny w dziedzinie radia. Założeniem podstawowym powinna być teza: Niemcy muszą zostać rozbrojeni w eterze na długi okres czasu. Trzeba pamiętać, że dla zabezpieczenia pokoju nie wystarczy samo rozbrojenie Niemców w dziedzinie materialnej—Niemców trzeba również rozbroić duchowo i poddać ich długiej kuracji wychowawczej i odkażającej ich umysł z głęboko tkwiących zwyrodnień i chwastów ideologicznych, stanowiących podłoże dla germańskiej koncepcji świata z której wynika imperatywna konieczność wszczynania wojen zaborczych i eksterminacyjnych. Naród niemiecki w miarę rozwoju techniki coraz szybciej i sprawniej organizuje się duchowo i materialnie dla osiągnięcia swych zasadniczych celów. Trzeba sobie uświadomić, że stan psychiczny, jaki ogarnął Niemców został w ogromnej mierze spowodowany bardzo umiejętnym zastosowaniem radiofonii, dzięki której zdołał Hitler zespolić ideologicznie w jednym momencie wszystkich Niemców, gdziekolwiek by nie byli i wyzwolić z nich potężne siły emocjonalne uruchamiające z kolei mobilizację w planie materialnym. Bez radia, proces ten byłby niewykonalny w tak krótkim czasie.

Rozbrojenie duchowe Niemców, ich odkażenie oraz wychowanie jest kardynalnym zadaniem na przyszłość. Nie jest to jednak zadanie ani łatwe, ani szybkie w realizacji. Można je jednak przeprowadzić o ile zainteresowane w utrzymaniu pokoju narody potrafią zawczasu opracować a zaraz po wojnie wprowadzić w życie i konsekwentnie przeprowadzać odpowiednią metodę z góry opracowaną.

Radiofonia może oddać w tej dziedzinie bardzo wielkie usługi, równie wielkie jak te, które oddała Hitlerowi.

Zagadnienie rozbrojenia Niemców w eterze łączy się z dalszymi zagadnieniami, równie ważnymi dla wszystkich aliantów, mianowicie z rozdziałem fal radiofonicznych między aliantami, z nowym układem stacji i mocy (by program sąsiadujących z Niemcami aliantów pokrywał swym zasięgiem całe Niemcy); ze sprawą reperacji i zwrotu zagrabionego przez Niemców majątku należącego do poszczególnych towarzystw radiofonicznych alianckich itp.

Równoległym jednak zadaniem Międzyalianckiej Rady Radiowej byłoby zorganizowanie możliwie jak najszybciej bilateralnej współpracy radiowej wśród poszczególnych aliantów, którzy powinni się tą drogą lepiej poznać i ustalić co ich będzie łączyło po wojnie. Wzajemna wymiana poglądów w tej mierze, prowadzona już dziś w ciszy gabinetów, powinna wyjść poza

ich ściany. Twórcza myśl podana przez mikrofon oraz nowe idee oparte o zrozumienie szerokich warstw społecznych każdego kraju, mają znacznie lepsze warunki realizacji, niż te, które byłyby propagowane sposobami z przed choćby 20 lat.

Wiele jeszcze innych zagadnień wymaga rozpracowania przez Międzypartijną Radę Radiową, wszak chodzi o to, by również w dziedzinie ducha jak najszybciej zespolić i skoordynować wysiłek wojenny i umiejętnie zużytkować już istniejące potężne siły duchowe.

GENERAL J. F. C. FULLER.

Artykuł napisany specjalnie dla „Nowej Polski“.

BRONŃ WŁADCZA I JEJ WPŁYW NA TAKTYKĘ.

*Człowiek jest zwierzęciem używającym narzędzi . . .
nie znajdziecie go nigdzie bez narzędzi. Bez narzędzi
byłby niczym, posiadając narzędzia jest wszystkim.*

TOMASZ CARLYLE.

Mimo że wojna trwa już blisko trzy lata, wydaje się wątpliwym czy którekolwiek z mocarstw prowadzących wojnę zdaje sobie dokładnie sprawę z wzajemnego stosunku sił różnych gatunków nowoczesnej broni. Ustalenie tego stosunku jest niezbędne jeśli chcemy uniknąć marnowania produkcji. Stąd wpływ na przemysł, a więc i przewóz morski, transport, górnictwo i rolnictwo. W wieku maszyn, w którym żyjemy wszystkie niemal działy gospodarstwa narodowego wymagają surowców, z których wyrabia się broń różnego rodzaju. Dlatego też zagadnienie wzajemnego stosunku jest nietylko ważne, ale sięga tak daleko i szeroko, że w ramach artykułu mogę jedynie dotknąć kilku najważniejszych punktów.

Normalnym pojęciem broni jest narzędzie, przy pomocy którego żołnierz uzupełnia swoje naturalne środki walki, pięści, nogi i zęby.

Poprzez cały ciąg dziejów narzędzia wojny dzieliły się na dwie główne grupy—broń ręczną i palną, z których ostatnia zapanowała dzisiaj niemal niepodzielnie. W ewolucji broni pewne czynniki przeważały, zwłaszcza zasięg, celność, pojemność ognia i łatwość przenoszenia. Pierwszy z tych czynników jest cechą władcą a pełne jej zrozumienie jest kluczem do wydolności taktycznej—skombinowanego użycia tych broni w bitwie. Chwila zastanowienia pozwoli nam to zrozumieć.

Co pozwoliło człowiekowi pierwotnemu—być może zanim jeszcze posiadał zdolność mówienia—zapanować stopniowo nad światem zwierzęcym? Było to przedłużenie ramienia o długość maczugi. Później o zasięg włóczni, a jeszcze później o odległość osiąganą strzałą. Każde z tych narzędzi było kolejno bronią władcą, gdyż każde z nich zwiększało odległość na jaką człowiek mógł zabijać. Można by tu przytoczyć dwa historyczne przykłady:

Za czasów Aleksandra Wielkiego, gdy panowała broń biała, bronią władcą była sarisa, dzida długości 6—7 metrów, która dzięki swemu zasięgowi pozwoliła Aleksandrowi kształtować taktykę. Jego ciężka piechota uzbrojona w te dzidy wstrzymywała nieprzyjaciela, umożliwiając w ten sposób, ciężkiej konnicy atakować z pewną przewagą. W wiekach średnich podobną rolę odgrywały długie łuki angielskie, gdyż dzięki nim łucznicy zabijali lub raniли konie rycerzy francuskich, ułatwiając rycerzom angielskim zwycięski atak. Należy jednak z naciskiem podkreślić, że broń władcza nie musi być bronią decydującą. W zacytowanych powyżej

przykładach, nie była bronią decydującą. Jej cechy władcze tkwiły w jej zdolności unieruchomienia lub unicestwienia taktyki nieprzyjaciela, co pozwalało na rozstrzygające użycie innych broni. Jednym słowem więc, broń władcza decyduje o posunięciach taktycznych.

Nie ulega wątpliwości, że dziś, jeśli chodzi o zasięg, bronią władczą jest samolot. Jest nią jeszcze z innego względu, mianowicie dzięki swej zdolności przenoszenia wojny do trzeciego wymiaru. Postawmy sobie znowu najprostsze pytanie: Czem jest samolot? Jest drabiną, pozwalającą żołnierzowi wznieść się w powietrze i przenosić się w nim z miejsca na miejsce. Wznieść tę drabinę można nie tylko nad polem bitwy, ale również we wszystkich kierunkach na setki kilometrów dookoła niego—w górę, w dół, w przód i w tył, na prawo i na lewo. Zasadniczą nowością tej broni jest jej zdolność poruszania się w górę i w dół, gdyż pozostałe cztery kierunki dzieli z żołnierzem na lądzie i z marynarzem na morzu. Do naszych czasów żołnierz walczył w linjach i kolumnach—w miejscu lub w ruchu—na tak zwanym „polu bitwy”—t.j. na powierzchni ziemi.

Stąd taktyka jego i stąd organizacja jego były w ogólnym zarysie płaszczyniane, w szczegółach linijne. Ponieważ jednak powierzchownie rzadko są płaskie jak stół, od dawna już żołnierze instynktownie dążyli do opanowania płaszczyzny na której walczą przez zajęcie tzw. „pozycji dominującej”—t.j. przez wzniesienie się do trzeciego wymiaru. Zajmowali wzgórze, wspinali się na drzewa, budowali wieże nie tylko umiejscowione ale i ruchome. Innymi słowy żołnierz dążył do zajęcia pozycji ponad nieprzyjacielem, tak by mógł patrzeć na niego z góry, posuwać się przeciwko nieprzyjacielowi w dół, lub przeszkodzić nieprzyjacielowi w ataku. Widzimy więc, że w przeszłości, podobnie jak dziś, zdolność poruszania się w trzecim wymiarze przestrzeni podniosła siłę zarówno uderzenia jak i obrony pośrednio i bezpośrednio.

Zmechanizowanie dążenia żołnierza do wzniesienia się ponad nieprzyjaciela, połączone z rozszerzeniem zasięgu znalazło najwyższy tryumf techniczny w samolocie—a możliwości rewolucyjnej tej zmiany były tak zdumiewające, że w każdym kraju powstały szkoły wojskowego myślenia, które w samolocie widziały koniec armij i flot—ich całkowitą zagładę. Entuzjaści dali się tak daleko ponieść tej rewolucji, że nie zwrócili uwagi na fakt, że istnieją granice możliwości każdej maszyny. Najważniejszą granicą w tym wypadku stanowiła sama zasada wynalazku. Samolot budowany jest w ten sposób, że siłę ciężkości przewyższa chyżością, w następstwie czego może funkcjonować jedynie w ruchu. Armje mogą się poruszać i odpoczywać na ziemi, floty mogą poruszać się i odpoczywać na morzu, ale jako maszyna wojenna, samolot musi znajdować się w locie, gdyż w stanie spoczynku nie posiada żadnej siły taktycznej. Samolot jest zasadniczo bronią ruchomą. Tu tkwi pięta Achillesowa siły powietrznej. Jego największym wrogiem jest siła ciężkości, która wcześniej czy później unieruchamia go na ziemi. Jak ptak, samolot nie może latać bez przerwy, a co niemniej ważne, miejsca postoju samolotu—lotniska—są równie nieruchome jak ufortyfikowane miasta.

Od tej rewolucyjnej broni przejdźmy na chwilę do armij i flot. Jak dotąd cele strategiczne były proste—obrona narodowa i przeprowadzenie polityki rządów, którym podlegają. Armje walczyły przeciwko armjom, floty walczyły przeciwko flotom lecz ludność cywilna nie była objęta wojną do chwili, gdy jedna ze stron przegrała bitwę lub szereg bitw i gdy przez kapitulację strony pokonanej osiągnana była decyzja. I tak, gdy w roku 1859 armja austriacka pobita została pod Solferino cesarz Franciszek Józef zawałał: „Przegrałem bitwę—placę utratą prowincji“. Wojna była czemś w rodzaju gry w szachy, operacją na płaskiej powierzchni. Nie była narodową—lecz zawodową, walką żołnierzy. Niemniej jej podstawą moralną była wola ludności cywilnej, gdyż przez załamanie się tej woli,

wszystko się załamywało, a normalnym sposobem atakowania jej był sposób pośredni—pogrom armji lub floty—a nie atak na ludność cywilną.

W roku 1832 Marszałek Gerard maszerował na czele 60.000 armji francuskiej na Antwerpję, której cytadela obsadzona była przez załogę holenderską pod dowództwem Generała Chasse. Aby oszczędzić ludności cywilnej okropności wojennych, Chasse zgodził się skierować ogień swej artylerji na otwarte pola pod warunkiem, że Gerard ograniczy swój szturm do tych kierunków. Projekt ten został przyjęty. „Nigdy przedtem żadne oblężenie nie było prowadzone z taką rycerskością i uprzejmością... Warunki dotyczące neutralności miasta i ograniczenie kierunków ognia przyjęte przez dwie strony są znamienne, a wykonane zostały z taką skrupulatnością, że ani jeden człowiek cywilny poza polem walki nie doznał żadnego szwanku ani na swej osobie ani na majątku“.

Samolot spowodował całkowitą przemianę tego sposobu prowadzenia wojen. W sto lat później—w roku 1932 jesteśmy świadkami zbombardowania z powietrza wielomiljonowego miasta—Szanghaju.

Dwie przyczyny spowodowały tę przemianę z jednej strony wojny zostały zmonopolizowane i biorą w nich udział całe narody, jeśli nie w szeregach sił zbrojnych to w fabrykach jako robotnicy. Z drugiej strony, ponieważ samolot potrafi wyminąć armje czy floty, może atakować bezpośrednio ludność cywilną kraju nieprzyjacielskiego, a tem samem uderzyć w moralne i gospodarcze podstawy potęgi nieprzyjaciela. Znaczenie tego przewrotu jest do tego stopnia niedoceniane, że zawsze jeszcze używa się wyrażenia „linja obrony“, mimo że linja taka już przestała istnieć, gdyż wojskowo żyjemy w przestrzeni sześcienniej, w której atak nastąpić może z wszystkich kierunków, czyli że i obrona, jeżeli ma być skuteczna musi być zorganizowana we wszystkich kierunkach. Podczas gdy jeszcze kilka lat temu wojna była dwu wymiarowa, dziś toczy się w trzech wymiarach i dlatego próba rozwiązania jej problemów przy pomocy linii i wynikających z nich idei byłaby kwadraturą koła. Dlatego też zmobilizowanie narodu nie będzie pełne o ile dyscyplina niezbędna w walce nie obejmie ludności cywilnej. Dawna więc *levée en masse*, która z wojskowego punktu widzenia stała się przeżytkiem, przyjęła nową formę—mianowicie formę zorganizowania i zdyscyplinowania mas dla odparcia ataków powietrznych. Dyscyplina narodowa więc, staje się władczą obroną nowoczesnego narodu.

Obok samolotu istnieje druga broń wpływająca potężnie na wolę ludności cywilnej, broń, która dotychczas używana była tak niezręcznie, że potęga jej jak dotąd nie objawiła się należycie. Broń ta—najbardziej uniwersalna ze wszystkich—to „słowo“ zmechanizowane przy pomocy radja i nazywane „propaganda“. Podobnie jak szczekanie psa, propaganda powinna nieść z sobą sugestję ukąszenia, a jej skuteczność zależy głównie od zasięgu ostatecznego zwycięstwa—t.j. od odległości zwycięstwa, czyli czasu w którym może być osiągnięte. Aczkolwiek kłamstwo może się stać niezwykle potężną bronią w wojnie, jeśli ma być skuteczne musi być wysuwane z tła prawdy. I tak jeśli propaganda opierać się będzie na prawdzie do chwili gdy nadejdzie możliwość zwycięstwa, nagły zalew kłamstwa może doprowadzić do apokaliptycznych wyników, jeśli jednak od początku wojny propagandę cechowała kłamliwość, wyniki będą małe w miarę wzrastania kłamliwości. Można by to wyrazić jeszcze w ten sposób: słowo, podobnie jak każdy inny środek narzucania woli jest bronią, którą stosować można tylko w odpowiednich okolicznościach.

Jeśli chodzi o pierwszy z wymienionych dwóch środków demoralizacji ludności cywilnej, mianowicie o niezależną akcję powietrzną—fiasko jej ujawniło się w tej wojnie w całej pełni, gdyż aczkolwiek ataki powietrzne na ośrodki produkcji wojennej, będące podstawą gospodarczą siły bojowej, były skuteczne dzięki zniszczeniu materialnemu i dezorganizacji produkcji—nie zdołały jak dotąd sparaliżować ani jednego miasta, a przeciwnie wzmogły

jedynie wolę walki napadniętego przez rozbudzenie nienawiści i żądze zemsty. Bombardowanie z powietrza Londynu w 1940-1941 nie tylko nie sparaliżowało stolicy, lecz wywołało natychmiastowe wołania o bombardowanie Berlina. Więc Berlin był bombardowany i pozostał równie czynnym jak był poprzednio. Jednakże byłoby nierozsądnie przypuszczać, że ataki na ludność cywilną są bezużyteczne, dlatego tylko, że jak dotąd nie miały powodzenia. W korzystnych warunkach ten sposób prowadzenia wojny może dać poważne wyniki w postaci wygłodzenia, niepokoju, niezadowolenia i uczucia beznadziejności wywołanego porażkami na lądzie i blokadą morską. Po doprowadzeniu do powstania takich warunków gospodarczych i moralnych przez akcję wojskową i morską, będzie niewątpliwie możliwe a nawet prawdopodobne doprowadzenie nieprzyjaciela do upadku przez długotrwałe ataki na ludność cywilną.

To samo można powiedzieć o própagandzie jako o sztuce używania przekonywujących słów. Propaganda musi być również przystosowana do okoliczności, a więc różnolita. Najskuteczniej była propaganda użyta w roku 1940, bezpośrednio przed i po upadku Francji. Wtedy to Niemcy skierowały na Anglię nieustający strumień propagandy o inwazji, w chwili, gdy z powodu katastrofy dunkierskiej Anglja czuła się bezsilna do odparcia ewentualnego napadu. Wyniki tej propagandy były dwójakiego rodzaju: 1) Wydanie zarządzeń panicznych jak np. aresztowanie tysięcy ludzi, których jedną zbrodnią było oskarżenie ich przez denuncjatorów o działalność piąto-kolumnową lub też fakt ich wrogiego stosunku do rządu, i 2) wydanie zarządzeń obronnych, które zmonopolizowały wszelkie inne względy. Linja Maginota zawaliła się we Francji, lecz duch jej znalazł wygodne schronienie w Anglii. Zapomniano o bezpieczeństwie Imperjum, zarzucono wszelką myśl o ofenzywie i wydano setki milionów funtów na tysiące źle obmyślonych i nieskordynowanych planów i prac obronnych. Przykłady te potwierdzają fakt potężnej siły propagandy w korzystnych okolicznościach.

Jednak już z tych kilku uwag wynika, że same przez się te dwie metody ataku są niewystarczające i że skuteczność ich użycia zależy od pomyslniej akcji morskiej i wojskowej. Zastanówmy się więc nad wpływem broni władczej na organizację i taktykę flot i armij.

Zastanówmy się przede wszystkim nad pytaniem jakie są cele potęgi morskiej. Zadanie główne polega na utrzymaniu lub zamknięciu morskich linii komunikacyjnych—dla transportów zaopatrzenia, amunicji i wojsk. Więc najistotniejszymi funkcjami floty są konwojowanie i blokada. W związku z tymi funkcjami flota musi być gotowa związać w walce każdą flotę nieprzyjacielską zamierzającą ze swej strony wykonać lub przeszkodzić w wykonaniu tych operacyj.

Mimo, że zjawienie się broni władczej w żadnym stopniu nie zmieniło tych celów istotnych, niemniej radykalnie zmieniło sposoby przy pomocy których osiągnane były w przeszłości, albowiem bomba ma niepomiernie większy zasięg aniżeli pocisk a pozatym, aczkolwiek morze nadaje się na miejsce postoju wodnopłatowców, samo przez się nie stanowi bazy do remontu i zaopatrzenia w paliwo. Dla tego rodzaju samolotów trzeba używać lotniskowce, a ponieważ powierzchnia ich pokładów jest mniej obszerna aniżeli powierzchnia lotnisk lądowych, wynika z tego, że jeśli zasięg pozwala, samoloty z baz lądowych będą z reguły miały przewagę liczebną nad samolotami startującymi z baz morskich. Dlatego też taktyka floty z okresu przedsamolotowego nie może być stosowana na morzach zamkniętych. Pisząc o tym w roku 1937, stwierdziłem że:

„Na takich wodach jak kanał La Manche, Morze Północne, Morze Śródziemne i Morze Żółte . . . siły powietrzne staną się czynnikiem dominującym. Np. dwadzieścia pięć lat temu, okręt wojenny płynący z szybkością 25 węzłów potrzebował około siedmiu godzin na przebycie 200 mil, natomiast dziś samolot bombardujący przebywa tę odległość

w ciągu godziny. Dlatego też wyrażone w czasie, morza zamknięte skurczyły się do jednej siódmej swego dawniejszego obszaru. Między Bournemouth a Cherbourgiem kanał ma 24 minuty szerokości zaś między Cagliari w Sardynji a Bizertą w Tunisie, szerokość morza Śródziemnego wyrażona w czasie wynosi 36 minut. Nie znaczy to, że okręt wojenny stał się całkowitym przeżytkiem, natomiast przeżytkiem takim jest nastawienie umysłowe, które nadal myśli kategorjami węzłów zamiast godzin lotu. Ponieważ morza wąskie stały się kanałami, a okręty wojenne nie są przeznaczone do odgrywania roli barek, jedynym miejscem, w którym mogą operować są szerokie oceany . . . Czy więc nie nadszedł czas by marynarze podzielili morza na obszary samolotowe i morskie ?“

Od samego początku wojna wykazała pojawienie się broni władczej, jednak do dziś dnia panuje pomieszanie pojęć co do faktu, że ta broń władcza panuje nad obu dziedzinami, a jedyna różnica jest ta, że w pierwszej samoloty bazowane na lądzie mają przewagę nad samolotami bazowanymi na morzu, zaś w drugiej przewaga w lotniskowcach jest czynnikiem decydującym. Z tego też powodu wysunąłem w roku 1937 propozycję że „ . . . w pojęciach naszych o jednostkach kapitałnych musi nastąpić radykalna zmiana, t.j. o tych jednostkach dookoła których obraca się obecna taktyka bitewna. Mojem zdaniem nie będzie to już okręt uzbrojony w działa, lecz samoloty bombardujące. Innymi słowy, nasze obecne lotniskowce, które uważane są za przyczepki do okrętów linjowych będą musiały, w formie udoskonalonej, zastąpić je jako okręty władcze naszej floty, a wszystkie inne okręty linjowe—staną się ich okrętami pomocniczymi, ruchomymi fortcami morskimi, z których operować będą ich samoloty. . .¹ Kluczem jest siła—bombowa, gdyż bomby powietrzne mają nieporównanie większy zasięg aniżeli pociski dział okrętowych. Wobec tego faktu sposoby prowadzenie wojny na morzu będą się znacznie różniły od sposobów stosowanych w latach 1914-1918“.

Przechodząc do kwestji wpływu broni władczej na blokadę i kontrblokadę, należy stwierdzić, że z obu broni używanych dotychczas, okrętów linjowych i łodzi podwodnych, wojna 1914-1918 wykazała, że łodzie podwodne miały większą siłę niszczycielską, gdyż posiadały zdolność trzymiarową poruszania i mogły się dowolnie ukrywać tzn. stawać się niewidzialne. Najważniejszym niedomogiem łodzi podwodnej jest ograniczony zasięg widzenia. Zastanawiając się nad tą kwestją pięć lat temu, pisałem : „Gdy natomiast chodzi o samolot, ograniczenie takie nie istnieje, gdyż samolot zmuszony jest operować ponad swoim przeciwnikiem : dlatego też jego siła taktyczna jest nieporównanie bardziej ofenzywna . . . co więcej, posiadając zdolność przelatywania nad morzem i lądem, może znacznie rozszerzyć zasięg blokady i—jak w wypadku Anglii—objąć cały obszar kraju“. Staje się więc trzecią i dominującą bronią w ataku ekonomicznym, gdyż może nie tylko kooperować z okrętami i łodziami podwodnymi, ale może również operować samodzielnie. Może atakować okręty, może prowadzić rozpoznanie dla łodzi podwodnych, a używany jako artylerja długiego zasięgu może działać przeciwko portom i przystaniom. Jednym słowem samolot radykalnie zmodyfikował, jeśli nie zmienił całkowicie strategię i taktykę blokady.

(¹ Według Sir Keith Murdoch'sa (The Daily Mail z 15 maja 1942) „Bitwa (na Morzu Koralowym) wykazała, że lotniskowce mają większy zasięg i siłę uderzenia aniżeli jakkolwiek inna broń morska. . . . Osobiście jestem zdania, że w czasie całej bitwy na Morzu Koralowym ani jeden okręt wojenny nie widział nieprzyjaciela. Było tam wiele pysznych i zwinnych okrętów, ale ani jeden z nich nie strzelił inaczej jak tylko w powietrze . . . Z obu stron samoloty poszły z miejsca do ataku i z obu stron floty musiały usunąć się poza zasięg djabłów powietrznych rzucających bomby z lotu nurkowego. Nie ulega żadnej wątpliwości, że lotniskowce. . . są dziś zwycięzcami w bitwach morskich.

Podobnie jak wpływ sił powietrznych na siły morskie wzrasta z dnia na dzień, tak wzrasta wpływ ich na siły lądowe, które obejmują również podstawę sił powietrznych. I podobnie jak w dziedzinie morskiej wynaleziona została w ciągu ostatnich kilkudziesięciu lat nowa broń w postaci łodzi podwodnej tak w dziedzinie wojskowej zjawiała się nowa broń lądowa w postaci czołgu. Z właściwości swych broni ta stanowi ruchomy mały fort łączący w sobie zalety obronne wojny oblężniczej i zalety ofensywne wojny w otwartym polu. Przed zjawieniem się czołgów—od pierwszej chwili pojawienia się broni palnej istniały dużo poważniejsze trudności w taktyce niższej 1) trudność zharmonizowania ruchu z siłą ognia i 2) trudność zharmonizowania ruchu z osłoną, gdyż strzelając, żołnierz musi pozostawać na miejscu, a poruszając się, musi porzucić osłonę. Dzięki czołgowi, zwiększone zostały :

- 1) zdolność poruszania się przez zastąpienie siły fizycznej siłą mechaniczną,
- 2) bezpieczeństwo (osłona) przez zneutralizowanie pocisku przy pomocy pancerza,
- 3) zdolność ofensywna przez zwolnienie żołnierza z konieczności noszenia na sobie broni i zwolnienie konia od przewożenia jej. Zwiększona też została intensywność siły ogniowej przez zwiększenie zaopatrzenia w amunicję.

Innymi słowy, pojawienie się czołgu umożliwiło armii uzyskanie większej wydajności broni w określonym czasie z mniejszymi stratami aniżeli poprzednio przy użyciu zarówno energii fizycznej jak i trakcji mechanicznej. Czołg równocześnie zabezpieczył żołnierza dynamicznie i pozwolił mu walczyć statycznie. Temsamem narzucił taktyce lądowej taktykę morską, tj. pozwolił żołnierzowi na używanie broni z platformy ruchomej, chronionej trwałym pancerzem.

Z powyższego wynika, że czołg jest przede wszystkim bronią dwuwymiarową a ponieważ baza lądowa sześcianu powietrznego jest powierzchnią płaską—obszarem którego nie ochroni samolot—więc uzupełnieniem samolotu jest czołg. Dlatego też w wyższym stopniu aniżeli jakkolwiek inna broń lądowa, samolot wiąże walkę powietrzną z przestrzenią trójwymiarową, będąc bronią uniwersalną dzięki temu, że jego sześcian taktyczny obejmuje w granicach możliwości wszystkie powierzchnie, na których może się toczyć walka. Stąd też pochodzi znaczne zróżniczkowanie typów samolotów bojowych.

Podkreślić należy, że szybkość samolotu zwiększyła do tego stopnia tempo działań ofensywnych, że chyżość ataku sama przez się stała się nową bronią co ujawniło się tak wyraziście w czasie niemieckiej inwazji Francji—gdy wyobraźnia Francuzów mnożyła liczbę czołgów, zwiększając temsamem przerażenie szybkością z jaką zmieniały swe pozycje. Jednak ten atak moralny będąc zarówno ofensywny jak i osłaniający nie posiada siły wiążącej (holding power). Wytwarza to potrzebę czegoś, co nazwę „pojemnością“, czyli zdolność rozpostarcia się na jakimś obszarze i okupowania go niby powódź zalewająca wszystko z chwilą gdy wał ochronny—opór nieprzyjaciela—się zawałił. Dochodzimy w ten sposób do dwóch oddzielnych, aczkolwiek ściśle z sobą związanych sił, siły uderzenia i siły posiadania (Strzała i łuk). Podczas gdy pierwsza musi mieć możliwie największą ruchliwość, druga musi pozostać możliwie niewzruszona: pierwsza jest względnie mała, wysokiej jakości gatunkowej, druga względnie duża ilościowo. W walce powietrzno-czołgowej drugą z tych sił przedstawia armja złożona z piechoty i artylerji, zmotoryzowana lub nie.

Jasnym jest, że wobec różnych funkcji jakie te dwie siły mają do spełnienia—uderzenia i zajmowania pozycji, nie należy ich mieszać. Dlatego też należy zdać sobie sprawę, że jakkolwiek czołg jest władcą bronią lądową, to w odróżnieniu od samolotu nie jest bronią uniwersalną, gdyż nie jest maszyną nadającą się do wszystkich celów. Władczość czołgu polega nie

na tym, że ma przewagę nad każdą inną bronią, lecz na tym, że chyżość czołgu na lądzie decyduje o szybkości działania.

Jeśli masa piechoty jest w pierwszym rzędzie narzędziem zajmowania obszarów zdobytych przez czołgi, które to obszary stają się z kolei osłoniętymi bazami działań powietrznych, powstaje pytanie co stanowi obszary osłonięte dla działań czołgowych, zważywszy, że piechota sama w sobie jest bezradna wobec ataku czołgów? Odpowiedzi nie należy szukać w obciążaniu piechoty bronią przeciwpancerną, pod osłoną której można ją bezpiecznie przetrzącać z jednego obszaru na drugi, lecz w uzupełnieniu czołgów bronią przeciwpancerną. Znaczy to, że formacje czołgowe muszą stać się dwoiste w swej organizacji. Muszą się składać ze skrzydła ofensywnego i skrzydła osłaniającego, skrzydła nacierającego i skrzydła odpierającego—miecza i tarczy. Tarcza musi się składać z kilku typów broni przeciwpancernej: artylerji samochodowej do walki na odległość i samochodowej broni automatycznej do walki wręcz, oraz broni do walki pozycyjnej, przeciąganej lub przewożonej traktorami. Całość musi posiadać zdolność samoporuszania się lub samo-transportowania się, tworząc ruchomą fortecę, z której skrzydło ofensywne może wykonać wypad lub w którą może się schronić. Cały transport musi mieć zdolność posuwania się za tą ruchomą fortecą na przełaj.²

Obraz w ten sposób otrzymany jest uderzająco podobny do średniowiecznego sposobu prowadzenia wojny—w formie zmotoryzowanej. Wówczas istniały zamki, z których oddziały opancerzonych jeźdźców wyruszały do walki i w których mogły się schronić dla wypoczynku i dozbrojenia się na nowo. Dziś możemy tworzyć *ruchome* „zamki”—zmechanizowane siły lądowe—z których czołgi mogą wyruszać do walki i do których mogą się wycofywać. Mamy wreszcie obszerne *ruchome* „obozy ufortyfikowane“, z których mogą działać siły powietrzne i do których mogą się wycofywać.

W roku 1937 pisałem :

„W wojnie światowej zdolność poruszania się samolotów opierała się na organizacji naziemnej, tak jak być powinno: zaś ta organizacja naziemna chroniona była olbrzymim systemem okopów zbudowanych w czasie wojny. Dziś jednak, wobec olbrzymiego wzrostu potęgi samolotu, utworzenie takich ufortyfikowanych obszarów jest wątpliwe, gdyż olbrzymia organizacja tyłów niezbędna dla utrzymania i zasilania ich stanie się podatnym celem ataków powietrznych. Podczas gdy dziewiętnastowiekowa koncepcja wojny opierała się na zasadzie koncentracji sił (masa), potęgą powietrzna sprawiła, że zasadą która rządzi koncepcją wojny w XX w. stanie się dystrybucja sił, co stanowi zdrową zasadę strategiczną, jeśli siły podzielone posiadają tak wielką zdolność poruszania się, że mogą być szybko skoncentrowane w każdym pożądanym punkcie.

„Jedynie tylko zmotoryzowane i zmechanizowane wojska mogą sprostać temu podwójnemu wymogowi rozbitcia sił, celem zmniejszenia rozmiarów celu wystawionego na ataki powietrzne i koncentracji dla wykonania uderzenia. W przyszłej wojnie więc możemy oczekiwać, że zamiast dwóch olbrzymich systemów fortyfikacji walczących z sobą, będziemy mieli do czynienia z dwoma lub więcej strefami ruchomych fortec, których głównym zadaniem będzie osłona organizacji naziemnych lotnictwa oraz atakowanie nieprzyjacielskiej organizacji naziemnej. Z tych to ruchomych fortec będą zwalczające się siły powietrzna działać

⁽²⁾ Jest to jeden z najważniejszych czynników, gdyż w ostatecznej analizie taktyka zależy od zaopatrzenia. W wojnie toczącej się na obszarze nie posiadającym dostatecznych dróg jest rzeczą istotną by pojazdy transportowe nie były skazane na poruszanie się drogami. Według mnie, gdyby pojazdy niemieckich Dywizji Pancernych posiadały trakcję gąsienicową a nie kołową, Rosjanie ponieśli by decydującą klęskę przed nastaniem zimy.

przeciwko sobie i przeciw węzłowym ośrodkom w kraju nieprzyjacielskim“.

Pisałem, również :

„Poczynając od podstaw, należy stwierdzić, że każda armia musi posiadać dwie istotne zalety, mianowicie organizację i ducha będącego ciałem i duszą każdej walczącej siły. A pamiętając, że kluczem dzisiejszego sposobu prowadzenia wojny jest ruchliwość, i że broń władcza jest przede wszystkim narzędziem ofensywnym, staje się niezbędnym—jeśli mamy tę cechę wykorzystać do najwyższego stopnia, by wszystkie siły łądowe współdziałające z nią ożywione były duchem ofensywy.”

W wojnie obecnej właśnie duch ofensywy poniósł Niemców od Cap Norte do Libji i od Pirenejów do Krety, a Japończyków pchnął od Filipin do Zatoki Bengalskiej i granic Indji. Ten sam duch ożywił Rosyjską kontrofensywę zimową. Jest on siłą popędową wojennego dynamo przetwarzającego wolę w działanie, a gdy walka przejdzie w fazę ruchomą, podobnie jak to się stało obecnie, wówczas bez ducha ofensywy cała machina nadaje się conajwyżej na złom.

HENRY A. WALLACE.

WICEPREZYDENT STANÓW ZJEDNOCZONYCH.

WOJNA OBECNA—REWOLUCJĄ LUDOWĄ.

Deklaracja wygłoszona w Waszyngtonie dnia 8 maja 1942 r.

Wojna obecna jest starciem między światem niewolnictwa a światem wolności.

Podobnie jak w roku 1862 Stany Zjednoczone nie mogły pozostać napół krajem niewolników, napół ludzi wolnych, tak w roku 1942 świat musi dokonać decyzji.

W chwili gdy rozpoczyna się ostateczna faza tej walki na śmierć i życie między światem wolności i światem niewolnictwa, warto zastanowić się nad tem jak szary człowiek zdobywał sobie wolność.

Idea wolności zrodziła się z Pisma Świętego, które kładzie szczególny nacisk na godność człowieka. Prorocy Starego Testamentu pierwsi głosili ideały sprawiedliwości społecznej.

Ale ideały te, przeczuwane na wiele lat przed narodzeniem Chrystusa, uzyskały potężny wyraz polityczny dopiero w chwili, gdy 150 lat temu, naród amerykański utworzył związek federalny i gdy pochód prostych ludzi ku wolności rozpoczął się.

Większość z tych ludzi nie posiadała sztuki czytania i pisania. Nie istniały wówczas szkoły państwowe dostępne dla wszystkich. A przecież człowiek nie może być prawdziwie wolny dopóki cierpi głód fizyczny. Cóż warta jest wolność bez umiejętności czytania, myślenia i dyskusowania.

Jeśliśmy mieli mierzyć wolność takimi miernikami jak wyżywienie, oświata i samorząd, musielibyśmy postawić Stany Zjednoczone i niektóre państwa zachodniej Europy bardzo wysoko. Ale byłoby to niesprawiedliwe w stosunku do innych narodów, u których powszechne nauczanie mogło się rozpocząć dopiero dwadzieścia lat temu. Rosja, na przykład, przestała być narodem analfabetów w ciągu jednego pokolenia dzięki czemu poczucie wolności u Rosjan wzrosło ogromnie.

Rozpowszechnieniu sztuki czytania i pisania towarzyszył wszędzie rozwój przemysłowienia, który z kolei powodował potężny ruch robotniczy.

Zasadniczo nie istnieją narody zacofane, pozbawione zmysłu mechanicznego. Rosjanie, Chińczycy czy Hindusi z łatwością uczą się czytać, pisać i obsługiwać maszyny, z równą łatwością jak ludzie rasy białej.

Wszędzie na świecie, ludzie prości podnoszą głowy. Całe miliony uczą się czytać i pisać, uczą się myśleć i używać narzędzi. Uczą się myśleć zbiorowo w organizacjach robotniczych, z których niektóre mogą się zrazu wydawać zbyt skrajne i nierealne, ale które z czasem ukształtują się na tyle, że służyć będą skutecznie interesom szarego człowieka.

W krajach, gdzie sztuka czytania i pisania nabyta została dopiero niedawno—a dziś jeszcze 62 procent ludzkości stanowią analfabeci—w krajach, w których ludność nie miała dostatecznie długiego doświadczenia w rządach opartych na jej własnym myśleniu, nie trudno demagogom prostytuować dla własnych nikczemnych celów umysły prostych ludzi.

Demagog taki może znaleźć pomoc finansową u jakiegoś bogacza. Demagog ten jest przekleństwem nowoczesnego świata, a z wszystkich demagogów najgorsi są ci, których opłacają bogacze szczerze wierzący, że bogactwo ich będzie bezpieczniejsze jeśli wynajmą politycznych drabów umiejących zmieniać znaki przydrożne i wieść ludzi z powrotem ku najbardziej znikczemniałemu niewolnictwu.

Pochód wolności ostatnich 150 lat, był jedną długą rewolucją ludową.

W tej wielkiej rewolucji ludowej etapami były rewolucja amerykańska z roku 1775, rewolucja francuska z roku 1792, rewolucje Ameryki łacińskiej z epoki Bolívara, rewolucja niemiecka z roku 1848 i rewolucja rosyjska z roku 1917.

Każda przemawiała w imieniu szarego człowieka głosem krwi rozlewanych na polach bitew.

Niektóre z tych rewolucji zbyt szafowały krwią, ale uderzającym jest, że lud zawsze znajdował drogę ku światłu, ucząc się coraz lepiej myśleć i pracować.

Rewolucja ludowa dąży nie do gwałtów, lecz do pokoju, ale gdy naruszone zostaną prawa prostego człowieka, wybuchają namiętności o sile żywiołowej.

Ludzkość znajduje się w pochodzie ku wolności pełniejszej niż ta wolność, którą cieszyły się dotychczas nawet najszcześniejsze narody świata. Pochodu tego nie powstrzyma żadna kontr-rewolucja nazistowska. Prości ludzie wypenią hitlerowskich zbirów zarówno w Stanach Zjednoczonych, jak w Ameryce Łacińskiej i w Indjach. Zniweczą ich wpływy. W świecie wolności nie ma miejsca na Lavalów i Mussolinich.

Ludy, w swym tysiącletnim pochodzie rewolucyjnym manifestują na tej ziemi godność mieszkającą w każdej duszy ludzkiej. Ich wyznaniem wiary to Cztery Wolności prezydenta Roosevelt'a, będące hasłem rewolucji, za którą opowiedziały się zjednoczone narody.

Tu w Stanach Zjednoczonych może nam się wydawać, że niema nic rewolucyjnego w wolności wiary, wolności słowa i w wolności od lęku przed tajną policją.

Ale gdy zastanowimy się nad znaczeniem wolności od niedostatku, wówczas zdamy sobie sprawę, że rewolucja ostatnich 150 lat nie została dopełniona ani w Stanach Zjednoczonych, ani w żadnym innym państwie na świecie. A wiemy, że rewolucja ta nie może wygasnąć zanim nie będzie osiągnięta wolność od niedostatku.

Nie wypełniliśmy naszego zadania po wojnie światowej. Nie umieliśmy zbudować trwałego i powszechnego pokoju. Zabrakło nam odwagi doprowadzenia sprawy do końca i zapobieżenia dozbrojeniu Niemiec.

Nie zbudowaliśmy traktatu pokojowego na fundamentalnych doktrynach rewolucji ludowej. Nie dążyliśmy do stworzenia świata, w którym istnieć by mogła dla wszystkich narodów wolność od niedostatku.

Ale nawet na błędach naszych nauczyliśmy się wielu rzeczy i po tej wojnie będziemy mogli zużytkować naszą wiedzę by zbudować świat zdrowy politycznie, gospodarczo i miejmy nadzieję, moralnie.

Nowoczesna nauka, będąca wytworem i istotną częścią rewolucji ludowej umożliwiła technologicznie zapewnienie wszystkim ludziom na całym świecie dostatku żywności.

Pokój musi przynieść wyższy poziom życia prostym ludziom nie tylko w Stanach Zjednoczonych i Anglii, ale i w Indjach, Rosji, Chinach, w republikach południowo łacińskich—nie tylko w krajach zjednoczonych narodów, lecz również w Niemczech, Włoszech i Japonii.

Mówi się czasem o „stuleciu amerykańskim“: Twierdzę, że stulecie w które wchodzimy, które rozpocznie się po tej wojnie może i musi się stać stuleciem prostego człowieka.

Być może, iż Ameryce przypadnie obowiązek podtrzymania wolności i obowiązków, w których prości ludzie żyć winni.

Wszędzie na świecie ludzie prości muszą nauczyć się budować własne przemysły własnymi rękami.

Wszędzie na świecie ludzie prości muszą nauczyć się jak zwiększać wytwórczość tak, by kiedyś zarówno oni jak i dzieci ich mogły odplacić społeczności światowej za wszystko to co otrzymali.

Żaden naród nie może mieć boskiego prawa eksploataowania innych narodów. Starsze narody będą miały zaszczytny przywilej dopomożenia młodszym narodom w ich uprzemysłowieniu, jednak nie może to prowadzić do militarne go czy gospodarczego imperjalizmu.

Nowoczesna nauka musi zostać wyzwolona z niewolnictwa niemieckiego.

Międzynarodowe kartele służące amerykańskiej żądzy posiadania i niemieckiej żądzy panowania muszą być zniesione. Gdy nastanie pokój, trzeba będzie poddać kartele międzynarodowej kontroli prostych ludzi w uzupełnieniu kontroli wykonywanej przez rządy.

W ten sposób będziemy mogli zapobiec ponownemu zbudowaniu przez Niemcy maszyny wojennej.

Poddawszy międzynarodowe organizacje monopolistyczne kontroli, możliwym się stanie oddanie wynalazków i odkryć do użytku wszystkich ludzi a nie kilku uprzywilejowanych jednostek.

Gdy nadejdzie pokój, obywatel będzie miał najwyższy obowiązek poświęcenia mniejszego interesu większemu interesowi powszechnego dobra.

Budując pokój będziemy musieli myśleć o całym świecie, gdyż nie mogą istnieć narody uprzywilejowane.

Jeśli istotnie wierzymy, że walka toczy się o pokój ludów, wszystko inne stanie się łatwe. Przy szczerzej kooperacji nic łatwiejszego jak podniesienie wytwórczości bez strajków i sabotażu.

Nie wiele pozostaje mi do powiedzenia o naszym obowiązku walki. Prawda, że młodzież amerykańska nienawidzi wojny świętą nienawiścią. Ale właśnie dlatego, właśnie dla tego, że Hitler i naród niemiecki są wcieleniami symbolami wojny, walczyć będziemy z niewyczerpanym entuzjazmem póki wojna i możliwość wojny nie będzie na zawsze usunięta z naszej planety.

KRONIKA

KONGRES PARTJI PRACY

Kongres Partji Pracy, który się odbył w maju był wyjątkowo burzliwy. Egzekutywa partyjna została przegłosowana w sprawie Daily Workera i zwyciężyła minimalną jedynie ilością głosów w kwestji wyborczego zawieszenia broni. Gdyby kto jednak chciał z tych rezultatów wyciągnąć wnioski o istotnym rozłamie między dołami partyjnymi, a górą partyjną to byłby w błędzie. Walki bowiem rozgrywały się jedynie o problemy taktyki i nie sięgały zagadnień zasadniczych.

Weźmy przedewszystkiem sprawę Daily Workera. Pismo to zostało zawieszono na czas wojny decyzją socjalistycznego ministra spraw wewnętrznych Herberta Morrisona. Zostało zawieszono za propagandę defetystyczną. Na konferencji Walker przemawiał w obronie tej decyzji: "Gdy chłopcy nasi stali na piaskach Dunkierki, gdy krwawili się tam utraciwszy całą broń, a myśmy wzywali naród, by ich ratował, Daily Worker walczył przeciw wojnie i mówił robotnikom, że ich synowie i bracia prowadzą wojnę kapitalistyczną w interesie brytyjskiej plutokracji.

Gdy Niemcy napadli na Holandję i bombardowali ją, Daily Worker pisał, że to Wielka Brytania wciągnęła Holandję w wojnę. Daily Worker nieraz już od początku wojny zmieniał swe zdanie, skądżeż mamy wiedzieć, czy nie zmieni go znowu."*

A jednak Konferencja 1,244,000 głosami przeciw 1,231,000 nakazała partji a więc i Morrisonowi, dołożyć wszelkich starań, aby zakaz Daily Workera został cofnięty.

Dla tej większości bowiem fakt, że dzisiaj partja komunistyczna popiera wysiłek wojenny, usunął niebezpieczeństwo akcji Daily Workera, dalszy zakaz zaś nie tylko jest niezgodny z zasadą wolności prasy, ale raczej dopomaga komunistom przez stwarzanie dookoła nich aureoli męczeństwa.

Że tylko takie względy odgrywały rolę, a nie przenikanie wpływów komunistycznych do Labour Party, w stu procentach potwierdziły inne głosowania.

Labour Party w przeciwieństwie do francuskiej partji socjalistycznej nigdy nie zaakceptowała doktryny frontu ludowego, czy frontu wspólnego z komunistami.

Póki Rosja nie była w wojnie, kwestja ta oczywiście nie była aktualna. Po wejściu jednak Rosji do wojny, komuniści znowu zaczęli próbować czy korzystając z obecnej popularności Sowietów, która jest niewątpliwa, nie da się nareszcie do wspólnego frontu robotniczego doprowadzić. Egzekutywa Labour Party propozycję jaknajbardziej stanowczo odrzuciła. W raporcie jej czytamy: "Kongres Związków Zawodowych i Labour Party wyrażają swe gorące uznanie dla wielkich wysiłków Związku Sowieckiego w wspólnej walce z hitleryzmem. Potwierdzają kompletność współpracy między Wielką Brytanią i Z.S.S.R. Wyrażają swe przekonanie, że rozwój tej współpracy doprowadzi do pokonania hitleryzmu i do tego koniecznego porozumienia między naszymi narodami, które jest niezbędnym warunkiem trwałego pokoju.

Były robione sugestje co do wspólnej akcji Labour Party z partją komunistyczną Wielkiej Brytanji. Kongres Związków Zawodowych i Labour Party starannie zbadała te propozycje. Nic w sytuacji nie usprawiedliwiłoby takiej współpracy.

Brytyjska Rzeczpospolita Narodów prawie przez dwa lata wytrzymała ciężar obecnej gigantycznej walki. Nigdy w historii nie było większej jedności narodu brytyjskiego w godzinie niebezpieczeństwa, w obronie naszych swobód demokratycznych. Wszystkie warstwy naszej społeczności wzięły zgodnie swe wysiłki dla wspólnego celu. Jedynym frapującym wyjątkiem była partja komunistyczna.

2 września 1939 partja ta powzięła decyzję walki z hitleryzmem. Nieco później, nagle, bez porozumienia się z członkami, politykę swą odwróciła. Oświadczyła wtedy, że walka z nazizmem jest "wojną imperjalistyczną," którą należy przerwać. Od tego czasu partja komunistyczna przy każdej okazji osłabiała narodowy wysiłek i przeszkadzała mu. Szkalowała ruch robotniczy, fałszywie przedstawiając sens poparcia, którego udzielił w walce z hitleryzmem.

Gdy w niedzielę 22 czerwca 1941, Hitler bez uprzedzenia napadł na Rosję Sowiecką, partja komunistyczna Wielkiej Brytanji raz jeszcze, bez porozumienia się z członkami, zmieniła swą politykę. Ogłosiła, że walka już nie jest "wojną imperjalistyczną." "Tak więc raz jeszcze podczas wojny partja komunistyczna wykazała, że jest nieodpowiedzialną i niestałą. Cierpienia ludu brytyjskiego pod naciskiem prawie niustannych bombardowań nazistów ani ją wzruszyły, ani poruszyły. Nie było w deklaracjach komunistycznych cienia sympatii dla ludu brytyjskiego, ani dla sprawy o którą walczy. Polityka jej, w przeciwieństwie do polityki brytyjskiego ruchu robotniczego ani nie była prowadzona metodami demokratycznymi, ani też powodowana potrzebami i celami narodu brytyjskiego.

„Kongres Związków Zawodowych i Labour Party uznają więc, że żaden związek z partją komunistyczną nie jest możliwy.“

W praktyce to wykluczenie współpracy idzie tak daleko, że członkom Labour Party nie wolno występować wspólnie na wiecach z komunistami, nawet gdy idzie np. o pomoc dla Rosji.

Walker, były prezes Kongresu Związków Zawodowych, broniąc stanowiska Egzekutywy wyraźnie oświadczył: „Przepaść między demokracją a dyktaturą jest zbyt głęboka.“

I oto dwóch jedynie delegatów wypowiedziało się przeciw temu bezwzględnemu odrzuceniu współpracy z komunistami i w głosowaniu stanowisko Egzekutywy zostało

potwierdzone 1,899,000 głosami przeciw 132,000 zaledwie.

Podobnie się miała sprawa i z utrzymaniem jedności narodowej. Przewodniczący Kongresu, Green, zakończył konferencję słowami: „Zapewniamy Winstona Churchilla, że ruch nasz całkowicie stoi za nim w jego niezłomnej decyzji doprowadzenia walki do zwycięskiego końca.

Mamy dla niego najgłębszą sympatię i współczucie dla niezmiernego ciężaru, który dźwiga i jeżeli odwoła się do nas o nowe poświęcenia dla wygrania wojny, to pójdziemy za nim. Żaden z premierów nie miał za sobą partji tak lojalnej, jak dziś Labour Party jest lojalną wobec Churchilla.“

I w decydującem głosowaniu Kongres postanowił utrzymać udział Labour Party w rządzie koalicyjnym 2,319,000 głosami przeciw 164,000.

Dlaczegoż więc w głosowaniu o utrzymanie zawieszenia broni wyborczego jedynie 1,275,000 głosów wypowiedziało się za odnośnym wnioskiem Egzekutywy, a 1,201,000 głosów przeciw?

Składa się na to wiele przyczyn. Przedewszystkiem trzeba pamiętać, że parlament obecny został wybrany w roku 1935 w specjalnych zupełnie okolicznościach. Było to podczas wojny abisyńskiej, kiedy sprawa bezpieczeństwa zbiorowego stała na ostrzu noża. Było to bezpośrednio po t.z. Peace Ballot, kiedy to Brytyjskie Towarzystwo Przyjaciół Ligi Narodów zdołało zebrać 11 milionów podpisów pod żądaniem utrzymania bezpieczeństwa zbiorowego. Baldwin, ówczesny premier, który zrozumiał nastroje mas, całą kampanję wyborczą poprowadził więc pod hasłem bezpieczeństwa zbiorowego i utrzymania sankcji przeciw Włochom. I partja konserwatywna osiągnęła w Izbie przyniatającą większość. Poczem, jak wszyscy pamiętamy, Baldwin, a za nim i jego towarzysze czempredzej się bezpieczeństwa zbiorowego wyrzekli i sankcje przeciw Włochom zlikwidowali. Przyszła epoka *appeasement*,

której momentem kulminacyjnym było Monachium.

Wyborca brytyjski poczuł się oszukany. I w latach 1938-1939 wybory częściowe wyraźnie zaczęły wskazywać, że Labour Party, a nawet bezpartyjni lewicowcy zwyciężają konserwatystów. Kraj szedł na lewo. W trakcie wojny to przesuwanie się na lewo opinii staje się coraz wyraźniejsze. Widać to choćby z tego, że pisma o wielkich nakładach dla utrzymania swej poczytności wyraźnie propagują lewicową politykę, chociażby właścicielem ich był Lord Beaverbrook, którego nic z lewicą nie łączy.

Tymczasem wyborcze zawieszenie broni petryfikuje sytuację, w której konserwatyści w parlamencie mają wpływ przemożny. Przyczem nowi posłowie parlamentarni dobierani autokratycznie przez centralną machinę wyborczą partii w większości wypadków reprezentują skrajnie prawe skrzydło partii.

Zawieszenie broni wyborcze gra więc całkiem wyraźnie przeciw interesom Labour Party, uniemożliwiając jej wzrost wpływów parlamentarnych, do którego ma prawo.

Ten motyw sam nie byłby jednak wystarczającym. Istniał on bowiem i w zeszłym roku, a rewolty przeciw zawieszeniu broni nie było.

W tym roku jednak zaszedł fakt nowy. Otóż w kilku okręgach wyborczych zwyciężyli kandydaci „niezależni“. Ludzie ambitni, korzystając z tego, że nastroje wyborcze były przeciwne kandydatom narzucenym przez machinę wyborczą konserwatyną, a Labour Party związana oficjalnym zawieszeniem broni kontr—kandydatów nie wystawiała, zgłaszali swe kandydaty z platformą lewicową uzyskiwali zwycięstwo. Kilku takich „dzikich“ już się dostało do parlamentu, między nimi i sekretarz generalny związku zawodowego urzędników państwowych, Brown, *bete noire* Labour Party. Niewątpliwie wzrost liczby „dzikich“ bardzo niekorzystnie odbije się na partji Pracy. Egzekutywa to zresztą też rozumiała, tylko jej lekarstwo było inne. Dotychczas w dotrzy-

maniu zawieszenia broni Egzekutywa powstrzymywała się jedynie od mianowania kontrkandydatów dla uniknięcia wyboru „dzikich“ ostatnio czynnie zaczęła popierać kandydatów konserwatywnych. Herbert Morrison na Kongresie mówił: „Jeżeli bierzecie udział w rządzie, nie możecie poprzeć tego rządu i jednocześnie popierać kandydatów antyrządowych. To nie jest ani uczciwe, ani honorowe“.

Połowa jednak delegatów wołała poprośtu zerwać przymierze wyborcze. Tem bardziej, że teraz idzie już nie tylko o poszczególne niezorganizowane kandydaty. Zjawia się możność powstania partii konkurencyjnej. Labour Party, jak wiadomo, ma specjalną organizację. Jest ona koalicją Związków Zawodowych, kooperatyw, miejscowych organizacji lokalnych Labour Party jako takiej plus jeszcze pewne organizacje nieliczne, z których najbardziej znana jest Fabian Society. Na Kongresach każda poszczególna organizacja ma tyle głosów, ile członków. W praktyce oznacza to, że Labour Party rządzią wielkie związki zawodowe, których liczba członków jest przynajmniej w stosunku do liczby członków Labour Party, jako takiej.

Związki te są z natury rzeczy konserwatywne i polityka ich nie odpowiada polityce elementów czysto socjalistycznych partii. Z drugiej strony to, że Labour Party jest partją związków zawodowych, utrudnia jej przenikanie do sfer czy to urzędniczych, czy to drobno-mieszczkańskich, czy to inteligentnych.

Od lat już w Anglii były próby zgrupowania części postępowej tych właśnie elementów w jakąś odrębną organizację.

Obecnie próby te dojrzały. Organizacja taka powstała, ogłosiła program w 9 punktach, miejscami idący dalej niż program Labour Party, albowiem żądający natychmiastowego upaństwowienia przemysłów kluczowych. Firmuje tę nową organizację czterech ludzi, z których każdy ma szeroki zasięg

wpływów. A więc przedewszystkiem Sir Richard Ackland. Sir Richard jest już posłem do parlamentu. Został wybrany coprawda jako liberał, ale obecnie to on głównie forsuje program upaństwowienia. Sir Richard jest pierwszorzędnym mówcą, doskonałym agitatorom i—co w Anglii jest niezmiernie ważne—człowiekiem mającym olbrzymie wpływy w sferach kościelnych. To Sir Richard Ackland był głównym autorem uchwał konferencji biskupów anglikańskich w Malvern, uchwał o wprost rewolucyjnym wydźwięku. Dalej J. B. Priestley. Priestley jest przedewszystkiem bardzo poczytnym pisarzem i popularnym autorem dramatycznym. To już jest atut. Ale jest przedewszystkiem wielką gwiazdą radiową. Post-scripty Priestleya wygłaszane co tydzień, w których wyrażał myśli i nadzieje przeciętnego Anglika, w których prostymi słowami tłumaczył konieczność głęboko idących reform społecznych, miały miliony chętnych słuchaczy. I to, że w końcu B.B.C. przestrażyło się idei przez Priestleya propagowanych i jego „Postcripts“ przerwało, zwiększyło jeszcze Priestleya popularność. Trzecim działaczem jest Tom Wintringham. Wintringham był komunistą, ale zerwał z partją z chwilą wypowiedzenia wojny i stanął twardo na gruncie bezwzględnej walki z Niemcami. Wintringham był komendantem brygady angielskiej w Hiszpanji. Wintringham wreszcie przez pierwsze dwa lata wojny prowadził bezwzględnie najlepszą szkołę Home Guards i jest uznanym autorytetem w sprawach taktyki wojny obecnej, przedewszystkiem wojny ludowej, partyzanckiej. Analizy strategiczne Wintringhama sprawdzały się prawie zawsze, jego pomysły zaczynają już być stosowane w armii regularnej. Czwartym wreszcie firmantem dziewiciu punktów jest Edward Hulton. Nie jest to indywidualność równie wybitna, jak trzej poprzedni, a jako

właściciel Picture Post i World's Review dysponuje on olbrzymim aparatem propagandowym.

W normalnych warunkach powstanie tej grupy nie groziłoby Labour Party żadnem niebezpieczeństwem. Oparciem Labour Party bowiem są masy robotnicze, i te pozostałyby partji wierne. Obecnie jednak jeżeli w okręgu wyborczym do walki z konserwatystą stanie reprezentant 9 punktów, którego program jest programem postępowym, zbliżonym do programu Labour, są wszelkie szanse, że wyborca robotniczy będzie wolał oddać swój głos temu postępowemu kandydatowi, niż torysowi. I okręg może być dla Labour i w przyszłych wyborach stracony. Poseł bowiem ustępujący zawsze prawie ma łatwiejszą sytuację.

Formalnie Egzekutywa zwyciężyła. Formalnie zawieszenie broni wyborcze istnieje nadal. Faktycznie jednak zostało ono pogrzebane. Nie może bowiem być mowy obecnie o dyscyplinarnem postępowaniu przeciw miejscowym oddziałom Labour Party, które by się do decyzji nie zastosowały. Oczywiście oficjalnych kandydatów Labour Party nie będzie wystawiała, i oficjalnie centrala Labour nie będzie udzielała poparcia żadnemu kandydatowi, występującemu przeciw konserwatystom. Mogą jednak zjawić się kandydaci, którzy przed wyborami z Labour Party wystąpią, i którzy będą mieli nieoficjalne poparcie miejscowych organizacji. I w ostatnich wyborach w Ilandaff już centrala Labour zachowała milczenie i nie udzieliła wyraźnego poparcia konserwatystom. Najbliższe miesiące wykażą jaki wpływ ta zmiana sytuacji będzie miała na rozwój polityki wewnętrznej Wielkiej Brytanji. Co do polityki wojennej bowiem, to—jakeśmy mówili wyżej—Kongres Labour tylko ponownie podkreślił jednolitą wolę narodu brytyjskiego doprowadzenia wojny do zwycięskiego końca.

CEP.

ZŁOTO ZA DARMO.

13 MILJARDÓW DOLARÓW, KTÓRE NIC NIE KOSZTUJĄ.

W Izbie Reprezentatów Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej odbyła się wymiana zdań pomiędzy posłem do Izby Reprez. p. Smithem, z jednej strony, a Sekretarzem Skarbu p. Morgenthau'em jr. i p. Bell'em, Podsekretarzem Stanu z drugiej.

Jak wiadomo z Europy i innych części świata wpłynęły do Stanów Zjednoczonych A. P. całe masy złota. Jest rzeczą niezmiernie ciekawą, jak wyglądał proces zapłaty za to złoto.

W „The American Economic Review“, March, 1942, Nr. 1, Part 1, czytamy uwagi na ten temat, które jako ilustrujące to zagadnienie przytaczamy poniżej.

P. Smith zapytuje: Do 30 czerwca 1940. — Skarb Stanów Zjednoczonych nabył prawie wyłącznie od obcokrajowców (przeważnie z Europy) sumę około 13 miliardów dolarów w złocie, po kursie 35 dolarów za 1 uncję złota. Na 6 sierpnia 1941 roku aktywa Skarbu Stanów Zjednoczonych wynosiły w przybliżeniu sumę około 16 miliardów złota (po 35 dolarów za uncję). Suma ta składała się z pozycji złota nabytego przez Skarb oraz z sumy, którą Skarb zarobił na skutek deprecjacji dolara 31 stycznia 1934 roku. Cóż Skarb zapłacił za to importowane do U.S.A. złoto? Jak to Skarb zwykł robić? W rozdziale Nr. 8 Gold Reserve Act jest przepis, jakich środków należało użyć na zapłacenie tego złota. Między innymi jest to ujęte w następujące słowa: „Za zgodą Prezydenta, Sekretarzowi Skarbu przysługuje prawo zakupu złota w kwocie dowolnej w kraju i zagranicą za jakiegokolwiek aktywa (obligations), monety albo walutę Stanów Zjedn. A. P. — , lub za jakiegokolwiek fundusze przez Skarb posiadane“. To jest jasne. To oznacza, że Skarb może użyć na ten cel pieniędzy ze zwykłych dochodów skarbowych, podatków, opłat celnych i t.p. albo prostych zob-

wiązań zapłacenia za to złoto tymże złotem, które nabywa.

Ale czy w rzeczywistości Skarb płaci za to złoto owymi środkami płatniczymi?

Na tak postawione pytanie udzielał odpowiedzi wprawdzie Podsekretarz Stanu Bell, ale na wyraźne żądanie Sekr. Stanu dla Skarbu, Morgenthaua, który za te odpowiedzi przyjmował sto procentową odpowiedzialność.

P. Bell odpowiedział: Jeśli jakiś kraj obcy importuje złoto do U.S.A., to przedewszystkiem przedkłada je w Urzędzie Probierczym (Assay Office) np. w New-Yorku. Na pokrycie otrzymanego złota dany Urząd Probierczy (w danym wypadku nowojorski) daje importerowi tego złota (bankowi czy osobie tranzakcji dokonującej) czek na Skarb. Czek ten nosi nazwę „gold-fund cheque“ i jest ten czek traktowany przy wypłacie, jak każdy inny czek Rządu. Zostaje on złożony przez posiadacza w jego banku i tworzy dla niego depozyt. Ten czek następnie przechodzi normalną drogą do Federal Reserve Banku i obciąża nasze konto. To oczywiście zmniejsza nasze aktywa w Federal Reserve Banku. Ale my z kolei wydajemy ze swej strony certyfikaty złote na to złoto i otrzymujemy kredyt na te certyfikaty złote w tymże Federal Reserve Banku, i w ten sposób znowu poprawiamy nasze konto w Federal Reserve Banku.

P. Smith: Więc płacicie za to złoto certyfikatami złota (gold certificates), czy tak?

P. Bell: Złoto samo płaci za siebie. Jest to pieniądź. Jest to poprostu wymiana jednej formy monety na drugą.

P. Smith: Co mówi o tem prawo? Zgodnie z cyt. rozdziałem 8 Gold Reserve Act z 1934 r., Sekretarz Skarbu może nabyć złoto za pomocą jakiegokolwiek środków płatniczych i prostych długów, monety metalowej (coin) lub waluty obiegowej U.S.A. Oto co prawo prze-

widuje, czego należy używać na płacenie za to złoto. A czego używacie ?

P. Bell: My używamy czeków Rządu płatnych w monecie metalowej lub walucie. Każdy kto przedstawi taki czek Skarbowi U.S.A. lub w Federal Reserve Banku może otrzymać pokrycie w walucie lub monecie srebrnej.

P. Smith: To jest rzeczywiście zagadkowe. Zastanawia mnie, czy cena tego złota ujawnia się (wywołuje refleksy) w księgach Skarbu ? Czy wchodzi w skład długu ?

P. Bell: Złoto nie wchodzi w skład długu. Wchodzi natomiast w system monetarny, i jest ono wykazane w codziennych wykazach.

P. Smith: Reasumując, wnioskuję, że za złoto płacicie certyfikatami złotymi.

P. Bell: My otrzymujemy kredyt za te certyfikaty złote, które wydajemy Federal Reserve Bankowi, a te certyfikaty są pokryte złotem.

P. Smith: Lecz w rezultacie jest to wszystko, co Skarb U.S.A. płaci za to złoto. Tak, czy nie ? Czy istnieje dowód, że użyto innego środka poza „gold certificates“ ?

P. Bell: Jest to wszystko, co my możemy wykazać, lecz importer złota ma kredyt bankowy lub depozyt bankowy.

P. Smith: Lecz wy sami stworzyliście ten depozyt w bankach ?

P. Bell: Tak jest. To wszystko powiększa depozyty. Oczywiście nie wchodzi w nasz system monetarny złoto zapisane jako depozyt obcego Rządu.

P. Smith: Wy wydrukowaliście „gold certificates“; w ten sposób zapłaciliście za to złoto „fiat money“ (moneta papierowa emitowana przez rząd—niewymienialna) czy nie tak ?

P. Bell: Certyfikat złoty nie jest „fiat money“, przynajmniej ja tak to rozumiem.

P. Smith: Lecz wy nabyliście złoto i z tych miliardów nabytego złota stworzyliście miliardowe depozyty w systemie bankowym ?

P. Bell: W rzeczywistości złoto wymieniono na depozyt bankowy. Taka jest właśnie procedura.

P. Smith: Któż wymienił złoto ? Cudzoziemiec wprowadził złoto. Skarb wydał certyfikat i posłał go do Federal Reserve Bank, który ze swej strony w jednej ze swych filji orworył kredyt cudzoziemcowi, który złoto Skarbowi sprzedał. Czy to otrzymał kraj cudzoziemski względnie sprzedawca złota ?

P. Bell: Dajmy na to Chase National Bank nabył zagranicą złoto. On posiada to złoto i sprzedaje je Skarbowi. My bankowi temu dajemy albo walutę albo czek i to stanowi zapłatę za to złoto. Jeśli obcy bank importuje, wtedy ten bank otrzymuje kredyt w księgach Chase National Banku i to jest właśnie zapłatą.

P. Smith: Kiedy wy dajecie walutę obiegową, to transakcja jeszcze nie jest sfinalizowana. Dopiero jak wy stworzycie „gold-certificate deposit“ wtedy transakcja czekowa jest zrealizowana. Więc to znaczy, że kredyt bankowy tworzą „gold certificates“ ?

P. Bell: Tak. Poprawia się nasze konto i złoto samo płaci za siebie.

W tym miejscu *P. Smith* zwraca się do Sekretarza Skarbu *Morgenthau'a* Czy wobec tego mógłby Pan, Panie Sekretarzu Skarbu, powiedzieć, że Rząd U.S.A. ponosi kosztą zakupu tego złota ?

P. Sekr. Skarbu Morgenthau: Jeśli Pan ma na myśli księgi, to tak. Lecz w rzeczywistości nic nas to nie kosztuje („but there is no cost to carry it“).

P. Smith: Ktoś przecież jednak zapłacił za to złoto. Kto poniósł te koszty ?

P. Sekr. Sk. Morgenthau: *P. Bell* zadał sobie wiele trudu, by to Panu wyjaśnić.

(S.T.).

SPIS RZECZY

	Str.
WIERSZE Z KRAJU	321-325
KAROL ESTREICHER	
<i>Podbalańska kultura artystyczna</i>	326-347
JERZY KUNCEWICZ	
<i>O pełne wyzwolenie człowieka</i>	347-354
ALEKSANDER HERTZ	
<i>Zagadnienie istotne</i>	354-361
ANTONI SŁONIMSKI	
<i>Ziemia</i>	361-362
JULJAN TUWIM	
<i>Odezwwa da psón'</i>	362-363
MARJA KUNCEWICZOWA	
<i>Cudza wiosna</i>	363-375
EUGENJUSZ CĘKAŁSKI	
<i>Ostatnia jesień</i>	375-381
YOVAN DUCIC	
<i>Modlitwa (przekład A. Bogusławskiego)</i>	381
MARJAN PIOTROWSKI	
<i>„Dwa lata temu we Francji“</i>	382-393
FELIKS MARKOWSKI	
<i>List z drogi</i>	394-399
MARJAN HEMAR	
<i>Cud biednych ludzi</i>	399-417
MIECZYŚLAW SZERER	
<i>Monarchja w Polsce?</i>	418-423
GUSTAW GAZDA	
<i>Próba bilansu</i>	423-432
KRZYSZTOF EYDZIATOWICZ	
<i>Radio</i>	432-441
GENERAL J. F. C. FULLER	
<i>Broń władczą i jej wpływ na taktykę</i>	441-448
HENRY A. WALLACE	
<i>Wojna obecna—rewolucją ludową</i>	448-450
(cep.)— <i>Kongres Partji Pracy</i>	451-454
(S. T.)— <i>Złoto za darmo</i>	455-456

4/-

Published by "NOWA POLSKA" 91 Great Titchfield Street London W 1 and Printed by
JOHN BALE & STAPLES LIMITED (subsidiary of STAPLES PRESS LIMITED)
83-91 Great Titchfield Street London W 1